

Edigey Jerzy - Jedna noc w „Carltonie”

„KB”

Rozdział I

Słońce już zachodziło. Ostatnie jego blaski oświetlały Giewont. Położone niżej Zakopane zalegał cień. Ulicą Ku Skoczni szło w stronę miasta towarzystwo składające się z trzech pań i czterech panów. Widocznie wracali z wycieczki w góry, gdyż wszyscy ubrani byli po sportowemu, a jedna z niewiast miała na sobie szorty. Jak na październik i późną porę poobiednią, był to, nawet na Zakopane, które już niejedno widziało, niecodzienny strój. Nic więc dziwnego, że wszyscy przechodnie przyglądali się z zaciekawieniem turystycznej grupce.

- Patrzą na mnie jak na wariatkę!

- Ciągłe nie mogę uwierzyć, że nie jest pani zimno.

- Ależ zapewniam panią profesor, że czuję się świetnie. Gdybym marzła, nie nosiłabym takiego stroju.

- Chodźcie szybciej, bo będzie bura przy obiedzie.:- Wątpię, czy w ogóle dadzą nam obiad. Jest bardzo późno.

- Przecież uprzedzaliśmy, że się spóźnimy.

- Ale zapowiedzieliśmy nasz powrót na trzecią, a teraz dochodzi piąta.

Tak rozmawiając, wycieczkowicze doszli do białej willi, cofniętej nieco w głąb ulicy i ogrodzonej siatką na kamiennych słupkach. Czarna, marmurowa tablica umieszczona przy furtce zawierała tylko jedno słowo:

C a r l t o n

Ktoś, zapewne jeden z gości pensjonatu, dopisał kredą: „Dom gnuśnego odpoczynku”. Napis ten widocznie wszystkim się spodobał, gdyż nikt go od dawna nie ścierał.

Kiedy panie wchodziły przez furtkę na posesję „Carltonu”, w drzwiach oszklonego ganku stanęła pokojówka w białym fartuszk.

- Dzisiaj nie będzie obiadu. Jak się przychodzi o piątą, to się nie je.

- Nie będzie tak źle, pani Róziu!

- A właśnie, że będzie. Kucharz zły jak chrzan. Czekał i czekał, aż poszedł do domu.

- Ale deseru nikt nam nie zjadł?

- Co ja z państwem mam! Wszystko zimne, a kotlety wyschły na wióry.

- To jednak dostaniemy coś?

- Niech państwo od razu idą do jadalni. Zaraz podam.

Ganek dzieliło od trotuaru pięć niewielkich stopni. Wchodząc na pierwszy z nich, jedna z pań potknęła się i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymał jej znajdujący się obok towarzysz.

- Też porządku - oburzył się jeden z mężczyzn - ciekaw jestem, kto zostawił ten młotek na schodach.

Mówiąc to, podniósł leżący na schodach duży, ciężki młotek, przyczynę karambolu.

- To pewnie dzieciaki kierownika - usprawiedliwiała się pokojówka - zawsze wszystko wyciągną z domu, tylko przynieść z powrotem nie ma komu.

- Niech mi pani da ten młot! - Prośbę tę wypowiedziała młoda kobieta, ubrana w jaskrawopomarańczową wiatrówkę. Nosiła do niej trawiastozielone spodnie, zaś na nogach długie, niebieskiego koloru boty, jakich rybacy używają do połowu pstrągów. Na głowie tej dość przystojnej blondynki znajdował się śmieszny kapelusik. Na patyku przewieszonym przez ramię trzymała dziwnego kształtu koszyk. Na pierwszy rzut oka widać było, że młoda osoba za wszelką cenę pragnie zwrócić na siebie uwagę. Nawet za cenę ośmieszenia się.

- Służę, pani Zosieńko - mężczyzna z przesadnie eleganckim ukłonem podał młotek ekscentrycznie ubranej kobiecie - ale do czego to śmiercionośne narzędzie? Czyżby na Andrzeja?

- Jeżeli będzie mnie zdradzał, to mu głowę rozwalę. - Pani Zosia ujęła młotek i wojowniczo nim się zamachnęła. - Ależ jaki on ciężki!

- Akurat dobry do porachunków małżeńskich jako ostateczny argument.

- Co pan, jako kawaler, inżynierze, może o tym wiedzieć - roześmiała się jedna z pań.

- Wystarczy posłuchać tego, co pani Zosia mówi o swoich flirtach i o ukochanym małżonku, aby ocenić w pełni szczęście, że na drodze mojego życia nie spotkałem ideału płci odmiennej.

- Nie minie to pana. Każdy z was gada, zarzeka się, a później ciągnie przymocą do ołtarza i unieszczęśliwia kobietę.

9- Moje wy nieszczęśliwe!

- Pani Różia nawet sobie nie wyobraża, jaką piękną zrobiliśmy wycieczkę.

Poszliśmy do Kondratów ej, stamtąd na Suchy Kondracki i przez Kopę Kondracką na Giewont. Wróciliśmy przez Grzybowiec do Doliny Strążyskiej - entuzjasmowała się pani w szortach.

- Ale pani Basia to musiała porządnie zmarznąć
- zauważyła pokojówka.
- Wcale nie - oburzyła się zagadnięta - przeciwnie, było mi bardzo gorąco. Aż się zgrzałam.

- Tylko zęby dzwoniły, jak gdyby kierdel owiec schodził z góry.
- Czuję, że schudłam przynajmniej o dwa kilogramy - stwierdziła najbardziej korpulentna dama z całego towarzystwa.

- A ja sprzedałam dwa pierścionki na Giewoncie
- pochwalił się szpakowaty, przysadzisty pan w okularach.
- Wiadomo - roześmiał się wysoki, młody człowiek
- jubiler wszędzie robi interes. Nie to, co my, ślusarze.
- Niechże państwo idą wreszcie do jadalni, bo naprawdę nie podam obiadu - pokojówka Różia poganiała gości.

- Tylko umyjemy ręce - powiedział wysoki mężczyzna o czarnych, miejscami przysrebrzonych włosach.

- Odkąd to redaktor zrobił się taki czysty? - złośliwie zauważył ostatni z mężczyzn tego wycieczkowego towarzystwa, szczupły, suchy, z lekka łysawy blondyn.

- Wiadomo, malarze rąk nie myją - odciął się dziennikarz - oszczędzają farby.
- Za to prasa ma zawsze czyste ręce.
- Proszę państwa na obiad! Naprawdę wszystko będzie zupełnie zimne - denerwowała się pokojówka.

I mimo protestów dziennikarza pani Różia grzecznie, lecz stanowczo zapędziła towarzystwo do jadalni, gdzie, ciągle jeszcze pod wrażeniem udanej wycieczki, przystąpiono wreszcie do obiadu.

- Pani profesor może i schudła te dwa kilogramy, ale po tej zupce przybędzie co najmniej drugie tyle - dogadywał malarz swojej sąsiadce.

- Ładnie to dokuczać bezbronnej kobiecie? A kto mi tyle nalał na talerz?
- Trzeba było powiedzieć, kiedy dosyć. Nalewam do wrębu, a pani profesor ani słówka, tylko patrzy, wielce z tego zadowolona.

- Państwo dopiero teraz z wycieczki? - do jadalni wszedł jeden z mieszkańców

pensjonatu. - Czekaliśmy z obiadem prawie godzinę i w końcu sami zjedliśmy.

- Niech pan sobie wyobrazi - skarżyła się pani Zosia - że inżynier i pani Basia pognali nas przez góry i wertepy aż pod sam krzyż na Giewoncie. Żeby Jędrus wiedział, że poszłam na tak forsowną wycieczkę, bardzo by się gniewał. Dotąd czuję serce w gardle.

- Lepiej dla Andrzeja, że jego żona w taki sposób forsuje serce, niż...

- Redaktor zaraz jakieś dwuznaczniki.

- Sprzedałem na Giewoncie dwa pierścionki - ponownie pochwalił się jubiler.

- W jaki sposób? - zainteresował się nowo przybyły.

11- Zwyczajnie! Piłem śmietanę, trzymając szklanekę w lewej ręce, tej, na której mam ten pierścień - tu jubiler podniósł rękę, ukazując na serdecznym palcu pięknie kuty z ciemnego srebra pierścień z oryginalnie oprawionym koralem. - Stojąca obok niewiasta zapytała mnie, skąd mam taki pierścień. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że sam zrobiłem. Wtedy roześmiała się i powiedziała, że nie wierzy. Więc na potwierdzenie moich słów wyjąłem z kieszeni dwa pierścionki, które wczoraj skończyłem. Wtedy padło pytanie, po ile je sprzedaję? Wyjaśniłem, że Cepelia płaci mi po dwieście złotych. Wówczas wyjęła z torebki dwie setki i poprosiła, aby jej jeden sprzedać. Jej sąsiadce widocznie pierścionek także przypadł do gustu, bo wzięła drugi. Co miałem robić? Zainkasowałem w sumie cztery setki i schowałem do kieszeni.

- Nareszcie wiemy, kto dzisiaj prosi do „Jędrusia”.

- Dzisiaj nie - bronił się jubiler - po tym łażeniu po górach nóg nie czuję.

Może jutro?

- Przecież jutro pan wyjeżdża - zauważyła pani profesor.

- Niech pan jeszcze zostanie, panie Mieczysławie

- prosiła pani Zosia - pójdziemy do „Jędrusia”. Obiecywał pan, że zatańczymy twista.

- Nie radzę! Andrzej pana zabije! Wszystko, co Zosia wyprawiała w Zakopanem, pójdzie potem na pańskie konto.

- Upprzedzam, redaktorze, że mamy ze sobą na pieńku. Żeby tylko ja nie zawiadomiła w Warszawie, kogo potrzeba, o zachowaniu się pewnych panów z „Carltonu”! Albo... żeby nie zrobiła użytku z tego młotka!

- A gdzie pani ma ten młotek? - zainteresowała się pani Basia. - W moich szpileczkach jest jakiś gwoździć, który bardzo uwiera. Może dałoby się go przybić?

- Położyłam go na kanapie w hallu.
- To za duży młotek - zauważył inżynier - do szpileczek przydałoby się raczej dłutko. Może będę mógł coś poradzić?
- Świetnie. Zaraz po obiedzie przyniosę panu pantofle.
- Patrzcie, państwo - powiedziała Zosia - nic nas się nie krepują i w naszej obecności umawiają się na odwiedziny w pokojach. Ładne rzeczy!
- A pani tak się tym zgorszyła! Sama taka święta.
- Redaktorze! Ostatni raz ostrzegam, niech pan ze mną nie wojuje.
- Więc jutro pan wyjeżdża, panie Mieczysławie? Przecież taka piękna pogoda
- martwiła się pani profesor - tak nas malutko w „Carltonie”, a znowu kogoś ubywa.
- Niestety, muszę. Przyjechałem tu zresztą bardziej dla pracy, niż dla wypoczynku. Przygotowywałem parę ciekawych rzeczy na wystawę sztuki złotniczej we Florencji. Skończyłem dopiero wczoraj i dlatego mogłem dzisiaj wybrać się z państwem na wycieczkę. Pojutrze muszę jednak oddać eksponaty w Centrali Jubilerskiej, która organizuje we Florencji własne stoisko. Potem kilka dni zajmie jeszcze uzgadnianie szczegółów ekspozycji i ewentualne poprawki. A to przecież połowa października. Nie warto już wracać.
- Jedzie pan do Florencji? - zapytała pani Zosia.
- Boże, jak ja uwielbiam Italię! Cudowne niebo, wspaniali mężczyźni!
- Pani zna Włochy? - zdziwił się malarz. - Nigdy pani o tym nie wspominała.
- Byłam jedynie w Albanii, ale to prawie to samo. Naprzeciwno, tylko przez Adriatyk. Ale znam Włochy z opowiadań i Jędrus obiecał, że w przyszłym roku pojedziemy tam na pewno.
- Niestety, nie ja jadę do Florencji - westchnął jubiler - lecz moje prace.
- I jak zwykle kilku ustosunkowanych bubków z odpowiedniej centrali handlowej - dorzucił malarz
- to samo było z Biennale w Neapolu. Tam też pojechały nasze obrazy w towarzystwie urzędników z ministerstwa.
- Tyle słyszałam o pańskich pracach - dorzuciła pani profesor - a nigdy ich nie widziałam. Co pan przygotował na florencką wystawę?
- Międzynarodowa wystawa florencka ma zgromadzić najciekawsze eksponaty sztuki złotniczej całego chyba świata. Dlatego również my chcemy pokazać, że polskie złotnictwo zawsze stało bardzo wysoko. Ekspozycja polska ma ukazać w dużym przekroju rozwój sztuki złotniczej naszego kraju, poczynając od

Jagiellonów, aż po dzień dzisiejszy. Obok oryginałów z dawnych epok, pokażemy także wyroby wzorowane na sztuce Odrodzenia, Baroku i Empiru, a niezależnie od tego przedstawimy kolekcję sztuki na wskroś nowoczesnej. Ja przygotowałem parę starych pierścieni i ciekawą, nowoczesną kolieć.

- Kto teraz nosi coś takiego?

- A jednak noszą. Nasze centrale przywiązują duże znaczenie eksportowe do wystawy we Florencji. Dlatego występujemy z tak obszerną ekspozycją.

- Co to za interes? Przecież nie mamy ani własnego złota, ani szlachetnych kamieni.

- Pani profesor się myli. W wyrobie złotniczym praca ludzka jest więcej warta, niż sam surowiec. Szlachetny kamień jest po oszlifowaniu go sześciokrotnie droższy. To samo dotyczy złota. Elegancka oprawa czy szlachetna rzeźba w wyrobie podnoszą cenę kruszcu co najmniej w dwójnasób. A więc kalkuluje się wydać pewną ilość dewiz na zakup złota i brylantów, aby później osiągnąć spory zysk w tych samych dewizach. Dlatego właśnie przygotowujemy do Florencji nie tylko ładne, lecz nawet bardzo kosztowne eksponaty o dużej wartości złota i klejnotów. Chodzi o przywrócenie polskiemu złotnictwu dawnej, dobrej marki.

- Tak bym chciała zobaczyć te klejnoty!

- Nic prostszego. Wczoraj ostatecznie skończyłem swoją robotę. Było to oczywiście tylko wykańczanie, gdyż wszelkie obróbki i prace szlifierskie zostały wykonane wcześniej na maszynach. Jeśli państwo zechcą zabawić się w jurorów, z przyjemnością zademonstruję wam swoje dzieło. Po obiedzie pozwolę sobie przynieść je tutaj.

- Cudownie! - zawołała pani Zosia. - Czy będę mogła przymierzyć tę kolieć?

- Będzie mi bardzo miło zobaczyć ją na pięknej kobiecej szyi - z galanterią odparł jubiler.

- Kocham klejnoty - z rozmarzeniem powiedziała pani Zosia.

- Co robimy dzisiaj wieczorem? - zapytał inżynier.

- Mamy czas martwić się o to po kolacji - rzekł malarz.

- Jestem zaproszona do „Jędrusia” - wyjaśniła pani Zosia - przyjdą po mnie około dziewiątej.

- Dzisiaj czwartek. Oglądamy „Kobrę” - przypomniała pani profesor.

- Bardzo mnie ciekawi dzisiejszy dziennik telewizyjny. W ONZ-ecie zapowiadała się burzliwa dyskusja w sprawie Republiki Południowej Afryki.

- Nie interesuje mnie polityka - pani Zosia wydeła usteczka, kręcąc przy tym „rozkosznie” noskiem. Ruch ten studiowała długie miesiące przed lustrem i obecnie z upodobaniem stosowała podczas rozmowy.

- Zosieńkę interesują tylko chłopcy. Z kim idziemy do „Jędrusia”?

- To moja tajemnica. Najnowsza zdobycz.

- Nasza Zosia specjalizuje się teraz w „autochtonach”. Założę się, że to ten wysoki, przystojny przewodnik.

- Nie tylko on - tajemniczo odpowiedziała pani Zosia.

Tymczasem pokojówka podała deser i herbatę, a pan Mieczysław Dobroźlocki przeprosił na chwilę towarzystwo i opuścił jadalnię. Gdy wrócił, trzymał w ręku niewielką metalową kasetkę. Postawił ją na stole i otworzył małym kluczykiem. Sięgnął do wnętrza i wydobyl paczuszkę owiniętą w irchową szmatkę. Po rozwinięciu irchy oczom obecnych ukazał się duży, złoty pierścień, pięknie rzeźbiony.

- Pierścień koronacyjny Kazimierza Wielkiego - wyjaśnił jubiler.

- Jak to? - zdziwił się dziennikarz - o ile wiem, polskie klejnoty koronne zaginęły po upadku Powstania Kościuszkowskiego. Pamiętam, że przed paru laty jeden z tygodników poruszał tę tajemniczą sprawę.

- Ma pan rację. Insignia królewskie zniknęły wtedy ze skarbca na Wawelu. Ocalały jedynie „Szczerbiec”, miecz koronacyjny Zygmunta Augusta oraz jabłko królewskie Zygmunta Wazy. Zresztą nie po raz pierwszy ginęły w pomroce dziejów nasze regalia.. Pierwsza korona królewska - Bolesława Chrobrego - zaginęła zaraz po śmierci jego syna Mieszka II. Następną wykonano na polecenie Bolesława Śmiałego. Ta znowu zaginęła w czasie rozbicia dzielnicowego po śmierci Bolesława Krzywoustego. Aż do czasów rozbiorów zachowały się korony Władysława Łokietka, Jagiellonów, Wazów i Sasów.

- A co się z nimi potem stało?

- Różne są wersje. Legenda głosi, że regalia te są gdzieś ukryte w podziemiach starego klasztoru. Inna wersja mówi, że do ich zaginięcia przyczynili się niektórzy pułkownicy z I Brygady, którzy rzekomo mieli odnaleźć te klejnoty i odpowiednio się nimi zaopiekować. Najbardziej prawdopodobne jest to, że korony zrabowało wojsko pruskie, gdy po upadku Powstania Kościuszkowskiego przejściowo zajęło Kraków, a „Stary Fryc” kazał je przetopić na złom. Natomiast inna opowieść głosi, że insignia zrabowały wojska Napoleona w epoce Księstwa Warszawskiego.

- Skąd więc ten pierścień Kazimierza Wielkiego? - zdziwiła się pani profesor.

- Poza klejnotami koronnymi, przechowywanymi w skarbcu wawelskim, istniały jeszcze regalia pogrzebowe. Pogrzeb króla w owych czasach, to długa, skomplikowana ceremonia. Zabalsamowane zwłoki królewskie najpierw wystawiano na widok publiczny w Katedrze Wawelskiej, a dopiero potem chowano w kryptach tego kościoła. Głowę króla zdobiła korona, zaś na skrzyżowanych rękach widniał pierścień koronacyjny. Nie były to oczywiście oryginały, lecz specjalnie robione dla celów pogrzebowych kopie korony i pierścienia ze złoczonego srebra, zresztą niskiej próby. Większość tych regaliów również zaginęła w czasie kolejnych remontów krypty królewskiej na Wawelu. W dziewiętnastym wieku, gdy otwarto groby królewskie, znaleziono w trumnie Kazimierza Wielkiego koronę i pierścień.

- Właśnie ten? - z zaciekawieniem zapytał dziennikarz.

- Nie! Klejnoty pogrzebowe robiono przeważnie dość niechlujnie, podobnie jak dzisiaj szyje się buty dla nieboszczyka. Były one wprawdzie kopiami insygniów koronacyjnych, jednak bez artystycznych ozdób, które miały oryginały. Ten pierścień jedynie wielkością i kształtem przypomina tamten z sarkofagu Wita Stwosza, lecz jest z dukatowego złota, a ozdobiłem go rzeźbami w stylu epoki.

Klejnot wzbudził duże zainteresowanie zebranych.

Podawano go sobie z rąk do rąk. Panowie usiłowali wkładać go na wskazujący lub na serdeczny palec, ale na wszystkie okazał się za duży.

- Król Kazimierz musiał mieć niezłą rękę - zauważył inżynier.

- Być może, że pierścień kładziono na najgrubszy palec ręki - wyjaśniał jubiler - nie zapominajmy, że w średniowieczu nosiło się ozdoby na wszystkich palcach rąk, a nie jak dziś, jedynie na serdecznym.

- Ciężki ten pierścień, ale wygląda jak nowy. Nikomu nie przyjdzie na myśl, że pochodzi z epoki średniowiecza - rzekła pani profesor.

Jubiler roześmiał się.

- Rzeczy stare kojarzymy sobie iż czymś, co jest zaśniedziałe i ciemne. To słuszne, kiedy chodzi o srebro i ozdoby z brązu lub mosiądzu, ale nie dotyczy złota. Złoto jest przecież jedynym metalem, który nie łączy się ani z tlenem, ani z innymi gazami zawartymi w powietrzu i dzięki temu nie zmienia w ciągu wieków swojej barwy, a nawet nie traci blasku. W muzeum w Kairze oglądałem znalezione w grobowcach korony i klejnoty faraonów, liczące ponad trzy tysiące pięćset lat. Zapewniam panią, że wyglądały równie świeżo, jak pierścionki wyprodukowane w

tym roku przez naszego „Jubilerą”.

- W takim razie fałszowanie starożytności w złocie jest bardzo proste.

- Ma pan rację, redaktorze. Imitacja wykonana z dobrego stopu złota jest bardzo trudna do wykrycia. Najpoważniejsze nawet muzea padają ofiarą takich pomyłek. Słynna w historii sztuki złotniczej jest „Tiara Sajtafersa”.

- Co to za historia? - spytała pani Zosia.

- Przed pierwszą wielką wojną, jeśli się nie mylę w roku 1907, pewien właściciel ziemski, posiadający majątek na Ukrainie w pobliżu Odessy, rzekomo rozkopał kurhan na terenie swoich włości. W kurhanie znalazł grób jakiegoś wodza scytyjskiego. Obok zardzewiałego miecza i rozsypującej się zbroi znajdowała się tam również precudnej roboty złota tiara. Tiara ozdobiona była wspaniałymi płaskorzeźbami w stylu starogreckim oraz napisem, że jest to korona króla Sajtafersa. Historycy uznali znalezisko za największą rewelację ówczesnych czasów. Paryski Luwr zakupił tiarę za zawrotną kwotę dwustu tysięcy franków w złocie. Przez parę lat korona figurowała na najbardziej honorowym miejscu w muzeum. Ściągała tysiące widzów. Pisano o niej dzieła naukowe i monografie. Z napisów na tiarze i ze szczegółów odkrycia uczeni uzupełniali nie bardzo znaną historię państwa Scytów. A w sześć lat później zjawił się w Paryżu skromny i wcale nie uczony zegarmistrz - jubiler z Odessy, Ruchomowski, i oświadczył, że tiarę tę wykonał przed ośmiu laty na zamówienie nieznanego sobie mężczyzny. Zamawiający dostarczył jubilerowi złom złota i serię rysunków, które kazał wyrzeźbić na gotowym już wyrobie. Wybuchł niesłychany skandal. Rosyjskiemu zegarmistrzowi zarzucono kłamstwo i chęć skompromitowania dyrekcji muzeum i francuskich uczonych. Wtedy ten niepozorny człowieczek zasiadł w pracowni muzeum i już pod ścisłą kontrolą wykonał podobną koronę oraz szereg innych klejnotów i biżuterii. Wszystko było odrobione w znakomitym stylu starogreckim. Gdyby nie to, że biżuteria ta produkowana była w obecności pracowników muzeum, mogłaby powędrować w świat jako następne, cenne odkrycie archeologiczne. Dzisiaj oczywiście nauka rozporządza znacznie lepszymi metodami badawczymi. Można nawet sprawdzić zawartość izotopów promieniotwórczych w stopie, niemniej nadal trudno odróżnić dobrą imitację ze złota od starego oryginału.

Pierścień Kazimierza Wielkiego powędrował z powrotem do kasetki, a pan Mieczysław Dobroźlocki wyjął z niej inny pakunek irchowy. Tym razem klejnot był jeszcze bogaciej rzeźbiony i ozdobiony dużym, na pół przezroczystym kamieniem.

- Ten pierścień z powodzeniem może uchodzić za oryginał z epoki Jagiellonów, a dokładnie, z czasów panowania Zygmunta Augusta. Ozdoby są transkrypcją rzeźb znajdujących się na jednej z kasetek, stanowiących własność tego króla. Nawiasem mówiąc, kasetka jest właśnie pochodzenia florenckiego. Ten kamień, to prawdziwy brylant. Ma prawie pięć karatów. Oryginalny szlif z owej epoki. Ciekawa jest geneza kamienia. Zbiory państwowe przejęły z pewnego pałacu magnackiego na Ziemiach Zachodnich starą zbroję mediolańską. Również z czasów Renesansu. Szyszak ozdobiony był paroma świecidełkami, zakurzonymi i mocno porysowanymi. Natomiast ten kamień tkwił w spince do pióropusza i przez całe wieki uchodził za szkiełko. Dopiero przy odnawianiu zbroi przekonano się w muzeum, że jest to prawdziwy brylant.

- Świeci żółtym blaskiem - powiedziała pani Basia.

- Tak, to żółtawy brylant. Ma również i inne zanieczyszczenia. Jednakże ze względu na swoją wielkość jest sporo wart. Oczywiście, dla celów handlowych musiałby otrzymać nowoczesny, amsterdamski szlif.

- Dlaczego go nie przeszlifowano?

- Grają tutaj rolę zarówno względy reklamy, jak handlowe. Po przeszlifowaniu kamień byłby wart, powiedzmy, że trzy tysiące dolarów. Natomiast jako autentyk, brylant sprzed czterystu lat w odpowiednio dorobionej oprawie, stanowić będzie piękny eksponat naszej wystawy i jeżeli znajdzie amatora, zbieracza starej biżuterii, osiągnie znacznie wyższą cenę. Wątpię nawet, czy Centrala zdecyduje się na sprzedaż. Stare klejnoty są prawdziwymi unikatami. Nie zmniejszy wartości kamienia to, że stylową oprawę zrobił wasz skromny sługa.

- Rzeczywiście, wspaniała robota - zachwycał się malarz - wiem coś o tym. W czasie studiów na Akademii interesowałem się złotnictwem. Wahałem się nawet, czy specjalizować się w malarstwie, czy też wybrać snycerstwo i złotnictwo.

- A szkoda, że pan tego nie zrobił. Artystów metaloplastyków, pracujących w złocie, jest u nas niewiele.

- Sądząc z tego, że taki mistrz jak pan musi ratować się wyrobem srebrnych świecidełek za dwieście złotych, nie jest to fach dający perspektywy zarobku - sarkastycznie zauważył inżynier.

- Ma pan rację, że dotychczas tak było. Mam jednak nadzieję, że artystyczne rzemiosło złotnicze do czeka się lepszych czasów. Czy nie jest tego dowodem pierwszy od wojny udział Polski w międzynarodowej wystawie we Florencji? Jeżeli

otworzą się perspektywy zamówień zagranicznych, to i dla mnie, i dla kolegów złotników nie zabraknie roboty.

- Bardzo tego panu życzę, lecz teraz w imieniu pań poproszę o tę kolie - pani Zosia skorzystała z okazji i przerwała niezbyt interesujące ją uczone wywody jubilera.

Pan Dobroźlocki pedantycznie zawinał pierścionek w ściereczkę z irchy, schował do kasetki i wydobyl następny skarb. W świetle elektrycznej lampy, wiszącej nad stołem, zaświeciła jaskrawym światłem piękna kolia. W otoczeniu drobnych, mieniających się wszystkimi barwami tęczy brylantów, rubiny wyglądały jak dwie duże, krwawe łzy.

- Ach, jakie to cudo! - pani Zosia nie mogła ukryć swojego zachwytu.

Jubiler podał jej kolie.

- Jest naprawdę wspaniała - zachwycała się pani Basia, podczas gdy jej sąsiadka zakładała piękne klejnoty na szyję - wygląda pani czarująco. Gdyby pani założyła ją idąc do „Jędrusia”, wszystkie baby pękłyby z zazdrości.

- Niestety - sprzeciwił się pan Dobroźlocki - z całego serca chciałbym zrobić naszej kochanej Zosińce tę grzeczność, lecz to przecież nie są moje klejnoty. Ja tylko dałem swoją wiedzę i swoją pracę. Kamienie i platynę otrzymałem z Centrali.

- Szkoda - westchnęła pani Zosia - pani Róziu, ładnie wyglądam? - zapytała pokojówki, która właśnie przyszła sprzątnąć ze stołu.

- Ii... tam ładnie! Jakby pani Zosia miała krew na piersi. Takie kamienie nieszczęście przynoszą.

- Pani Różia powtarza jedynie znany przesąd, że rubiny są klejnotami przynoszącymi nieszczęście. Przesąd ten bardziej jest uzasadniony wobec brylantów niż rubinów. Każdy ze znanych, wielkich brylantów splamiony został krwią nieraz dziesiątków ludzi, zanim dotrwał do naszych czasów. Rubiny nie mają takiej krwawej historii - bronił swoich butonów jubiler.

Pani Zosia jeszcze kilka razy pokręciła szyjką, przejrzała się w dużym lustrze, wiszącym przy wejściu do jadalni i z westchnieniem zdjęła i oddała Dobroźlockiemu jego klejnoty.

Oglądając i przymierzając klejnoty panie dostały wypieków, a tymczasem Dobroźlocki wyciągał ze swojej szkatuły nowe paczuszki.

- A to pierścionek z tej samej kolekcji - brylant w platynie. Ten sam szlif i taka sama oprawa. Do tego brylantowe klipsy. Te brylanty są oczywiście mniejsze,

mają też kilka węgielków, lecz są tej samej wody. Razem doskonale dobrany komplet.

- Akurat dla kobiety pracującej, na przykład jakiejś maszynistki lub żony urzędnika poczty - roześmiał się dziennikarz.

- Zdarzało się niejednokrotnie, że maszynistki wychodziły za mąż za swoich szefów-milionerów - zauważyła pani Basia. - Nie ma się pan z czego śmiać.

- Nie słyszałem o takiej historii w Polsce.

- Komplet nie jest przeznaczony na sprzedaż w kraju. Mam jednak nadzieję, że znajdzie zbyt za granicą. Jego cena: siedem tysięcy dolarów. Nawet niedrogo, biorąc pod uwagę staranny dobór klejnotów, ich wielkość i blask.

- Dziękuję, nie kupię - powiedział inżynier.

- A szkoda - rzuciła pani Basia - dałby pan ten komplet temu kociakowi z „Orbisu”, którego wczoraj tak pan pożerał wzrokiem. Pewnie byłaby rekompensata.

- I kto w tym towarzystwie mówi o kociakach?

- odciął się inżynier.

- Swoją drogą dziwię się - zauważył dziennikarz

- że „Jubiler” dał panu do ręki taką kolekcję klejnotów. Na nasze pieniądze warte to przecież około miliona złotych.

- Byliśmy w sytuacji przymusowej - wyjaśnił Dobroźłocki - termin wystawy zbliżał się i mogłem zdążyć przed otwarciem targów we Florencji pracując bądź u siebie w domu, bądź w „Carltonie”. Domyśla się pan chyba, że klejnoty są wysoko ubezpieczone, zresztą swoją wartość osiągnęły dopiero po ukończeniu przeze mnie roboty. Wartość złota i poszczególnych kamieni przed oszlifowaniem i oprawą była, jak już państwu powiedziałem, co najmniej sześciokrotnie niższa niż w tej chwili. Poza tym większość tych brylantów nie jest nawet własnością Centrali. Przed wojną prowadziłem duży zakład jubilerski w Warszawie, w gmachu hotelu „Bristol”. Z tamtych czasów pozostały mi dobre stosunki z handlarzami diamentów z Amsterdamu. Gdy kompletowaliśmy kamienie do koliai i butonów, otrzymałem od moich holenderskich przyjaciół całą kolekcję diamentów do wglądu i w komis. Ponadto - dodał jubiler nie bez pewnej dumy - moje słowo i mój prywatny majątek są także poważną gwarancją.

- No tak - zgodził się redaktor Burski - ja bym jednak na pana miejscu nie ryzykował.

- Gdyby pan całe życie miał do czynienia z klejnotami, traktowałby je pan jak

zwykle kamienie. Są nimi zresztą naprawdę. Oczywiście, nie ryzykowałbym zabrania ich ze sobą do domu wczasowego, ale przecież „Carlton” to niezupełnie dom wczasowy. Mogą tu zatrzymywać się jedynie członkowie naszego stowarzyszenia. Obcych się nie przyjmuje. Wiedziałem również, że w październiku będzie zaledwie kilka osób. Gdy wychodzę z pensjonatu, zawsze zamykam klejnoty w szkatułce, szkatułkę w walizce, a walizkę w szafie. Ryzyko jest więc znacznie mniejsze, niż pan sądzi.

- Dziękuję państwu - pani profesor wstała od stołu - chyba położę się na pół godziny, bo bołą mnie nogi po tym łażeniu po górach. Ale było bardzo miło

- dodała - wcale nie żałuję, że pani Basia wyciągnęła mnie, starą, na taką eskapadę.

- Dochodzi szósta - oznajmił inżynier - wyskoczę do kawiarni „Ameryka” na kawę. Pójdzie pan, redaktorze?

- Dziękuję, ale mam trochę pracy.

- A pani, Zosiu?

- Nie, na razie muszę zatelefonować, może wpadnę później, w tej chwili nie jestem jeszcze zdecydowana.

- Trudno, pójdę sam. Zobaczymy się przy kolacji, a później „Kobra”.

- Boję się - dodała pokojówka Rózia - że nici z dzisiejszej „Kobry”. Telewizor zupełnie wysiadł. Nic tylko „materace” i „materace”.

- Po powrocie wezmę się do niego. Pewnie rozstrojony.

- Liczymy na pana, inżynierze.

- A może przyda się panu do tego znaleziony przeze mnie młotek - złośliwie zauważyła pani Zosia, lecz tym razem inżynier nie dał się sprowokować.

Całe towarzystwo powoli rozchodziło się. „Carlton” to duża willa, licząca około dwudziestu pokoi. Na dole pensjonat rozporządza dużym salonem, urządzonej jak ogród zimowy. Tu też znajduje się telewizor. Szeroki korytarz łączy salon z jadalnią, położoną w przeciwległej części budynku. Do tego korytarza w samym środku przylega niewielki, kwadratowy hall, z którego prowadzi wejście na oszklony ganek. Z hallu jest także zejście do suterenu, gdzie znajdują się kuchnie i pomieszczenia gospodarcze. Do hallu przytyka mała rozmównica telefoniczna. Poza tym z korytarza prowadzą drzwi do łazienki i ubikacji oraz czworo drzwi do czterech pokoi. Znajdują się one po przeciwległej stronie hallu. Każdy z tych pokoi ma wyjście na mały taras, biegnący wzdłuż południowej ściany budynku. Z tarasu

schodki prowadzą na dół. Tu znajduje się trawnik, za nimi wewnętrzna uliczka, wiodąca do sąsiedniej willi „Sokolik”. „Sokolik” wobec małego napływu gości w październiku, był obecnie nieczynny. Mieszkała w nim tylko służba. Druciana siatka oddziela „Carlton” od sąsiadującego z nim gęstego, młodego lasu. Po drugiej stronie ulicy Ku Skoczni, w takim samym lesie, stoi szeregiem kilkanaście nowych will.

Na pierwszym piętrze „Carltonu” znajduje się dziesięć pokoi. Dwa z nich zajmuje kierownik z rodziną. Są tu również dwie łazienki. Jedna do wyłącznej dyspozycji kierownika, przedmiot ciągłych zdrażeń z gośćmi pensjonatowymi, gdyż w tej drugiej wiecznie psują się rury i całymi miesiącami jest nieczynna. Dziwnym trafem konserwacja i naprawa „prywatnej” łazienki są zawsze bardziej trwałe. Z korytarza na pierwszym piętrze można również wyjść na obszerny taras nad salonem. Poza tym wzdłuż południowej ściany budynku biegnie długi, wspólny dla wszystkich pokoi balkon. Odpowiada on tarasowi na parterze.

Drugie piętro jest nieco mniejsze. Liczy tylko sześć pokoi. Nie ma łazienki, a jedynie prysznic. Ale i tu pokoje od południowej strony mają taki sam balkon.

Obecnie większość tych pomieszczeń stała pusta. Chociaż październik należy w Zakopanem do najcieplejszych i najbardziej słonecznych miesięcy w roku, nie przyjęło się jakoś jeźdzenie w tym okresie w góry. Większość ludzi woli moknąć w sierpniu w Zakopanem, Krynicy czy Karpaczu, zamiast korzystać z pięknego słońca złotej polskiej jesieni.

Na dole mieszkali inżynier Adam Źarski, pracownik jednej z hut dolnośląskich i pani profesor Maria Rogowiczowa, wykładowca na Wydziale Farmakologii Akademii Medycznej w Białymstoku.

Na pierwszym piętrze obszerny pokój zajmował artysta metaloplastyk, Mieczysław Dobroźlocki. Tuż obok znajdował się pokój pani Zosi Zachwytowicz, początkującej aktoreczki filmowej, żony naczelnego redaktora jednego z warszawskich tygodników. Po sąsiedzku mieszkał Jerzy Krabe, krytyk literacki, pracujący w Spółdzielczym Instytucie Wydawniczym. Następny pokój zajmowali państwo Zagrodzcy. On - dyrektor biura projektowego w Warszawie, ona - „przy mężu”, matka dwóch córek. Państwo Zagrodzcy wyjechali na kilka dni do Czechosłowacji. Następne dwa pokoje, to mieszkanie kierownika. Chwilowo był słomianym wdowcem, gdyż żona towarzyszyła w wycieczce państwu Zagrodzkiemu. Ojciec z pomocą pokojówek opiekował się dwoma ładnymi, żywymi chłopakami, ale nie było dnia, żeby czegoś nie spsocili.

Drugie piętro zajmowali: dziennikarz z Warszawy, Andrzej Burski. Pisywał w różnych tygodnikach, na ogół specjalizując się w przestępstwach i sprawach sądowych. Wydał też ostatnio powieść kryminalną z fabułą, opisującą skomplikowane morderstwo, popełnione w kabinie służącej do przymierzania garniturów męskich w Powszechnym Domu Towarowym, podczas największego ruchu. Obok mieszkała Barbara Miedzianowska, zatrudniona w przedstawicielstwie handlowym wielkiego amerykańskiego koncernu chemicznego. Z racji swojego zawodu pani Miedzianowska władała kilkoma językami i często wyjeżdżała za granicę. Zajmowała się również dorywczo tłumaczeniami z języków obcych. Sądząc po jej strojach, amerykański koncern musiał pamiętać o swojej przedstawicielce w Polsce.

Następne pomieszczenie zajmował młody taszysta, Paweł Ziemak. Pan Ziemak skłócony był z całym towarzystwem, gdyż, jak twierdził, nie rozumiało ono prawdziwej sztuki i lubowało się w „malowankach” i tym podobnych bohomazach. W restauracji „Jędrus”, gdzie całe towarzystwo często lądowało na dansingu, malarz Ziemak demonstracyjnie zamawiał likier do dzwonka śledzia lub kazał sobie podawać gruszkę do szklanki wódki, którą duszkiem wypijał. Poza tym był to „złoty chłop” i doskonały kompan. Znał też doskonale Tatry. W swoich, jak mawiał, „szczenięcych latach”, uprawiał nawet taternictwo wyczynowe. Właśnie Ziemak i pani Miedzianowska byli inicjatorami wszelkich górskich eskapad. Dzisiaj udało im się wyciągnąć na jedną z nich nawet dość korpulentną panią profesor i jubilera, który dotychczas poranki spędzał przy pracy nad swoimi klejnotami.

Również teraz, po powrocie do swojego pokoju, Mieczysław Dobroźlocki wyjął z szafy komplet przyborów snycerskich do rzeźby w złocie i uzbrojony w powiększające szkło, cyzelował jeszcze pierścień renesansowy z dużym, nieforemnie oszlifowanym brylantem. Dopiero gdy zabrzmiał gong na kolację, jubiler zamknął stalową kasetkę i zszedł na dół.

Rozdział II

Ku zadowoleniu Rózi goście zeszli na kolację punktualnie. Tylko jedno miejsce było przez krótki czas wolne. To pani Zosia odczekała, aż wszyscy znajdą się przy stole, żeby jak zwykle zrobić „grand’ entré” i zademonstrować nową toaletę. Tym razem była to jedwabna, zielona wzorzysta suknia w kształcie dzwonu i tak krótka, że zakrywała nogi zaledwie do pół uda. Stało się teraz jasne, dlaczego pani

Zachwytowicz nie chciała pójść z inżynierem na kawę. Czas do kolacji spędziła pracowicie u fryzjera. Rezultatem tej wizyty była fryzura wysoka prawie na ćwierć metra.

- Śliczna suknia i w pięknym kolorze - złośliwie zauważył malarz - szkoda więc, że zabrakło paru centymetrów materiału.

Obie pozostałe panie uśmiechnęły się, a pokojówka odwróciła głowę, aby ukryć, że ośmiela się śmiać z gościa. Nie zmieniło to nastroju samozachwyty pani Zosi, która nie mogła jakoś zrozumieć, że kolano jest najbrzydszą częścią kobiecej nogi i pokazywanie „jabłek” bynajmniej nie dodaje nikomu uroku. Była szczęśliwa, że znowu udało się jej zwrócić uwagę całego towarzystwa. W wyobraźni widziała siebie wchodzącą w króciutkiej sukience na wielką salę na pierwszym piętrze restauracji „Jędrus”. Urwą się wtedy wszystkie rozmowy, a oczy wszystkich będą wpatrzone w nią, idącą przez salę w towarzystwie dwóch młodych, przystojnych ludzi.

Kolacja przeszła bez dalszych incydentów. Jubiler nadal rozmawiał z panią profesor o swoich klejnotach. Pani Zosia siedziała sztywna, żeby nie pognieść sukni i nie zburzyć fryzury. Malarz milczał, a pani Basia dyskutowała z panem Krabe na temat ostatnich występów teatru angielskiego, który niedawno bawił w stolicy. Inżynier zamienił z dziennikarzem kilka nic nie znaczących zdań i pierwszy wstał od stołu.

- Przepraszam, że nie odsiaduję kolacji, ale muszę naprawić ten nieszczęsny telewizor, inaczej nie obejrzymy „Kobry”.

Uklonił się lekko i opuścił jadalnię, udając się do salonu. Po chwili rozległy się stamtąd gwizdy i piski, znak, że kwadratowe pudło nie poddawało się bez walki.

Tymczasem reszta w spokoju kończyła kolację. Popijano herbatę, dowodząc, jak codziennie od piętnastu lat, że „wyżywienie w „Carltonie” w ostatnich czasach bardzo się pogorszyło”. Pierwszy wstał od stołu pan Dobroźlocki.

- Idzie pan na telewizję? - spytała pani Basia.

- Nie. Sądząc z odgłosów dochodących z salonu, na razie nie ma po co chodzić. Zajrzę tam, kiedy zacznie się „Kobra”. Pani Róziu, gdyby pani była tak dobra i przyniosła mi za jakąś godzinę pół szklanki herbaty. Muszę zażyć lekarstwo.

- Źle się pan czuje po dzisiejszej wycieczce? - zaniepokoiła się pani profesor.

- Przeciwnie, czuję się jak młody bóg. Tylko nie zapominam, że mam pięćdziesiąt osiem lat i nadciśnienie. Trzeba codziennie, chciał nie chciał, łyknąć

swoje pigułeczki.

Kiedy jubiler zniknął na schodach prowadzących na pierwsze piętro, malarz zauważył:

- Ciekaw jestem, ile mu zapłacono za robotę tych eksponatów? Musiał chyba zarobić parę ładnych kawałków. Przecież te klejnoty warte są z milion złotych.

- Milion? Nie mam wprawdzie miliona, ale chętnie bym kupił tę szkatułkę za pańską cenę. I dobrze bym na tym zarobił - odpowiedział dziennikarz. - Co najmniej półtora miliona.

- Ale w kraju nikt by ich od pana nie kupił.

- Nie wiadomo. Są ludzie, którzy mają pieniądze i są też tacy, którzy mają kontakty z cudzoziemcami. Choćby pani Basia. Wśród swoich Amerykanów na pewno znalazłaby amatora chętnego po cichutku, z rączki do rączki, dać dolary, a potem wywieźć biżuterię. Chociażby w oponie swojego samochodu, prawda?

Pani Basia nie odpowiedziała na to pytanie. Spojrzała na zegarek i wstając od stołu zauważyła:

- Już pół do ósmej. Idę do „Kmicica”. Umówiłam się tam ze znajomą.

Wyszła z jadalni, poszła na górę i po paru minutach siedzący jeszcze przy stole widzieli, jak opuszczała „Carlton”.

- Ile pani Basia może zarabiać? - zainteresował się pan Krabe.

- Sądząc po wydatkach - odpowiedział dziennikarz - sporo. Używa wyłącznie paryskich kosmetyków. Nie widziałem na jej nogach innych pantofli, jak włoskie. Również suknie ma w najlepszym gatunku. Wymieniała nazwisko krawcowej mieszkającej na Hożej. To najelegantszy i najdroższy zakład w Warszawie. Przypuszczam, że prócz oficjalnej pensji dostaje przy każdej okazji różne prezenty od Amerykanów. Tłumaczenie książek także przynosi jej trochę grosza.

- W każdym razie dobra posada. Przypuszczam, że mniej niż jakieś cztery tysiące złotych nie dostaje. Z prezentami wynosi to znacznie więcej.

Pani profesor uśmiechnęła się.

- Wiem, że pani Basia ma poważne kłopoty finansowe. Skarżyła się, że potrzebuje sześćdziesięciu tysięcy złotych na dokończenie budowy mieszkania. No, ale i ja opuszczę państwa. Udało mi się dostać dzisiaj w kiosku „Le Monde”. Zdażę przejrzeć go jeszcze przed „Kobłą”.

Pani Zosia raz po raz nerwowo spoglądała na zegarek.

- Jakoś nie widać góralskiej gwardii - zauważył redaktor.

- Niech się pan nie martwi. Przyjdą! Ale ja też muszę iść na górę. Trzeba się poprawić nieco i przyczesać włosy.

- Przydałoby się także podłużyć suknię - mruknął malarz, ale pani Zosia już chyba tych słów nie dosłyszała, gdyż pominęła milczeniem tę nową złośliwość.

- Zawsze zastanawiam się, panie Pawle, czy to taka idiotka, czy też taka cwana dziewczyna - powiedział dziennikarz. - Ubiera się tak, że prostytutki sprzed „Polonii” mogą przy niej uchodzić za wzór cnoty. Co wieczór prawi do męża przez telefon czule słówka, a... wiemy sami, jak tam jest.

- Na pewno nie idiotka - zaprotestował malarz - jest bardzo mądra. Gdyby ubierała się spokojnie i nie szokowała swoim zachowaniem, nikt by jej nie zauważył. Uroda w gruncie rzeczy przeciętna, a budowa ciała? Jako malarz znam się na tym. Do modelki bardzo jej daleko. Jednakże dzięki zwracaniu na siebie uwagi złapała męża takiego, jaki był jej potrzebny. Na stanowisku niezłym, z dobrymi dochodami i z możliwościami wprowadzenia (młodej żony w świat naszego high-life’u, o co jej tylko chodziło. Jest więc ta, jak pan mówi, „idiotka”, dzisiaj „naczelną redaktorową”, w tym charakterze bywa na rautach i przyjęciach w ambasadach i szarogęsi się w redakcji męża.

- Pan zna tego człowieka?

- Bardzo przyzwoity facet. Ale pani Zosieńka potrafiła owinąć go koło swojego małego palca. W stosunku do własnej żony Andrzej stracił zupełnie poczucie krytycyzmu. Bez zastrzeżeń wierzy wszystkiemu, nawet temu, że jego żoneczka go ubóstwia.

- A tak nie jest?

- Na pewno nie. To kobieta zimna i wyrachowana. Taka, co po trupach idzie do swojego celu.

- Przecież ten cel osiągnęła.

- Nie. To dopiero pierwszy stopień jej kariery. Teraz walczy o pozycję w filmie i sławę wielkiej aktorki.

- Może ma naprawdę talent?

- Beztalenciem jej na pewno nie można nazwać. Ale takich jak ona i to z lepszymi nawet warunkami fizycznymi, jest setki, jeżeli nie tysiące. I nigdy żadnej roli, czy nawet małej rólki nie dostaną w choćby całkiem sznurowatym filmie.

- A pani Zosia?

- A pani Zosia dzięki własnemu tupetowi, stosunkom męża, a nawet lekkiemu

szantażowi, że potrafi odpowiednio nastawić krytykę, dostała, wprawdzie epizod, ale w dobrym filmie. Umiała się odpowiednio zakreślić, żeby każdy krytyk piszący o tym obrazie zauważył tam jej obecność i ciepło to wspomniał. Więc i filmowcy szybko zorientowali się, skąd wiatr wieje i nasza bohaterka zagrała następną, już nieco większą rolę. I tak, szczebel po szczebelku, pani Zachwytowicz zdobyła dziś opinię wschodzącej gwiazdki naszego ekranu,

- To chyba kres jej możliwości?

- Nie. To dopiero początek. Zosia wie, że, jak mówią Francuzi, „nawet pan Bóg potrzebuje dzwonów”. Więc stara się o możliwie najbardziej hałaśliwą reklamę. Te ekscentryczne stroje i choćby ta jej „góralaska gwardia”...

- A ci po co?

- Po to, żeby wszyscy widzieli, jakie ma powodzenie i jaka z niej demoniczna, rozpustna kobieta. Gotów jestem dać szyję, że pani Zosia kalkuluje zupełnie na zimno i w tej chwili nie narazi się na żadną awanturę, mogącą zrazić do niej Andrzeja. Ten mąż jest jej jeszcze potrzebny. Jak długo, tego nie wiem. W każdym razie kieruje się zasadą „niech o mnie mówią, nawet źle, byleby tylko mówili dużo”. Te góralczyki poza paroma pocałunkami na pewno niczego więcej nie osiągnęli. Zaś dzięki nim, nawet my mówimy o pani Zosieńce dużo dłużej niż to warto.

- Widzę, że pan ją dobrze zna?

- Tak się w ubiegłym roku złożyło, że byłem świadkiem paru rozmów, jakie prowadziła pani Zachwytowicz ze swoimi przyjaciółmi. Między innymi i z inżynierem, którego wtedy zatrudniała w charakterze swojego gwardzisty. Zwierzała się też kiedyś ze swoich planów życiowych.

- Ciekaw jestem?

- Ja też traktowałem ją początkowo jak kretynkę. Dzisiaj, po roku, widzę, z jaką konsekwencją ta pani realizuje swoje zamierzenia. Sądzę, że uda jej się, ciągle grając rolę „idiotki”, sięgnąć i dalej.

- Dokąd?

- Jej celem jest zdobycie teraz możliwie największej popularności w kraju i odpowiedniej bazy materialnej do wyjazdu za granicę. Liczy, że tam znajdzie jakiegoś innego mężczyznę, który tak jak Andrzej w Polsce, da jej odpowiednią pozycję w filmie światowym.

- Pan naprawdę wierzy, że jej się to uda?

- Bo ja wiem? W tych czasach, jak to po naszej Zosieńce widać, tylko tupet

popłaca. I marsz po trupach.

- Mimo wszystko zdobycie tego drugiego szczebla będzie dużo trudniejsze. Przede wszystkim zdobycie pieniędzy. Za granicą kariery Kopciuszków należą do legendy. Tam każdy start wymaga odpowiednich środków.

- Kto jak kto, ale pani Zachwytowicz doskonale zdaje sobie sprawę z tego.

- W Polsce nie mamy prywatnych impresariów, którzy zainwestowaliby w taki interes. Gdyby nawet istnieli, wątpię, czy uważaliby, że ryzyko się opłaca.

- Toteż nasza gwiazda nie szuka impresaria. Raczej opiekuna, który by miał pieniądze na wylansowanie żony, czy kochanki.

- I takiego tu nie znajdzie.

- Więc rozgląda się, skąd zdobyć pieniądze na dalszą karierę. Czy pan zauważył kiedykolwiek, żeby pani Zosia za coś płaciła? Nawet kosmetyki, jakie ma, przywożą jej znajomi w prezencie. Tu w Zakopanem, również my, mężczyźni, zawsze płacimy za nią. W Warszawie narzuciła mężowi rygor jak najdalej posuniętych oszczędności. Wiem też o różnych drobnych aferkach, stojących na pograniczu kodeksu karnego - jakieś tam protekcyjki przy wyrabianiu przydziału na samochód z puli specjalnej itd. które Zosieńce przyniosły po kilkudziesiąt tysięcy.

- To wszystko mało. W bitwie o wielką karierę walczy się złotymi kulami.

- Niech się pan nie boi. Ta Joanna d'Arc dobrze wie o tym i szykuje sobie odpowiedni zapas amunicji, Rozpocznie bitwę, kiedy będzie dostatecznie uzbrojona.

- Hmm - mruknął dziennikarz. Widać było, że nie jest na sto procent przekonany wywodami pana Ziemaka. Sięgnął po papierosy, ale pudełko okazało się puste. Malarz nie palił, więc Burski, chcąc nie chcąc, podniósł się z krzesła i skierował w stronę schodów.

- Mam nadzieję - dodał wychodząc - że naszemu majstrowi uda się jednak naprawić ten nieszczęsny telewizor. Trzeba przyznać, że energicznie zabrał się do rzeczy. Piski i gwizdy słychać chyba na całe Zakopane.

Malarz dopił herbatę, po czym również poszedł do swojego pokoju. Tymczasem do jadalni weszła pani Basia Miedzianowska. Była w brązowej kurteczce z węgierskich baranów.

- Już pani wróciła? - zdziwiła się pokojówka, sprzątająca ze stołów.

- A tak. Umówiłam się w „Kmicicu” ze znajomą, ale babka nawaliła.

Posiedziałam piętnaście minut i przyszłam z powrotem. Lepiej popatrzę na dziennik

telewizyjny.

- Nic z tego. Pan Żarski ciągle jeszcze reperuje.

- Wobec tego pójdę do siebie - zdecydowała Miedzianowska i wyszła z jadalni. Przeszła korytarz i zaczęła wchodzić na schody. Pani Różia powróciła do przerwanej na chwilę pracy. Zabierała naczynia i składała do windy, którą transportowało się posiłki z kuchni położonej w suterenie. Następnie zdjęła wszystkie obrusy, złożyła je i również odesłała na dół. Teraz z szafy w ścianie wyjęła czystą bieliznę i nakrywała nią stoły. Jutro rano goście będą jedli śniadanie na czystych obrusach. Tak upłynęło około czterdziestu minut.

- Jak tam, pani Róziu, moja herbata? - rozległ się głos jubilera, który stanął w drzwiach jadalni.

- Przecież pan prosił za godzinę - tłumaczyła się pokojówka - jeszcze nie zamówiłam w kuchni.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnął się Dobroźłocki - tylko tak przypomniałem przy okazji, bo schodziłem telefonować. Poproszę więc za kwadrans. Dobrze?

- Na pewno przyniosę.

Jubiler zawrócił i za chwilę lekki skrzyp schodów świadczył, że wraca na piętro. W parę minut potem do jadalni zajrzał jeszcze kierownik, który wydał Rózi kilka poleceń i również udał się do siebie. Na parterze „Carltonu” zapanowała niemal kompletna cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu odgłosami wydawanymi przez telewizor. Dochodziła dziewiąta wieczorem.

- Proszę państwa - rozległ się donośny głos inżyniera Żarskiego, mówiącego tak, aby go usłyszeli mieszkańcy pensjonatu na wszystkich piętrach - telewizor zreperowany. Za pięć minut „Kobra”.

- Duże brawa dla genialnego mechanika! - odskrzyknął z drugiego piętra dziennikarz. Na pierwszym ktoś klaskał w ręce.

- Od razu mówiłam - ucieszyła się pokojówka - że kto jak kto, ale pan inżynier zreperuje telewizor. Bo w zeszłym tygodniu, jak za to wziął się pan kierownik, to na drugi dzień Jasio musiał wozić telewizor do miasta, do mechanika.

- Gdyby bardziej się zepsuł, to ja również bym go nie naprawił - skromnie zauważył inżynier. - Nic mu nie było. Po prostu rozstroił się. Przy okazji dokręciłem kilka obluźwionych śrubek. Za to teraz gra jak ta lala.

Towarzystwo zaczynało się powoli schodzić. Pani profesor, chociaż mieszkała na parterze, zeszła z góry. Zjawiła się i pani Zosia z płaszczem na ręku. „Gwardia”

najwidoczniej spóźniła się, bo chociaż dochodziła dziewiąta, nie było żadnego z wielbicieli. Za panią Zachwyłowicz zjawił się w salonie malarz razem z dziennikarzem. Po chwili zeszła pani Miedzianowska. Biegiem wpadli dwaj synowie kierownika, który przyciągnął za swoimi pociechami. Pan Krabe zszedł na dół, ale stwierdziwszy, że zapomniał papierosów, zawrócił i dopiero po chwili wszedł do salonu, trzymając pudełko „Waweli” i paczkę zapalek w ręku. Z boku usiadła pokojówka Różia oraz portier, pan Jasio.

- Tylko pana Dobroźlockiego brakuje nam do kompletu - zauważył dziennikarz.

- Ach, ależ ze mnie gapa! - zawołała Różia. - Zupełnie zapomniałam o herbacie dla pana Dobroźlockiego. Pewnie tam na nią czeka - i wybiegła z salonu do kuchni. W minutę później można było zauważyć pokojówkę, jak wchodziła na schody, niosąc na tacy szklanekę herbaty. „Kobra” jeszcze się nie rozpoczęła, na ekranie telewizora przesuwały się obrazy kroniki „Z kraju i ze świata”, gdy nagle wszyscy usłyszeli brzęk szkła na górze i rozpaczliwy głos Rózi:

- Jezus! Maria! Na pomoc!

W chwilę później Różia blada jak papier zbiegła po schodach i stanęła w drzwiach salonu.

- Nieszczęście! Pan Dobroźlocki leży na podłodze. W kałuży krwi.

Wszyscy zerwali się ze swoich miejsc. W drzwiach prowadzących na korytarz zrobił się korek. Każdy chciał pierwszy opuścić salon i biec na górę. Udało się to kierownikowi. Druga była pani Miedzianowska. Za nimi pośpiesznie szła reszta gości, portier i pokojówka.

Na pierwszym piętrze drzwi do pokoju Dobroźlockiego były szeroko otwarte tak, jak je zostawiła Różia. Przed drzwiami leżała taca, widać było mokrą plamę po rozlanej herbacie i stłuczone szkło. Wewnątrz pokoju, tuż przy progu, leżał jubiler. Był odwrócony tyłem do patrzących z korytarza. Na głowie widniała duża, czerwona plama, kontrastująca z siwizną włosów. Na posadzce koło głowy zbierała się kałuża krwi.

- Ach! - krzyknęła pani Zosia i zemdlała, padając w ramiona stojącego obok niej inżyniera. Na pomoc pośpieszył mu pan Krabe i wspólnie zanieśli aktorkę do jej pokoju.

Tymczasem kierownik i pani profesor pochylili się nad leżącym.

- Jeszcze żyje - rzekł kierownik - oddycha.

- Natychmiast apteczkę i bandażę - rozkazała pani profesor - załóżę prowizoryczny opatrunek i trzeba wezwać pogotowie.

- Jasiu - rozkazał kierownik - proszę zadzwonić do pogotowia, żeby jak najszybciej przyjechało. A potem na milicję.

Jasio i Różia zbiegli na dół. W kilka chwil potem wróciła Różia, niosąc całą zawartość podręcznej apteczki, w jaką był zaopatrzony „Carlton”. Maria Rogowiczowa wzięła z rąk pokojówki gazę, bandażę i dwie buteleczki z płynami dezynfekującymi.

- Chociaż jestem tylko farmaceutką i od lat nie miałam z tym do czynienia, to chyba będę potrafiła założyć opatrunek, aby zatamować upływ krwi. Obawiam się jednak, że czaszka jest uszkodzona. Widocznie Dobroźłocki potknął się i upadł tak nieszczęśliwie, że rozbił sobie głowę.

- Co za wypadek - lamentowała pokojówka.

- Obawiam się, że to nie wypadek, lecz zbrodnia - zrobił rzeczową uwagę inżynier i zwracając się do kierownika dodał - dobrze, że kazał pan wezwać milicję. Może położymy go na tapczanie?

- Nie - sprzeciwiła się Rogowiczowa, sprawnie bandażując głowę nieprzytomnego jubilera. - Wolałabym go nie ruszać, podłożymy mu jedynie poduszkę pod głowę. Resztą niech zajmie się lekarz. Sądzę, że milicja również będzie bardziej zadowolona, gdy zobaczy rannego w takiej pozycji, w jakiej znalazła go pani Różia.

- Chodźmy na dół - zaproponowała Miedzianowska - tutaj wystarczy opieka pani profesor i kierownika. My nie mamy tu nic do roboty, tylko przeszkadzamy.

- Słusznie - przytaknęła Rogowiczowa. - Idźcie do salonu i czekajcie na pogotowie i milicję.

W ponurych nastrojach pensjonariusze udali się do salonu, gdzie na szklanym ekranie przesuwaly się obrazy „Kobry”.

- No - zauważył sarkastycznie inżynier - mamy „Kobrę”. Dziękuję za przyjemność - sięgnął do kieszeni czegoś szukając, a potem skierował się do swojego pokoju, którego drzwi znajdowały się w korytarzu obok salonu. Reszta siedziała w milczeniu. Przerwał je dopiero kierownik, który stanął w drzwiach salonu.

- Czy Jasio dzwonił do pogotowia? - spytał.

- Nie mógł się dodzwonić z naszego aparatu i poszedł do „Sokolika” - odpowiedziała pokojówka.

- A jak tam pan Mieczysław? - spytała pani Basia.

- Żyje. Pani profesor mówi, że potrzebna będzie natychmiastowa operacja.

Twierdzi, że wyżyje, ale nadal jest nieprzytomny..

- To lepiej dla niego, bo mniej cierpi.

W tym momencie wrócił portier. Połączył się z pogotowiem, korzystając z aparatu w willi „Sokolik”. Już wysyłają karetkę z dyżurnym lekarzem. Rozmawiał też z milicją, która zaraz ma przyjechać.

- Niech Jasio otworzy bramę - polecił kierownik - żeby obydwa wozy mogły wjechać do środka.

Portier wyszedł, a w salonie zjawiała się pani Zosia, która doszła nieco do siebie. W tej chwili skrzypnęły drzwi od ganku i z hallu weszło na korytarz dwóch młodych ludzi. Ubrani byli w płaszcze noszące ślady deszczu. Widząc w salonie panią Zosię, przyspieszyli kroku.

- Pani Zosieńko, bardzo przepraszamy za spóźnienie. Musiała pani na nas czekać, ale to wina Jacka. Ale... Co się stało? Dlaczego macie takie grobowe miny?

- Radzę panom jak najszybciej opuścić „Carlton”. Stało się nieszczęście. Pan Dobroźlocki, jeden z gości naszego pensjonatu - informował dziennikarz - został ciężko ranny. Jeszcze nie wiemy, czy to wypadek, czy zbrodnia. W każdym razie przybędzie tu zaraz i pogotowie, i milicja. W tej sytuacji nikt nie może opuścić willi i nie ma mowy, aby pani Zosia mogła pójść z wami na dansing.

Na twarzach młodych ludzi odmalowało się najpierw zdziwienie, a później przerażenie.

- Ma pan rację, redaktorze, lepiej spłynąć, zanim przyjedzie milicja. Gotowi i nas przesłuchiwać. Współczujemy i przepraszamy. Pani Zosieńko, całujemy ręczki i zameldujemy się jutro. No, Jacek, wycofujemy się - ukłonili się i szybko opuścili willę.

Wrócił za to Jasio. Wyszedł również ze swojego pokoju inżynier. Szeptem rozmawiał z Rózią, jak gdyby do czegoś ją namawiając.

- A ja wiem, czy pan kierownik się zgodzi? - broniła się pokojówka.

- Na pewno. Jemu samemu również przyda się filiżanka dobrej, mocnej kawy. Właśnie proszę - zwrócił się do zebranych w salonie - panią Rózię, aby zrobiła nam mocnej kawy.

- O, tak - pani Basia poparła inżyniera - dużo gorącej, mocnej kawy, Bardzo prosimy, pani Róziu.

- Może pani pomóc? - ofiarował się inżynier.
- Nie, dziękuję. Tylko żeby pan kierownik się nie gniewał.
- Bierzemy to na siebie - zapewnił ją pan Krabe. Znowu zapadło milczenie.

Wreszcie dał się słyszeć warkot podjeżdżającego samochodu, a potem otworzyły się drzwi ganku i stanął w nich mężczyzna w białym kitlu, na który miał narzucony nieprzemakalny płaszcz.

- Państwo wzywali pogotowie? Gdzie jest chory?

- Tak. Wypadek. Ciężka rana głowy - informowała pani Miedzianowska - proszę, pan doktor pozwoli na pierwsze piętro.

Lekarz pochylił się nad leżącym na posadzce jubilerem.

- Założyłam mu prowizoryczny opatrunek - wyjaśniła profesor - jestem farmaceutką. Bardzo krwawił. Obawiam się, że to pęknięcie czaszki. Przypuszczam, że niezbędna jest natychmiastowa trepanacja i transfuzja krwi.

- Dlaczego nie położyliście go na tapczanie?

- Mamy pewne podejrzenia, że to nie był nieszczęśliwy wypadek, tylko zbrodnia - objaśniał kierownik - zawiadomiliśmy już milicję. Przyjadą lada moment. Wydawało nam się, że lepiej zostawić wszystko tak, jak było w chwili odkrycia tego nieszczęścia.

- Słusznie - zauważył lekarz - milicja nie lubi, gdy „zaciera się jej dowody rzeczowe”. Żeby tylko jak najszybciej przyjechali. Ja właściwie nie mam tu nic do roboty. Dam zastrzyk na podtrzymanie akcji serca i zatelefonuję do szpitala, aby przygotowali salę operacyjną. Żeby ta milicja...

Jak na zawołanie rozległy się kroki na schodach i na piętro weszło trzech mężczyzn w mundurach milicyjnych.

- Podporucznik Andrzej Klimczak z Komendy Miejskiej MO - przedstawił się najstarszy rangą. - Co się stało?

Kierownik streścił przebieg wypadków.

- Mam nadzieję, że ciała i niczego w tym pokoju nie ruszono?

- On żyje - wtrącił lekarz - trzeba go natychmiast operować. Muszę go w tej chwili zabrać do szpitala.

- Założyłam jedynie prowizoryczny opatrunek i podłożyłam poduszkę - tłumaczyła się pani profesor.

- Dobrze - zdecydował oficer milicji. - Czy można go przesłuchać?

- Jest nieprzytomny. Jeśli nawet operacja się uda i pacjent wyżyje, to będzie

nieprzytomny przez kilka dni. Mogło się również zdarzyć, że mózg został tak uszkodzony, że człowiek ten nigdy nie odzyska w pełni władz umysłowych - sucho informował lekarz.

- Trudno! Musimy sobie poradzić bez poszkodowanego.

Lekarz kiwnął głową porucznikowi i poszedł po sanitariusza i kierowcę. Przyszli z noszami, na które ostrożnie położono Dobroźlockiego i niemniej ostrożnie zniesiono na parter, a potem do samochodu. Przez ten czas lekarz porozumiewał się telefonicznie ze szpitalem, aby uprzedzić, że wiezie chorego wymagającego operacji.

- Chwileczkę - zatrzymał doktora oficer MO - jak się panu zdaje, w jaki sposób popełniono zbrodnię?

- Chory - odpowiedział lekarz po namyśle ma w tyle głowy rozległą ranę; zadaną jakimś tępym narzędziem. Sądząc z położenia ciała, stał prawdopodobnie przy ścianie, tyłem do pokoju. Może chciał zapalić światło i wtedy albo potknął się i uderzył głową o róg tapczanu, lub też otrzymał silne uderzenie w tył głowy.

- Gdyby mógł powiedzieć choć ze trzy słowa - westchnął kierownik.- Też by nic nie wyjawiał. Jeśli upadł, nie będzie pamiętał, jak to było. Jeśli został uderzony, nie mógł widzieć napastnika.

Lekarz pożegnał się z kierownikiem i z oficerem i karetka z włączoną syreną popędziła w stronę szpitala miejskiego.

- Jeżeli przyjąć hipotezę zbrodni - zapytał podporucznik Klimczak - to jaki może być jej motyw?

- Pan Dobroźlocki jest jubilerem. Ale nie takim zwykłym. To złotnik-artysta, rzeźbiący w drogich metalach. Jadąc do Zakopanego, wziął ze sobą cenną biżuterię, którą przygotowywał na wystawę we Włoszech. Podobno ta biżuteria warta jest parę milionów złotych.

- Gdzie ją trzymał?

- W metalowej kasetce.

- W takim razie zrobimy rewizję w pokoju i sprawdzimy, czy wszystko jest na swoim miejscu.

Trzej milicjanci, którzy dotychczas wchodzili do pokoju tylko dla dokonania zdjęć i sprawdzenia zawartości kieszeni jubilera, teraz przekroczyli próg, uważnie się rozglądając. Pokój był elegancko umeblowany, ale jak to zwykle bywa w tego rodzaju pensjonatach, dość szablonowo. W rogu znajdowała się umywalka, z lampką nad półeczką. Dalej stała duża toaletka z lustrem, a za nią szafa. Wszystko z orzecha.

Pod przeciwległą ścianą zaś niskie łóżko i stojący za nim tapczan. Ponieważ ściana miała w środku występ, łóżko nie mieściło się w tak powstałej wnęce, a stało odsunięte spory kawałek od muru. Kwadratowy stolik i dwa krzesła dopełniały umeblowania.

Podporucznik ostrożnie uchylił drzwi szafy. Wisiały tu: garnitur, wiatrówka i spodnie. Na półkach znajdowała się bielizna. Najwyżej leżały równo poukładane na flanelowej ściereczce różne narzędzia jubilerskie. Nigdzie jednak nie było szkatułki.

- Panie poruczniku - zawołał jeden z milicjantów - w drzwiach jest wybita szyba.

Drzwi prowadzące na balkon były nie domknięte, a szyba nad klamką została wygnieciona. Na balkonie leżały odłamki szkła.

Zachowując jak największą ostrożność, żeby nie zatrzeć jakichkolwiek śladów, milicjanci wyszli na balkon. Był on wspólny dla wszystkich pokoi położonych z południowej strony budynku. Okna były ciemne. Mieszkańcy tych pokoi znajdowali się obecnie w salonie na parterze.

- Tu jest drabina - powiedział porucznik wskazując drabinę, opartą o balustradę balkonu - tędy wszedł bandyta, wybił szybę i dostał się do pokoju. Widocznie spłoszył go wracający do pokoju jubiler. Zbrodniarz prawdopodobnie stanął koło umywalki i gdy Dobroźlocki wszedł do pokoju, zadał mu cios w tył głowy. Później napastnik - złapał kasetkę i uciekł tą samą drogą.

- Poszukamy na dole, może pozostawił jakieś ślady.

- Wątpię - skrzywił się podporucznik - od dziewiątej pada deszcz. Trzeba raczej szukać w pokoju. Może złodziej zostawił odciski palców?

Milicjanci wrócili do pokoju. Jeden z nich wyjął z walizeczki śledczej przybory i zajął się zdejmowaniem odcisków palców. Było ich dużo na szafie, toalecie, stoliku i na klamkach obojga drzwi. Drugi z podkomendnych podporucznika Klimczaka narzucił płaszcz i poszedł „zbadać teren”.

- Panie poruczniku - spytał kierownik - czy goście mogą wrócić do swoich pokoi? Na razie poprosiłem wszystkich, aby czekali w salonie.

- Sprawa jest prawie wyjaśniona, ale niech jeszcze trochę poczekają. Dla porządku muszę ich przesłuchać.

W tej chwili wrócił milicjant, szukający tropów zbrodniarza na zewnątrz budynku. W ręku trzymał metalową kasetkę.

- Leżała o jakieś dziesięć metrów od budynku - wyjaśnił - tuż przy siatce

ogradzającej willę. Widocznie bandyta zlął z drabiny, otworzył szkatułkę, zabrał jej zawartość, a metalowe, ciężkie pudełko wyrzucił. Jest otwarte i puste.

- A więc wiemy już, że biżuteria została zrabowana. Wiemy też, że napastnik wszedł i uciekł przez balkon, na który dostał się po drabinie. Ale czym uderzył? Wszystko świadczy o tym, że początkowo chciał jedynie dokonać kradzieży.

- Może uderzył tą szkatułką - zapytał jeden z milicjantów - jest dostatecznie ciężka, aby można było nią rozbić komuś głowę.

- Nie - zaprzeczył drugi - kasetka byłaby bardzo niewygodna. Ani jak trzymać, ani wziąć dobry rozmach. Musiał uderzyć czymś innym. Może łomem?

- Kto idzie kraść, nie bierze ze sobą łomu. A może jubiler miał jakiś młotek? Trzeba o to zapytać pokojówkę.

- W każdym razie musimy przesłuchać i służbę, i gości, jak również pana - podporucznik skierował te słowa do kierownika, który ciągle asystował milicji w jej poszukiwaniach.

- Jeśli można prosić, to wolałbym, aby najpierw przesłuchano pokojówkę, portiera i mnie. Mimo tego nieszczęścia, życie pensjonatu nie może doznać żadnego uszczerbku. Goście jak zwykle muszą jutro rano otrzymać śniadanie, a potem obiad i kolację. Musi być też posprzątane. Mamy dużo roboty, więc byłoby dobrze, żeby służba została zwolniona ze śledztwa w pierwszej kolejności. Goście mogą trochę poczekać. Jeśli później się położą, to rano odeśpią, a my musimy być na nogach od świtu.

- Zgoda - rzekł podporucznik - zresztą to przecież jedynie formalność. I tak wiemy, że zbrodniarz zakradł się z zewnątrz i uciekł przez balkon. Chodźmy na dół. Będziemy przesłuchiwać w jadalni. Niech goście czekają w salonie. Skoro mają ochotę, mogą nastawić telewizor lub słuchać radia. Najpierw przesłuchamy pokojówkę, potem portiera, a następnie pana, kierownika.

- Bardzo dziękuję.

Wszyscy czterej zeszli schodami na parter. W hallu wzrok podporucznika przykuła kanapka.

- A to co? - zapytał.

Na kanapce leżał duży, ciężki młotek.

Rozdział III

Jeden z milicjantów podszedł do kanapki, ostrożnie przez chusteczkę ujął

młotek i zaczął go uważnie oglądać.

- To ten sam - powiedział - po zbrodni był wycierany, ale nie dość dokładnie. Na trzonku, przy samym żelazie, wyraźnie widać dwie małe plamki. Świeża krew. A na żelazie zostały dwa krótkie siwe włosy. Takie same, jakie ma uderzony. Nie ulega wątpliwości, że ten młotek jest narzędziem przestępstwa. Ekspertyza na pewno to potwierdzi.

- Panie kierowniku, proszę iść do salonu - polecił oficer. - Będziemy wzywali kolejno na przesłuchanie.

Kierownik bez słowa sprzeciwu skierował się w prawą stronę korytarza. Milicjanci poszli w lewo. W salonie siedzieli goście. Na stole stał duży dzbanek i dwie puste szklanki. Wszyscy pili kawę.

- Dobrze, że Różia domyśliła się i zaparzyła kawy - pochwalił ją kierownik - mam nadzieję, że i dla mnie coś zostało.

Pokojówka podała mu kawę.

- Będą nas przesłuchiwać. To zresztą tylko formalność - powtórzył słowa podporucznika kierownik, popijając czarny napój - i tak już ustalono, że zbrodniarz zakradł się przez balkon, uderzył jubilera, zrabował klejnoty i tą samą drogą uciekł. Po drodze rzucił szkatułkę. Milicja ją znalazła. Szkoda, że pada deszcz, bo zmył wszystkie ślady, jakie mogłyby pozostać na drabinie opartej o balkon.

Pensjonariusze słuchali tych słów z ogromnym zaciekawieniem. Tylko portier zrobił minę, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie nie otworzył ust.

Tymczasem w jadalni milicjanci odbyli krótką naradę.

- Panie poruczniku - tłumaczył starszy sierżant, ten, który szukał w pokoju Dobroźlockiego odcisków palców - jeżeli zbrodnię popełniono tym młotkiem, to znaczy, że przestępca nie przyszedł z zewnątrz. Przecież po uderzeniu jubilera nie mógł ponownie wejść do willi i podrzucić młotek. Zabrałby go ze sobą. Coś mi tu nie gra.

- Ale przecież jest drabina, wybita szyba i kasetka, która leżała na dworze - podporucznik bronił swojej tezy - zapewne pokojówka lub któryś z gości zabrał z góry młotek i automatycznie położył go na kanapce w hallu. Najpewniej Różia, gdy przerażona zbiegała z piętra, aby zaalarmować mieszkańców. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, chwyciła młotek. Gdy oprzytomniała, rzuciła go na kanapkę.

- Mogło tak być - sierżant obstawał przy swoim - ale wówczas młotek byłby bardziej zakrwawiony albo przynajmniej byłyby ślady krwi na kanapce. Mówię panu,

że to jeden z tych, którzy siedzą w salonie, rozwalił łeb temu złotnikowi i gwizdnął brylanty.

- Więc co robić? - podporucznik był niezdecydowany. Za ledwie miesiąc temu skończył szkołę w Szczytnie i trafił do Zakopanego na pierwszą swoją placówkę. Pech chciał, że prawie na początku służby zdarzyła się sprawa przekraczająca normalny zakres codziennych funkcji Komendy Miejskiej MO. Za jeszcze większy pech podporucznik Klimczak uważał to, że komendant był właśnie na urlopie, a jego zastępcę wezwano służbowo do Krakowa. W komendzie został tylko on, świeżo upieczony podporucznik, podoficerowie i szeregowcy MO.

- Ja bym radził, panie poruczniku, wezwać z komendy jeszcze ze trzech ludzi. Pan przesłuchiwałby tutaj mieszkańców pensjonatu, a my przeprowadzilibyśmy szczegółową rewizję we wszystkich pokojach. Może znajdziemy te brylanty? Jeśli złodziej mieszka w „Carltonie”, miał bardzo mało czasu na ich schowanie. A może nawet tak jest pewny swojej bezkarności, że ukrył je przy sobie? Jeżeli pan porucznik pozwoli, wydam polecenie kierowcy, aby pojechał po kolegów.

- Trzech to za dużo. Nie możemy ogałacać komendy z całej rezerwy. Niech przyjedzie dwóch. Tymczasem przesłuchamy pokojówkę i portiera. Przypuszczam, że są oni niewinni, lecz mogą powiedzieć dużo ciekawych rzeczy.

- Panie poruczniku, niech pan się nie obrazi - odezwał się drugi z milicjantów - to ciężka sprawa. Wiem, że w domu wczasowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przebywa właśnie na urlopie pułkownik Edward Lasota z Komendy Głównej. Znam go dobrze, bo często przyjeżdżał do nas służbowo, wówczas, gdy był jeszcze w randze majora i pracował w departamencie szkolenia kadr. Słyszałem, że teraz jest oficerem śledczym do spraw specjalnych w KG MO. Pułkownik to równy chłop. Gdyby tak zatelefonować do niego, na pewno zechce nam pomóc. Nie jest zbyt późna godzina, dopiero po dziesiątej, chyba nie śpi? Podporucznik skrzywił się.

- Obawiam się, że taki pan najpierw odmówi, a po powrocie do Warszawy powie komu trzeba: „w tym Zakopanem najgłupszej sprawy nie potrafią załatwić i po nocy wczasowiczów z domu MSW wyciągają z łóżek”. I zaraz telefon z Warszawy z odpowiednim ochranem. A potem komendant da nam do wiwatu!

- Pułkownik Lasota nikomu świni nie podłoży. Pamiętam, że za poprzedniego komendanta zrobiliśmy pewne kapitalne głupstwo. Przyjechał z Warszawy, całą rzecz wyprostował i tak pokierował sprawą, że wszystko skończyło się pomyślnie. Gdyby wtedy chciał się przyczepić, nasz stary dobrze dostałby po uszach.

Klimczak jeszcze się wahał.

- Leszczyński dobrze radzi - powiedział sierżant - ja tego pułkownika także znam. Solidny facet i tęgi fachowiec. Sam pan widzi, poruczniku, że sprawa cholernie ciężka. Ci goście z „Carltonu”, to nie pierwsi lepsi. Inżynier, malarz, redaktor z Warszawy, jakaś Amerykanica, profesorka z uniwersytetu... Każdy na pewno ma dobre stosunki i plecy. Trzeba z nimi delikatnie, chociaż wśród nich jest ten, który palnął młotkiem w głowę jubilera i zabrał brylanty. W takiej historii samemu łatwo byka strzelić. Jeżeli pułkownik będzie razem z nami, to i śledztwo będzie poważniej wyglądało, i skorzystamy z doświadczenia fachowca. Niech pan się zgodzi. Leszczyński zadzwoni do pułkownika i pošlemy po niego naszą warszawę.

Porucznik dał się w końcu przekonać, a Leszczyński wziął na siebie obowiązek porozmawiania telefonicznie z pułkownikiem. Odpowiedź była przychylna. Wobec tego podporucznik Klimczak postanowił przesłuchać pokojówkę Rózię, zanim pułkownik zjawi się w „Carltonie”.

Pani Różia dokładnie opowiedziała, jak to prawie punktualnie o godzinie, dziewiątej, jeszcze przed rozpoczęciem „Kobry”, wzięła z kuchni szklanę z herbatą i zaniósła ją do pokoju jubilera. Gdy otworzyła drzwi, w pokoju paliło się światło, a Dobroźlocki leżał na podłodze w kałuży krwi. Tak się tym przestraszyła, że upuściła szklanę i z krzykiem zbiegła na dół.

- A dlaczego wzięła pani ze sobą młotek, który leżał koło jubilera?

- Jaki młotek? O czym pan mówi?

- Ten młotek - tu podporucznik pokazał pokojówce narzędzie, które - jak oświadczył - przypuszczalnie przyniósł ze sobą bandyta i rozbił głowę złotnikowi.

- Co też pan wygaduje - oburzyła się Różia - przecież to nasz młotek. Rano dzieciaki kierownika wyciągnęły go ze skrzyni z narzędziami i coś majstrowały na dworze. Potem nie odniosły na miejsce, tylko porzuciły na schodach. Kiedy goście wracali na obiad, to jedna z pań mało się o niego nie przewróciła. Wtedy pani Zachwyłowicz podniosła młotek, przyniosła do hallu i położyła na kanapce. Pewnie stamtąd go wzięliście.

- Pani widziała, że ten młotek cały czas tam leżał?

- Młotek widziałam, ale go nie pilnowałam. Miałam nawet zanieść go do kuchni, ale zapomniałam. Przed kolacją leżał jeszcze w hallu.

- A po kolacji?

- Potem nie wychodziłam z jadalni. Podawałam kolację, a później sprzątałam.

- Kiedy pani wyszła z jadalni?
- Jak pan inżynier krzyknął, że zreperował telewizor. Była za pięć dziewiąta.
- Tak dobrze pamięta pani godzinę?
- Przecież w jadalni wisi zegar. Kiedy pracuję, często na niego patrzę.

Spojrzałam też, kiedy wychodziłam i gasiłam światło. Była równo **8.55**.

- I ani razu nie opuściła pani jadalni?
- Nie. Mamy windę. Brudne naczynia i nakrycia odsyłamy na dół windą.
- Niech pani sobie przypomni, jak to było po kolacji. Kto pierwszy opuścił

salę i kiedy wyszedł pan Dobroźlocki?

- Pierwszy wyszedł pan inżynier. Za nim pan Dobroźlocki. Doskonale pamiętam, że inżynier Żarski powiedział: „muszę zreperować telewizor” i za chwilę usłyszeliśmy gwizdy z salonu. Pan Dobroźlocki wychodząc, prosił o przyniesienie herbaty.

- A następni? W jakiej kolejności wychodzili?

- Trzecia była chyba pani Miedzianowska. Mówiła, że idzie do „Kmicica”.

Potem może pan Krabe, a może pani profesor? Pani Zachwytowicz poszła się uczesać, bo wybierała się na dansing. Najdłużej zostali pan redaktor i pan malarz.

- To bardzo ważne, co pani mówi. Mamy w ten sposób kolejność, w jakiej pensjonariusze wracali po kolacji do swoich pokoi. Czy nikt więcej nie wchodził do jadalni?

- Wchodzili. Był kierownik i pani Basia po powrocie z miasta. A może odwrotnie? Najpierw pani Basia, a później kierownik. Pamiętam, że pani Miedzianowska wróciła po pół do dziewiątej.

- Do kogo był ten telefon, który pani odbierała? - zapytał podporucznik.

Pokojówka spojrzała na milicjanta wzrokiem pełnym zdziwienia. Takim, jakim się patrzy na wariatów.

- Przecież tłumaczyłam już panu porucznikowi, że cały czas byłam w jadalni. Nie wychodziłam stąd ani na krok. Najpierw wydawałam kolację gościom, później zaś, kiedy już wszyscy zjedli i wyszli, sprzątałam.

- To tak dużo roboty, żeby zajęło aż tyle czasu? Kiedy skończyła się kolacja?

- Na kolację zawsze dzwonimy punktualnie o siódmej. O, tym gongiem - pani Rozda pokazała duży metalowy gong wiszący na jednej ze ścian jadalni - zasadniczo kolację wydaje się od siódmej do ósmej. Kto się spóźni, albo je zimne, albo dostaje tylko deser, który stoi zawsze na stole. Chyba że ktoś uprzedzi, że przyjdzie później.

Wtedy zanoszę jedzenie do pokoju.

- Dzisiaj też pani nosiła komuś?

- Nie. Dzisiaj wszyscy zeszli do jadalni zaraz po siódmej.

- A długo siedzieli?

- Nie. Każdy się gdzieś spieszył. Pan inżynier, jak już mówiłam, zjadł najprędzej i od razu poszedł reperować telewizor. Pani Basia również się spieszyła, bo wychodziła do kawiarni. Inni też nie siedzieli i nie rozmawiali zbyt długo.

- Więc jak długo mniej więcej trwała ta kolacja? Pani Różia zastanowiła się.

- Chyba nie dłużej, jak czterdzieści minut.

- Potem już nikogo w jadalni nie było? Pokojówka była zdziwiona tymi pytaniami.

- Chyba nie.

- Wszyscy wyszli razem?

- Przypominam sobie, że najdłużej siedzieli przy stole pan redaktor i pan malarz.

- Kto?

- No pan Andrzej Burski i pan Paweł Ziemak. Pili herbatę i rozmawiali. Potem pan redaktor wstał i wyszedł, a pan Ziemak jeszcze chwilę został sam.

- Może pani namyśli się i jeszcze raz powie nam, w jakiej kolejności goście opuszczali jadalnię po kolacji.

- Więc jak już mówiłam, pierwszy wyszedł pan inżynier Żarski. Zaraz za nim pani Barbara Miedzianowska. Ona nawet nie poszła na górę do swojego pokoju, tylko miała w przedpokoju futerko - taką krótką kurteczkę, włożyła ją i wyszła z „Carltonu”. To już byłoby dwoje.

- A reszta?

- Kiedy ja specjalnie nie uważałam - pokojówka broniła się przed indagacją oficera milicji.

- Niech sobie jednak pani przypomni. To bardzo ważne. Ustaliliśmy, że pierwszy inżynier, później pani Miedzianowska, a dwaj ostatni to Burski i Ziemak. A reszta?

Pani Różia namyślała się.

- Już wiem. Źle powiedziałam przedtem. Nie tak było. Teraz pamiętam doskonale. Najpierw wyszedł pan inżynier, zaraz za nim pan Dobroźlocki. Dopiero trzecia wyszła pani Basia. Reszta państwa siedziała jeszcze chwileczkę i rozmawiała.

Potem opuściła jadalnię pani Zachwytowicz, a za nią i pani profesor Rogowiczowa. Z kolei wyszedł pan Jerzy Krabe i na końcu, tak jak mówiłam, pan Burski, a w parę minut po nim pan Ziemak.

- No świetnie - ucieszył się podporucznik - mamy więc już jedną sprawę wyjaśnioną. Tak więc na jakieś piętnaście minut przed ósmą została pani sama w jadalni?

- Tak - zgodziła się pokojówka.

- A co było potem?

- No przecież mówiłam. Sprzątałam. Najpierw musiałam zebrać wszystkie naczynia i po ustawieniu w windzie zesłać do kuchni. Następnie zdjęłam obrusy, zamiotłam cały pokój i nakrywałam już na rano, na śniadanie.

- Tak pani zeszło do prawie dziewiątej?

- A jak się panu zdaje? - pokojówka zaperzyła się z lekka. - Na pewno nie siedziałam z założonymi rękami.

- Nie o to chodzi - podporucznik Klimczak usiłował załagodzić sytuację. - Naturalnie, że posprzątanie takiej dużej sali wymaga czasu. Mnie idzie o co innego. Czy przebywając cały czas w jadalni, nie zauważyła pani czegoś?

- Co miałam zauważyć?

- Na przykład, że ktoś schodził na dół, lub wchodził do góry?

- Ktoś obcy?

- Nie tylko. Również i z mieszkańców pensjonatu.

- Obcy nie mógł wejść tak, żeby go portier Jasio nie zauważył. A co do naszych państwa, to wchodziła tylko pani Miedzianowska. Widziałam ją, bo wstąpiła do jadalni. Przecież z tego pokoju nie widać, kto wchodzi do hallu i na schody.

- No, niezupełnie pani ma rację. Nie widać z tego miejsca, gdzie siedzimy, ale od tych stolików, stojących na środku pokoju naprzeciwko drzwi wejściowych, widać i cały korytarz, i część hallu, a nawet początek schodów.

- Przy tych stolikach, o których pan mówi - wyjaśniała pokojówka - teraz nikt nie siedzi. Gości jest mało i siedzieli wszyscy przy tym dużym stole pod ścianą. Sprzątając przebywałam głównie w tamtej części pokoju. Nie widziałam nikogo. A poza panią Basią i kierownikiem nikt tu nie wchodził.

- Czy z jadalni słycać dzwonek telefonu?

- Dobrze słycać. To tylko przez cienką ścianę.

- A pamięta pani, czy ktoś dzwonił wtedy?

- Nie. Nikt nie dzwonił. Gdyby był telefon, to podeszłabym odebrać.

- Wróćmy jeszcze raz do tego młotka - powiedział podporucznik, wskazując na leżące na stole narzędzie zbrodni - gdzie normalnie znajduje się zwykle młotek?

- Mamy skrzynkę z różnymi narzędziami. Tam jest parę młotków. Ten chyba jest największy ze wszystkich. Skrzynka stoi w korytarzu w suterenie. Nie jest zamykana, bo narzędzia są stale potrzebne. Z tego korzystają dzieciaki kierownika i rozwłóczą je nieraz po całym terenie pensjonatu. Dzisiaj porzuciły ten młotek na schodach wejściowych.

- Pani pamięta, że to pani Zachwytowiczowa przyniosła młotek i położyła go w hallu?

- Tak. Kiedy wracali z wycieczki.

- Później cały czas młotek leżał w hallu?

- Nie pilnowałam młotka. Miałam zamiar zabrać go na dół i schować do skrzynki, ale jakoś tak mi zeszło, że zapomniałam o tym.

- A młotek leżał na kanapce?

- Pani Zosia położyła go na kanapce.

- A kiedy go pani ostatni raz tam widziała? Pokojówka namyślała się.

- Już wiem. Najpierw zjadłam w kuchni kolację. Potem weszłam schodami na parter i przechodziłam przez hall, idąc do jadalni. Bo już dochodziła siódma i trzeba było dzwonić, żeby państwo schodzili z góry. Kiedy przechodziłam koło kanapki, młotek leżał tam ciągle. Jeszcze idąc spostrzegłam, że zapomniałam go zanieść na dół.

- To znaczy, że w momencie kiedy pani dzwoniła na kolację, czyli o godzinie siódmej, młotek znajdował się w hallu?

- Na pewno - zgodziła się pokojówka.

W tej chwili do jadalni weszło dwóch umundurowanych milicjantów, w towarzystwie starszego mężczyzny, ubranego w elegancki cywilny garnitur. Przybyły przedstawił się:

- Pułkownik Edward Lasota.

Rozdział IV

Podporucznik zerwał się od stolika, przy którym siedział i przywitał się z pułkownikiem. Następnie polecił pani Rózi, żeby przeszła do salonu i tam, razem z pozostałymi mieszkańcami „Carltonu”, oczekiwała dalszych dyspozycji.

- Bardzo dziękuję, panie pułkowniku - tłumaczył Klimczak -± za przybycie. Nigdy bym nie śmiał przerwać panu wypoczynku, gdyby nie pechowy zbieg okoliczności. Tak się złożyło, że akurat w całej Komendzie Miejskiej pozostałem tylko ja - najmłodszy oficer i w dodatku niezbyt znający tutejszy teren. Jestem dopiero od miesiąca w Zakopanem. Prosto ze Szkoły Oficerskiej w Szczytnie.

- To bardzo ładna nominacja - uśmiechnął się pułkownik - od razu Zakopane.

- Na moje nieszczęście - smętnie stwierdził podporucznik - od razu poważna sprawa i ja sam ze wszystkimi trudnościami i wątpliwościami. Tylko dlatego zwróciliśmy się do pana pułkownika z prośbą o ratunek.

- Na pewno nie jest tak źle, jak to przedstawiacie. Bardzo dziękuję za zaproszenie mnie do śledztwa, ale od razu zaznaczam, że nie mam zamiaru wtrącać się do pracy pana porucznika. Za jego pozwoleniem będę czymś w rodzaju życzliwego obserwatora, służącego w razie potrzeby radą starszego i może bardziej doświadczonego kolegi.

- Bardzo dziękuję, panie pułkowniku. Sprawa z pozoru wydawała się bardzo prosta. Niestety, zaczęła się komplikować. Są pewne sprzeczności, których nie umiem sobie wyjaśnić.

- Więc może zaczniemy od początku - zaproponował pułkownik. - Wprawdzie mój stary znajomy, kapral Leszczyński, coś mi tam tłumaczył przez telefon o zabiciu jakiegoś jubilera i zrabowaniu biżuterii, ale niewiele z tego zrozumiałem.

- Bardzo przepraszam pana pułkownika - podporucznik Klimczak szczegółowo opowiedział starszemu koledze o stanie faktycznym, jaki zastali po przybyciu do pensjonatu „Carlton” i o dotychczasowych ustaleniach śledztwa.

Pułkownik wysłuchał uważnie raportu, a następnie obejrzał szczegółowo miejsce zbrodni - pokój jubilera Mieczysława Dobroźlockiego. Zainteresował się szczególnie wybitą szybą i stojącą przy balkonie drabiną. Badał też dokładnie szkatułkę, w której metaloplastyk przechowywał klejnoty.

- Ludzie są bardzo lekkomyślni - zauważył - sami prowokują do przestępstwa. Pokój niczym nie zabezpieczony, zwykła metalowa szkatułka, którą można wziąć pod pachę i wynieść, a wewnątrz fortuna. Trudno się dziwić, że takie warunki po prostu skusiły zbrodniarza do napadu na jubilera.

- Kierownik „Carltonu” wyjaśniał, że Dobroźlocki pracował tutaj nad tą biżuterią. Przygotowywał ją na wystawę.

- Doskonale miejsce wybrał sobie w tym celu. Zakopane, które jak magnes,

ściąga nie tylko ludzi pragnących odpoczynku, ale i najrozmaitszych niebieskich ptaszków. Czy jest przynajmniej opis tej biżuterii?

- Tu, u Dobroźlockiego, niczego podobnego nie znaleźliśmy. Chyba „Jubiler” w Warszawie będzie miał taki opis. Zaraz jutro pošlę telefonogram do Warszawy, żeby zdobyć opis biżuterii i posłać odpowiednie ostrzeżenie do punktów skupu biżuterii i łomu złotego, oraz do urzędu celnego. A co do pracy jubilera Dobroźlockiego w „Carltonie”, to sądzę, że w pewnym stopniu tłumaczy go to, że nie jest to pensjonat otwarty, a tylko taki, w którym przebywają ludzie, których uczciwość nie budziła w nim wątpliwości. Poza małą grupką mieszkańców „Carltonu” nikt nie wiedział, że ten starszy pan pracuje nad biżuterią i ma w swoim pokoju skarby wartości aż tak wielkiej.

- Ile ta biżuteria jest ostatecznie warta?

- Tego nie wiemy - odpowiedział podporucznik - kierownik pensjonatu w rozmowie ze mną twierdził, że ponad 10 000 dolarów.

- Przy takiej wartości przedmiotów, które można bodaj ukryć w jednej kieszeni, wszelkie normy i nasze pojęcia o uczciwości trzeba odrzucić na bok. Wszyscy, którzy wiedzieli o pracy pana Dobroźlockiego i wszyscy, którzy słyszeli o skarbie znajdującym się w jednym z pokoiów „Carltonu”, muszą być podejrzani. Przecież to jest suma, która każdego z nas urządza do końca życia. Bez zmartwień i kłopotów. A jeżeli jeszcze do tego taką fortunę można zdobyć jednym uderzeniem ciężkiego przedmiotu w cudzą głowę, to okoliczności mogły skusić niejednego, który dotychczas w oczach ludzi, a nawet we własnym sumieniu uchodził za kryształowego człowieka.

- To był młotek - wyjaśnił podporucznik - znaleźliśmy ten młotek na kanapce stojącej w hallu, tuż przy wejściu do willi. Właśnie ten młotek narobił największego zamieszania w dotychczasowym śledztwie i skłonił nas do zasięgnięcia pomocy pana pułkownika.

Lasota spojrzawszy pytającym wzrokiem na podporucznika, ten zaś ciągnął dalej.

- Zbita szyba w drzwiach balkonowych i drabina stojąca pod domem wyraźnie wskazywały, że przestępca dostał się z zewnątrz do pokoju jubilera. Tu zaczął się na nieobecnego i gdy Dobroźlocki wrócił z kolacji, uderzył go czymś ciężkim w głowę, a następnie zrabował biżuterię i zbiegł. Fakt znalezienia metalowej kasetki po klejnotach właśnie na dworze, potwierdzałyby tym bardziej nasze rozumowanie. Ale całej tej teorii przeczy fakt, że narzędzie zbrodni - duży ciężki młotek - znaleźliśmy

wewnątrz willi, na parterza, w hallu na kanapce.

Pułkownik nie odezwał się ani słowem. Jeszcze raz wyszedł na balkon i dokładnie przyjrzał się stojącej tu drabinie. Następnie zawrócił w stronę schodów.

Kiedy obaj oficerowie znaleźli się z powrotem w jadalni, podporucznik Klimczak zapoznał Lasotę z zeznaniami pokojówki, pani Rózi. Pułkownik rzucił okiem na leżący na stole młotek i stwierdził:

- Nie ulega wątpliwości, że tym narzędziem rozbito głowę jubilerowi.

- Właśnie! Ten młotek narobił nam bigosu. Lasota uśmiechnął się.

- No tak - stwierdził - sprawa byłaby prosta - napad z zewnątrz. Koncepcja wygodna i dla śledztwa, i dla mieszkańców „Carltonu”, tych, jak to porucznik powiedział „ludzi stojących poza wszelkimi podejrzeniami”. Rozpatrzmy wszelkie możliwości napadu. Weźmy najpierw pod uwagę tę pierwszą - najprostszą. Ktoś dowiedział się o cennej zawartości szkatułki jubilera i w czasie kolacji, kiedy wszyscy goście zgromadzeni byli w jadalni, a kierownik i cała służba w kuchni, przystawił drabinę do balkonu i wybił szybę drzwi, prowadzących z pokoju jubilera na balkon. Następnie czekał w ciemnym pokoju na powrót Dobrozłockiego. Kiedy jubiler wrócił do pokoju i próbował zapalić światło, napastnik zadał cios, zrabował kasetkę i uciekł.

- Gdyby uciekał tą samą drogą, to jakim cudem młotek znalazłby się w hallu?

- Powiedzmy, że miał współnika wśród mieszkańców pensjonatu lub jego służby. Ten współnik, kiedy napad się wydał, usunął z pokoju młotek i położył go w hallu.

- Napad wykryła pokojówka Rózia, która narobiła alarmu. Wtedy wszyscy z pensjonatu, zarówno goście, jak i pracownicy, znajdowali się w salonie, czekając na rozpoczęcie „Kobry” - wyjaśniał podporucznik. - Na alarm wszyscy razem pobiegli na górę. W takiej sytuacji usunięcie młotka byłoby bardzo trudne i ryzykowne. Zresztą po co to wszystko? Zbrodniarz uciekając przez balkon, mógł zabrać młotek, tak jak zabrał szkatułkę.

- Tak. Macie rację - zgodził się pułkownik - ta hipoteza nie da się utrzymać. Przynajmniej na razie, kiedy nie rozporządzamy jeszcze wszystkimi zeznaniami. Więc zmodyfikujmy ją nieco - zbrodniarz po napadzie bał się schodzić z drabiny. Mogły to być nerwy, przecież przed chwilą zabił, a przynajmniej zdawało mu się, że zabił człowieka i posiadał fantastycznej wartości skarb. Niewątpliwie towarzyszyło temu wielkie napięcie nerwowe. W tych warunkach mógł po prostu bać się zejścia po

drabinie. Postanowił więc opuścić pokój normalną drogą przez korytarz, schody na dół i drzwi wejściowe „Carltonu”. Przechodząc przez hall, rzucił młotek na stojącą tam kanapkę.

- Moim zdaniem i ta teoria jest do podważenia - odpowiedział podporucznik. - Przede wszystkim ktoś, czy to z gości, czy też ze służby, musiałby zauważyć wychodzącego z willi nieznanego mężczyznę.

- Niekoniecznie musiał być nieznany. Mógł to być ktoś, kto bywał w „Carltonie” choćby odwiedzając któregoś z pensjonariuszy czy nawet samego jubilera. Pojawienie się takiej osoby na schodach czy w hallu, nie zdziwiłoby nikogo.

- Mógłbym się i z tym zgodzić - przytaknął podporucznik - ale niestety, posiadamy bardzo wyraźne i kategoryczne zeznanie pani Rózi, że kiedy szła do jadalni wydawać kolację, młotek leżał w hallu. Poza tym jest to młotek miejscowy, z „Carltonu”. Znalazł się w hallu, gdyż jeden z gości spostrzegł go na schodach i wniósł do wewnątrz. Trudno przecież przypuszczać, żeby nasz zbrodniarz wszedł do pensjonatu, wziął młotek i następnie wyszedł z budynku, przystawił drabinę i wtargnął do pokoju jubilera.

- Rzeczywiście - zgodził się pułkownik - to zbyt skomplikowane, żeby mogło być prawdziwe. Zatem ustaliliśmy jedno - napastnik nie pochodzi z zewnątrz, lecz kryje się pomiędzy mieszkańcami „Carltonu”. Może nim być równie dobrze ktoś z gości pensjonatu, jak i ze służby.

- Jeżeli napastnikiem jest ktoś z mieszkańców „Carltonu”, to co robi drabina przystawiona do balkonu i wybita szyba?

Pułkownik uśmiechnął się.

- Dziwna sprawa. Młotek wyklucza napastnika z zewnątrz, zaś drabina stojąca pod balkonem wyraźnie wskazuje, że napastnikiem nie może być nikt z mieszkańców „Carltonu”. A jednak faktem jest, że napadu dokonano. Wyjaśnienie tej sprzeczności: drabina - młotek, będzie jednocześnie znalezieniem przestępcy. W tej chwili nie potrafimy tego dokonać, bo po prostu mamy zbyt mało danych. Sądzę, że w miarę przesłuchiwania osób zgromadzonych w salonie, nasza wiedza o przestępcy będzie się zwiększać. Zdołamy wtedy wyjaśnić i tę dziwną zagadkę. Na razie ustalmy dokładnie czas, w jakim zbrodniarz dokonał swojego czynu.

- Pani Rózia, pokojówka, zeznała, że kolacja skończyła się gdzieś za kwadrans ósma. Wtedy jadalnię opuścił ostatni gość. A jubiler wyszedł jeszcze wcześniej. Powiedzmy, dwadzieścia przed ósmą. Znalaziono go z rozbitą głową tuż przed

dziewiątą. A więc przestępstwa dokonano w czasie między dwadzieścia przed ósmą a za pięć dziewiątą.

- Zbrodniarz miał więc do swojej dyspozycji godzinę i piętnaście minut. To bardzo długi okres czasu. Musimy dokładnie zbadać, co robili wtedy wszyscy ludzie znajdujący się w „Carltonie”. Zarówno goście, jak i służba.

- Na razie wiemy tylko, że pokojówka była cały czas w jadalni i nie opuszczała tego pokoju. Przynajmniej według jej zeznań - dorzucił podporucznik.

- Te zeznania są na pewno prawdziwe.

- Nie mam tej pewności. Równie dobrze pokojówka mogła na chwilę wyjść z jadalni, wziąć młotek leżący w hallu, wejść na górę i po dostaniu się do pokoju jubilera, a to nie przedstawiało dla zaufanej pokojówki żadnego problemu, dokonać napadu.

- To prawda. Tylko wówczas nie popełniałaby dwóch zasadniczych błędów - zauważył pułkownik Lasota.

- Jakich?

- Przede wszystkim nie podrzuciłaby z powrotem młotka w hallu. Po prostu zeszlaby jeszcze parę stopni niżej i schowała go do skrzynki, gdzie zwykle przebywał.

- Może bała się, że ją ktoś zobaczy z młotkiem w ręku?

- Nic bardziej naturalnego, jak widok pokojówki sprzątajacej z hallu porzucony tam przez gości młotek.

- Ale nie tylko ten nieszczęsny młotek uwalnia panią Rózię ze wszelkich podejrzeń. Jeszcze bardziej przemawia za nią fakt, że zaniósła na górę herbatę i widząc jubilera leżącego z raną w głowie, narobiła alarmu. Przecież gdyby to pokojówka była napastnikiem, to po prostu nie zaniósłaby herbaty. Nikt jej nie wydawał takiego polecenia.

- Prosił ją o to sam pan Dobroźłocki.

- Właśnie. Tylko on wiedział, że Rózia ma przynieść herbatę do pokoju.

- Mogli to polecenie słyszeć inni goście i pokojówka bała się ryzykować niespełnienie rozkazu. Gdyby taki fakt został ujawniony przy przesłuchaniach, obciążałby poważnie jej konto.

- Przypuśćmy, że tak jest, jak mówicie, poruczniku. W takim razie pani Rózia zноси herbatę na górę, stawia ją na stole i wychodząc spokojnie zamyka drzwi na klucz. Zbrodnię spostrzeżono by dopiero nazajutrz rano. Jubiler już by nie żył i

mielibyśmy jeszcze bardziej utrudnione zadanie, bo nie można by było ustalić dokładnie czasu napadu. Zaś sama napastniczka - pani Różia miałaby dodatkowe godziny na wyniesienie i ukrycie łupu. Nie, wykluczam udział w napadzie pokojówki. Już w tej chwili możemy ją skreślić z listy podejrzanych.

- Ja bym nie był tego taki pewny, chociaż przyznaję, że argumenty pana pułkownika są bardzo logiczne i przekonujące. A co do biżuterii, od razu pomyślałem sobie, że jeżeli napastnikiem jest jeden z mieszkańców „Carltonu”, to brylantowy skarb musi być ukryty w tym gmachu. Dlatego też ściągnąłem, ilu tylko mogłem zebrać ludzi z komendy, żeby przeszukali całą willę.

- Słusznie zrobiliście - pułkownik pochwalił młodszego kolegę - chociaż wątpię, żeby to przyniosło jakiś rezultat. Mała garstka kosztowności jest bardzo łatwa do ukrycia. Rewizja musiałaby trwać całymi dniami, żeby ją wykryć. Osobiście sądzę, że jak znajdziemy przestępcę, wtedy łatwo wpadniemy i na trop, gdzie są schowane klejnoty. Człowiek, który uplanował i dokonał tak sprytnego napadu, pomyślał też, jak schować zdobyty skarb. Jestem przekonany, że brylanty są ukryte w takim miejscu, gdzie nikomu z nas nie przyjdzie na myśl ich szukać. Co innego, kiedy już będziemy mieli przestępcę zidentyfikowanego. Wtedy idąc po jego śladach znajdziemy i klejnoty.

- Boję się - dorzucił podporucznik - że goście „Carltonu” narobią dużej wrzawy, że dokonaliśmy rewizji ich pokojów bez nakazu prokuratora. To przecież nie są zwyczajni wczasowicze, lecz znajdują się wśród nich i ludzie oblatani w prawie. Ale w tej sytuacji nie mogę czekać do jutra, aby uzyskać sankcję prokuratora.

- Oczywiście. Żeby jednak formalności stało się zadość, niech pan dopilnuje, żeby w dniu jutrzejszym prokurator zatwierdził decyzję rewizji. Także, kiedy milicjanci przystąpią już do przeglądania pokojów zamieszkałych przez pensjonariuszy, niech im towarzyszy jako świadek kierownik „Carltonu” lub ktoś inny z pracowników pensjonatu.

- W takim razie, jeżeli pułkownik pozwoli, dokończymy przesłuchania pani Rózi, a potem zaraz wezwie- my portiera, pana Jasia, i następnie kierownika. W ten sposób uporamy się z zeznaniami pracowników pensjonatu i będziemy mogli przystąpić z kolei do rozmów z gośćmi „Carltonu”.

- Ja tu jestem nieoficjalnie - jeszcze raz pułkownik podkreślił swoją rolę - a pan, poruczniku, prowadzi śledztwo. Co zaś do jakichś względów, jakimi należy otaczać gości „Carltonu”, to z tą delikatnością chyba przesadzacie. Winny jest zawsze

winnym i żadne stosunki nie pomogą mu wymigać się z rąk sprawiedliwości. Nie widzę konieczności zbytniego certowania się z tymi ludźmi. Jeżeli ktoś będzie podejrzany, należy go traktować tak, jak się traktuje podejrzanego. Nie wyłączając aresztu do wyjaśnienia sprawy.

- Tego chciałbym uniknąć - tłumaczył Klimczak - a zatrzymać zdecydowanie winnego, jeżeli oczywiście jest on wśród ludzi czekających w salonie.

- Wszystko na to wskazuje - stwierdził pułkownik.

- A więc sierżancie - polecił podporucznik - zawołajcie jeszcze raz panią Rózię.

Rozdział V

Pokojówka, pani Rózia, ponownie zajęła miejsce za stołem naprzeciwko podporucznika. Ten chwilę przeglądał protokół poprzedniego przesłuchania i zaczął:

- Skończyliśmy na ustaleniu, że młotek leżał na kanapce w hallu wtedy, kiedy pani szła przed godziną siódmą dzwonić na kolację.

- Z całą pewnością leżał - potwierdziła pani Rózia.

- Niech nam pani powie, co działo się w czasie, kiedy po kolacji jadalnia była już opróżniona i pani sprzątała. Czy widziała pani kogoś wchodzącego lub wychodzącego z „Carltonu”? A goście, czy siedzieli w swoich pokojach, czy też kręcili się po pensjonacie?

- Ja nie obserwowałam - broniła się pokojówka - mówiłam już, że przeważnie przebywałam w głębi jadalni. Stamtąd nie widać korytarza i schodów.

- Ale może pani przypadkowo coś zauważyła lub usłyszała?

- Tyle, że do jadalni weszła pani Miedzianowska. Wracała z kawiarni i narzekała, że ten ktoś, z kim miała się spotkać, nie przyszedł. Zaglądał też do mnie kierownik i wydał parę dyspozycji w sprawie jutrzejszego śniadania. Chyba mignął mi na schodach Jacek. Ale czy wchodził, czy też schodził, nie zauważyłam.

- Jaki Jacek?

- Jacek Pacyna. Miejscowy chłopak z Zakopanego, dobry narciarz-kombinator. Biega i skacze.

- Do kogo mógł iść ten Pacyna? Pokojówka milczała.

- Rozumiem, że służba w „Carltonie” jest dyskretna i nie wtrąca się do spraw gości - pułkownik mówił te słowa możliwie najuprzejmiejszym tonem - ale pani Róziu, tu chodzi o zabójstwo człowieka i kradzież wartości miliona złotych. W takich

okolicznościach wszystkie inne względy muszą zamilknąć.

- Do pani Zofii Zachwytowicz.

- Często przychodził?

- Chyba codziennie. Albo sam, albo z Heńkiem Szaflarem. To jego przyjaciel, przewodnik z FWP.

Podporucznik Klimczak zapisał skrzętnie oba nazwiska.

- A poza tym, czy pani coś zauważyła?

- Więcej, to już nie. Ktoś wchodził chyba na górę, bo słyszałam, jak schody skrzypią, ale nie widziałam. To chyba ktoś z gości, bo szedł cicho.

- Kiedy to mogło być?

- Chyba zaraz po kolacji.

- Mniej więcej o której godzinie?

- Jeszcze wszystkich talerzy nie zniosłam do windy. Nie mogło być później jak ósma.

- A może ktoś telefonował?

- Gdyby był dzwonek telefonu, to usłyszałabym i podeszła.

- Ale może ktoś z gości schodził do telefonu?

- Może, ale ja nie widziałam i nie słyszałam.

- A co robił kierownik? Skąd przyszedł do pani, do jadalni?

- Przyszedł z dołu, i z kuchni. Podczas wydawania posiłków kierownik zawsze jest w kuchni i osobiście pilnuje, żeby wszystko było - w porządku. Zaś po skończonej kolacji wydaje jeszcze dyspozycje kucharzowi i jego pomocnikom. Mamy kucharza i dwie pomocnice - objaśniała pani Różia.

- Po rozmowie z panią kierownik poszedł na górę?

- Nie. Wrócił na dół. Dobrze widziałam, bo w czasie rozmowy stałam w drzwiach jadalni. Potem, będąc przy windzie, też słyszałam z kuchni głos kierownika. Omawiał z kucharzem, co ma być jutro na obiad i na kolację. Wydawał też polecenia Jasiowi, co ma kupić jutro rano.

- Jasio to portier?

- Tak.

- On też był w kuchni?

- Był. Razem jedliśmy kolację, tylko, że ja się spieszyłam, bo musiałam iść na górę, wydawać jedzenie gościom, a on został na dole. Widziałam, że kiedy wszyscy zbierali się obejrzeć „Kobrę”, to Jasio przyszedł z dołu. Pewnie był przez cały czas w

kuchni. Kucharz i jego pomocnice mogą to potwierdzić.

Podporucznik dał znak ręką i sierżant, który przysłuchiwał się zeznaniom pokojówki, po cichu opuścił jadalnię.

- Nic więcej pani nie zauważyła?

- Nic.

- Tak więc ostatni raz widziała pani pana Dobrozłockiego gdzieś o godzinie siódmej czterdzieści, kiedy po zjedzeniu kolacji wyszedł z jadalni?

- No nie - zaprzeczyła pokojówka - później pan Dobrozłocki jeszcze raz stanął w drzwiach jadalni i przypomniał mi, że mam mu przynieść herbatę na górę.

Podporucznik słysząc te słowa aż podskoczył na krześle.

- Kobieto! Cały czas pytam panią, kto wchodził do jadalni, a pani, nie mówi nam najważniejszego. Dlaczego pani nie powiedziała od razu?

- Przecież pan mnie nie pytał o pana Dobrozłockiego, więc nie mówiłam - z całym spokojem odpowiedziała Różia. - Pan ciągle pytał, kto wchodził do jadalni, kto chodził schodami. Z gości i z obcych. Trzeba było spytać wyraźnie o pana jubilera.

Podporucznik ze złości aż poczerwieniał na twarzy.

- W porządku - pułkownik uznał, że należy interweniować. - Wyjaśniliśmy to sobie teraz. Jak to było? Może nawet zapamiętała pani godzinę, kiedy jubiler prosił o herbatę?

- Już miałam całą jadalnię sprzątniętą. Pan Dobrozłocki nie wchodził do pokoju, tylko zatrzymał się przed drzwiami i powiedział: „Pani Róziu, pamięta pani o mojej herbacie?” Wspomniał też, że zszedł na dół, żeby zatelefonować.

Odpowiedziałam, że zaraz przyniosę, tylko stoliki nakryję obrusem.

- A która to mogła być godzina?

- Brakowało dwóch minut do za kwadrans dziewiąta.

- Na pewno?

- Na pewno. Przypominam sobie, że spojrzałam wtedy na wiszący w jadalni zegar.

- Doskonale - ucieszył się pułkownik - a może pamięta pani jeszcze, czy pan Dobrozłocki poszedł do siebie na górę?

- Tak. Widziałam, że skręcił z korytarza na schody.

- Po wyjściu jubilera już nikt nie wchodził do jadalni?

- Z gości na pewno nikt. Nie pamiętam tylko, czy kierownik nie zajrzał po raz drugi. Wiem, że był, ale nie pamiętam kiedy. Tego sobie nie mogę przypomnieć.

Podporucznik widząc, że dalsze przesłuchiwanie pokojówki nie przyniesie już żadnych nowych rezultatów, odczytał pani Rózi protokół. Podpisała zeznania i zapytała:

- To już mogę iść do siebie?
- A pani gdzie mieszka?
- W sąsiedniej willi, w „Sokoliku”.
- Niech pani idzie. W razie potrzeby ściagniemy panią z powrotem.

Pokojówka wyszła. Sierżant poinformował obu oficerów, że służba pracująca w suterenie potwierdza zeznania pani Rózi. Kierownik i portier Jasio byli w kuchni aż do momentu, kiedy trzeba było iść na „Kobrę”. Kierownik wprawdzie wychodził raz, czy dwa razy, ale portier nie opuścił pomieszczeń kuchennych.

- Zeznania pokojówki są dla nas bardzo ważne - powiedział pułkownik - zawężają czas, w którym popełniona została zbrodnia. Poprzednio przypuszczaliśmy, że przestępca rozporządzał okresem czasu pomiędzy za dwadzieścia ósma, a zapiąć dziewiąta. Obecnie wiemy już, że mniej więcej kwadrans przed dziewiątą Dobroźlocki zdrowy i cały stał w drzwiach jadalni. A więc zamachu na niego dokonano pomiędzy za kwadrans a za pięć dziewiąta. Zbrodniarz „dysponował” tylko dziesięcioma minutami. Ustalenie, co który z gości „Carltonu” robił przez te dziesięć minut, jest łatwiejsze, niż sprawdzenie ich czynności w ciągu przeszło godziny.

- Trzeba będzie odszukać tego Jacka Pacynę - zauważył podporucznik.

- Sądzę, że na to będziemy mieli czas. To nazwisko powinno wypłynąć podczas dalszych przesłuchiwań. Dobrze, że o tym fakcie wiemy, ale nie ujawniamy go przedwcześnie. Będzie to również przebieżem prawdomówności niektórych zeznań. Zwłaszcza tej pani, którą młody człowiek odwiedzał. Jak jej tam...

- Pani Zofia Zachwytowicz.

- Właśnie jej. Jeżeli to ona dokonała napadu lub była współniczką biegacza, będzie kryła jego obecność w willi przed napadem.

- To właśnie Jacek Pacyna mógł wejść po drabinie na górę, a schodzić na dół schodami - podporucznik ciągle usiłował wytłumaczyć fakt, że drabina stała pod domem.

- A młotek?

- Zaniósła go na górę pani Zachwytowicz i wręczyła swojemu współnikowi.

- Mogło tak być - zgodził się pułkownik - ale wątplię. Żeby rozbić głowę jubilerowi, nie trzeba było szukać koniecznie młotka na terenie „Carltonu”. Ten

chłopak przyniósłby odpowiednie narzędzie ze sobą. Oczywiście, musimy bardzo dokładnie sprawdzić pańską hipotezę.

- Teraz wezwiemy portiera - zdecydował podporucznik.

Pan Jasio, sympatyczny blondyn w wieku około trzydziestu lat, zeznał, że pracuje jako portier w „Carltonie” już od sześciu lat. Mieszka w jednym z pokoiów sutereny, tuż koło kuchni. Do jego obowiązków należy dokonywanie rano zakupów żywności, później zaś „ma oko” na wchodzących i wychodzących z willi, zaś w nocy otwiera drzwi.

- Czy ktoś wchodził lub wychodził z „Carltonu” po kolacji? - zapytał podporucznik.

- Słyszałem trzaśnięcie drzwi wyjściowych - tłumaczył pan Jasio - wyjrzałem oknem z kuchni i zauważyłem, że wychodzi pani Miedzianowska.

- Kiedy to było?

- Zaraz po kolacji.

- A poza nią?

- Nie słyszałem nic.

- Pan był na dole, w kuchni?

- Tak. Cały czas.

- Więc otwierając drzwi wejściowe po cichu, można było wejść lub wyjść z „Carltonu” tak, żeby pan nie zauważył?

- No, jakby się ktoś specjalnie starał, to mogłem nie zauważyć. Siedziałem wprawdzie w kuchni przy oknie, ale mogłem nie spostrzec - zgodził się portier.

Poza tym pan Jasło potwierdził zeznania pokojówki. Z kuchni przeszedł prosto do salonu. Na krzyk Rózi pobiegł na górę. Potem kierownik kazał mu telefonować do pogotowia i na milicję. Dzwonił z „Sokolika”, bo z telefonu w „Carltonie” nie mógł otrzymać połączenia. Tutaj telefon bardzo źle funkcjonuje. Nieraz reklamowali, ale bez żadnego rezultatu. Natomiast aparat w „Sokoliku” działa dużo lepiej. Następnie, na polecenie kierownika, otworzył bramę wjazdową i aż do wezwania nie wychodził z salonu.

- Czy padał deszcz, gdy pan biegł do „Sokolika”? - zapytał pułkownik.

- Zaczynał kropić. Ale kiedy otwierałem bramę, padał już dość spory.

- Widzieliście kiedy ten młotek? - spytał z kolei podporucznik.

- To nasz młotek. Zwykle leży w skrzyni w kuchni.

- A dzisiaj go widzieliście?

- Dzisiaj nie widziałem.

- Skąd jest drabina oparta o balkon „Carltonu”?

- Nie widziałem drabiny. Pan kierownik mówił, że złodziej wlaźł po drabinie, ale ja jej nie widziałem.

- Przypomnijcie sobie. Jak biegliście do „Sokolika”, nie zauważyliście drabiny, opartej o balkon „Carltonu”?

- Nie zauważyłem.

- Byliście zdenerwowani i biegliście, aby jak najprędzej wezwać pogotowie.

Ale gdy załatwiliście telefony, wracaliście przecież już spokojniej, prawda? I nie widzieliście drabiny?

- Nie widziałem - upierał się portier - wtedy też się spieszyłem, aby powiedzieć, że pogotowie jest w drodze. Ani młotka, ani drabiny nie widziałem.

I tego świadka podporucznik Klimczak zwolnił do domu.

Następnie zeznawał kierownik. Był w kuchni. Później wszedł na chwilę do jadalni, zamienił kilka słów z pokojówką. Tuż przed dziewiątą wszedł na pierwsze piętro do swojego mieszkania, aby sprawdzić, co robią jego dwaj synowie. Gdy usłyszał, że telewizor jest gotowy, zszedł na dół. Razem z nim chłopcy.

- Kiedy pan wyszedł ze swojego pokoju, musiał pan przejść koło numeru zajmowanego przez jubilera. Czy niczego pan nie zauważył?

- Nie. Inaczej przecież nie poszedłbym do salonu.

- A nie zwrócił pan uwagi, że ktoś schodził ze schodów przed lub za panem?

A może pan coś słyszał?

Kierownik zastanowił się.

- To tak trudno zapamiętać. Na ogół nie zwracam uwagi na takie drobiazgi.

Zdaje mi się, że ktoś wołał, czy też klaskał w dłonie na drugim piętrze. Chyba...

Chyba przede mną schodziła ze schodów pani Rogowiczowa.

- Pan widział drabinę? Skąd ona jest?

- To nasza drabina. Zawsze stoi oparta o szczytową ścianę „Sokolika”. Tam też widziałem ją dzisiaj rano.

- A ten młotek?

- Również nasza własność. Moi chłopcy bawili się nim do południa.

- A w hallu pan go nie widział?

- Nie. Zauważyłem dopiero wówczas, gdy pan porucznik wskazał na niego ręką.

- Oglądał pan tę biżuterię?
- Tak. Pan Dobrozłocki zaprosił mnie kiedyś do swojego pokoju i pokazywał te cacka. Pracował nad ich wykończeniem.
- Jak pan myśli, ile one były warte?
- Pan Dobrozłocki oceniał je na ponad 10 000 dolarów. Oczywiście za granicą.
- Jeszcze jedno. Niedawno kupił pan samochód - moskwicza?
- To nie jest tajemnicą. Stale jeżdżę tym wozem. Kupiłem go na raty.
- Ile wynosi rata miesięczna?
- Trzy tysiące złotych.
- To chyba więcej, niż pana pensja? Kierownik poczerwieniał.
- Pan mnie podejrzewa?
- Wszystkich muszę podejrzewać. Proszę o odpowiedź na moje pytanie.
- Z zawodu jestem architektem. Od czasu do czasu robię góralom, i nie tylko góralom, projekty domów. Opanowałem dobrze sztukę projektowania w zakopiańskim stylu. Mógłbym mieć nawet znacznie więcej roboty, tylko nie przyjmuję zamówień ze względu na brak czasu oraz dlatego, aby zbytnio nie czepiał się mnie urząd finansowy. Poza tym pracuje również moja żona.
- To na razie wystarczy. Dziękuję panu. Proszę jednak nie opuszczać budynku.
- Będę u siebie. Chciałbym jedynie zwrócić panom uwagę, że goście zebrani w salonie zaczynają się niecierpliwić. Nie można ich zwolnić?
- Jeszcze nie. Muszą czekać. Powinni zrozumieć, że sprawa jest zbyt poważna, aby brać pod uwagę to, że ktoś będzie spał tej nocy kilka godzin krócej. Tu chodzi przecież o zamach na życie człowieka i kradzież wartości miliona złotych. Niech pan im to wyjaśni.
- Uważam za bardzo prawdopodobne, że winnym jest kierownik - powiedział podporucznik po wyjściu przesłuchiwanego. - Kiedy jubiler wyszedł ze swojego pokoju, wśliznął się tam, a gdy Dobrozłocki wrócił, rąbnął go w głowę. Motyw zbrodni zupełnie jasny. Niełatwo jest płacić ratę 3000 złotych miesięcznie, nawet mając żonę zarabiającą półtora tysiąca. Przypadkowo znam wysokość pensji pani kierownikowej.
- A co z drabiną i wybitą szybą? - spytał pułkownik. - Wracając do motywu, nie łudźmy się. Przy tak ogromnej wartości biżuterii ten motyw pasuje do wszystkich,

nie wyłączając także nas. Należy szukać nie motywu, ale odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób i kto?

Te rozważania przerwało wejście do jadalni jednego z milicjantów. Podał on podporucznikowi kartkę papieru, wyjaśniając, że znalazł ją na korytarzu pierwszego piętra. Widocznie właściciel nie zauważył braku zguby.

Był to krótki list. Pisał go, jak wynikało z treści, syn pani profesor. Zygmunt Rogowicz pożyczył od przyjaciela samochód, którym pojechał na wycieczkę. W jakiejś wsi pod Płockiem najechał na dziecko. Rozbił wóz, a dzieciak jest potłuczony i ma złamaną nogę. We wsi nie było posterunku milicji, sprawa nie przybrała więc na razie oficjalnego charakteru, ale chłop - ojciec dziecka, zażądał odszkodowania w wysokości 20 tysięcy złotych. Naprawa rozbitego samochodu wyniesie podobną kwotę, bo pękła rama, uszkodzona została chłodnica, nie mówiąc o błotniku, latami i skrzywionej osce. Ojciec dziecka grozi, że jeżeli nie otrzyma pieniędzy, zamelduje o wypadku. Ponieważ Zygmunt nie ma prawa jazdy, stanął w obliczu perspektywy aresztowania i paru lat więzienia. Jednocześnie właściciel samochodu żąda naprawienia strat. Syn błaga przeto matkę, aby go ratowała i zdobyła potrzebne pieniądze.

- No tak - rzekł z powagą pułkownik - mówiłem, że motyw zbrodni może pasować do wszystkich osób. Każdego z nas taka suma pieniędzy urządziłaby do końca życia, ponieważ prawie każdy z nas ma większe lub mniejsze kłopoty finansowe.

- To racja - przytaknął podporucznik - tym bardziej, że zdarzyła się jeszcze jedna dziwna rzecz. Rogowiczowa mieszka na parterze, a kierownik zauważył, że na program telewizyjny schodziła po schodach. Wiemy zresztą, że ten list zgubiła na pierwszym piętrze. Poza tym jest ona farmaceutką i zna się trochę na medycynie. Dobrze obliczyła, w jaki sposób uderzyć, aby zabić lub ogłuszyć człowieka.

Pułkownik uśmiechnął się.

- Żadna wyższa wiedza nie jest do tego potrzebna. Wystarczy odpowiednio ciężki młotek i zamach ręki. Niemniej zarówno spostrzeżenia kierownika, jak ten znaleziony list, są rzeczywiście interesujące. Kto wie? Może ta kobieta w walce o wolność swojego dziecka posunęła się aż do zbrodni?

- Sierzancie - rozkazał podporucznik - przyprowadźcie teraz Marię Rogowiczową.

Rozdział VI

Do jadalni weszła pani profesor, którą podporucznik poprosił o zajęcie miejsca naprzeciwko niego. Z boku długiego stołu siedział milicjant protokołujący zeznania. Pułkownik Lasota usadowił się za podporucznikiem, w pewnej odległości od stołu i dzięki temu mógł obserwować zarówno młodego oficera milicji, jak przesłuchiwaną. Wyborem takiego stanowiska pułkownik ponadto podkreślał, że znajduje się w „Carltonie” nieoficjalnie i w niczym nie chce krępować młodszego kolegi.

Pani profesor zeznawała równym, opanowanym głosem.

- Maria Rogowiczowa. Stan cywilny: wdowa. Syn lat 23, córka lat 19. Zawód: profesor farmacji na Wydziale Farmacji Akademii Medycznej w Białymstoku. Wykształcenie wyższe. Tytuł naukowy - doktor farmacji. Wiek 46 lat. Miejsce zamieszkania: Białystok, ulica Warszawska.

Pani Rogowiczowa potwierdziła tę część zeznań pokojówki i kierownika, dotyczącą przebiegu wypadków po znalezieniu rannego Dobroźlockiego. Zakładała jubilerowi opatrunek. Ranę zdezynfekowała, starając się zatamować upływ krwi. Lekarz pogotowia, który zdjął opatrunek i zbadał ranę, uznał, że i on poza zastrzykiem na podtrzymanie akcji serca nic więcej nie może zrobić na miejscu. Ciało nie ruszała, a jedynie podłożyła jubilerowi małą poduszkę pod głowę. Przy nieprzytomnym była cały czas, aż do przybycia pogotowia, a później milicji.

- Zna się pani na medycynie?

- O tyle, o ile zna się na tym każdy farmaceuta. Na farmacji wykłada się również niektóre przedmioty z zakresu medycyny. Oczywiście nie tak obszernie. W każdym razie uczy się studentów udzielania pomocy w nagłych wypadkach, zakładania opatrunków i tym podobnych rzeczy. Farmaceuta praktykujący, zwłaszcza na wsi, zna się na tym znacznie lepiej, niż profesor akademii. Przecież tam, gdzie nie ma lekarza, w nagłych wypadkach biegnie się po ratunek do apteki. Obecnie nie mam do czynienia z tego rodzaju przypadkami, jak u pana Dobroźlockiego, okazało się jednak, a potwierdził to lekarz z pogotowia, że poradziłam sobie zupełnie dobrze i być może moja pomoc uratowała jubilerowi życie.

- Czy ratując Dobroźlockiego widziała pani w pokoju rannego ten młotek?

- Nie... Żadnego młotka nie było.

- Ale ten młotek widziała pani już przedtem?

- Chyba widziałam. Zaraz, zaraz... Muszę sobie przypomnieć. Tak, gdy

wracaliśmy z wycieczki, jakiś młotek leżał na schodach, ale nie wiem czy to ten sam. Pani Zosia Zachwyłowicz miała młotek w ręku. Potrząsała nim i mówiła, że rozbiłaby głowę mężowi, gdyby dowiedziała się, że Andrzej ją zdradza.

- Naprawdę tak mówiła?

- To jasne, że żartowała! Wracaliśmy z pięknej wycieczki i byliśmy w doskonałych humorach. Nikt nie przewidywał nieszczęścia, które wkrótce miało nas dotknąć. O życie męża pani Zachwyłowicz można być całkowicie spokojnym. Jest tak zawojowany przez małżonkę, że stanowi wyjątkowy okaz pantoflarza. Nie ośmiela się spojrzeć nawet na inną kobietę. Raczej... - tu Rogowiczowa urwała w pół zdania.

- Jeśli zrozumiałem pani myśl - wtrącił pułkownik - raczej pan Zachwyłowicz miałby więcej powodów, aby ująć za ten młotek. Czy tak?

Pani profesor uśmiechnęła się.

- Pan mnie chwyta za słowa. Ja tego nie powiedziałam.

- Panią Zachwyłowicz zauważyłem w Zakopanem. Trudno zresztą byłoby jej nie zauważyć. Samochody zatrzymują się nawet, gdy ona idzie ulicą. Kto to są ci młodzi ludzie, z którymi tak się afizkuje?

- Jacyś miejscowi. Nie znam ich nazwisk.

- Przepraszam, panie pułkowniku - wtrącił milicjant, który właśnie wszedł do pokoju - panu chodzi o tę wariatkę, która nosi pleciony koszyk na kij, niebieskie długie buty i rybacki kapelusz?

- Właśnie tak się ubiera pani Zosia - poświadczyła Rogowiczowa.

- To miejscowe chłopaki. Znam ich dobrze. Jeden, Jacek Pacyna, mieszka na Górkach, dobry narciarz. Biega w „Starcie”. Drugi, Heniek Szaflar, jest przewodnikiem w FWP. Obaj porządni i aż się dziwię, że asystują takiej babce. Całe Zakopane będzie się z nich śmiało. Kiedy jechaliśmy tutaj samochodem, widziałem, że szli ulicą Ku Stoczni w stronę miasta.

- Oni tu byli - wyjaśniła pani Rogowiczowa - umówili się z panią Zosią, że razem pójdą na dansing do „Jędrusia”. Pani Zosia, a było to jeszcze przed wypadkiem, wyrażała niezadowolenie z ich spóźniania się. Przyszli przed samym naszym przybyciem, a po opatrzeniu rannego przez lekarza.

- I tak nagle wyszli?

- Redaktor Burski poradził im, aby opuścili pensjonat przed przyjazdem milicji, jeżeli nie chcą być zamieszani w tę sprawę.

- Burski? Dziennikarz z Warszawy? Autor powieści kryminalnych? I ostatniej

„Zbrodni w Powszechnym Domu Towarowym”?

- Ten sam. Mieszka w „Carltonie” od dwóch tygodni.
- Coś pan redaktor jest za uczynny i dba, abyśmy nie mieli za dużo pracy.

Musimy porozmawiać z nim na ten temat. Ale wracając do naszego przesłuchania, tego młotka pani więcej nie widziała?

- Pani Zosia coś z nim zrobiła. Zdaje się, że przyniosła do „Carltonu”.
- Niech pani sobie przypomni.
- Nie pamiętam. Byłam bardzo zdenerwowana.
- Czym? Przecież wypadek zdarzył się dopiero wieczorem.
- To moje prywatne sprawy. Nie mają żadnego związku z nieszczęściem pana

Dobrozłockiego.

- Czy widziała pani klejnoty jubilera?
- Tak. Pokazywał je nam wszystkim dzisiaj po obiedzie. Stare pierścienie,

kolia brylantowa wraz z pierścionkiem...

- Pani zna się na klejnotach? Pani wie, jaką wartość przedstawiały te kamienie?

- Znać, to się nie znam. Nie miałam okazji. Nigdy nie mogłam sobie pozwolić na kupno takiej biżuterii. Ale orientuję się, że była bardzo cenna. Pan Dobrozłocki nie krył zresztą tego, że zwłaszcza kolia jest unikatem sztuki jubilerskiej. Zrobił nam na ten temat mały wykład.

- A na ile ocenia pani te precjoza?
- Bo ja wiem? Może na dwa miliony złotych? Może jeszcze więcej?
- Proszę jednak sięgnąć do pamięci i przypomnieć sobie, gdzie leżał ten

młotek?

- Na pewno nie przypomnę sobie. Już dwa razy mówiłam panu, że nie pamiętam. Gdybym to wiedziała, nie otaczałabym tego tajemnicą. Ale czy to takie ważne?

- Niech pani przyjrzy się temu młotkowi dokładnie. O, tu przy żelazie, na samym początku trzonka. Co pani widzi?

- Dwie plamki, to chyba krew?
- A tu na żelazie?
- Włoski. Siwe włosy. Takie miał pan Dobrozłocki. Więc tym młotkiem...
- Tak. To jest narzędzie zbrodni. Powiem pani, znaleźliśmy je na kanapce w

hallu.

- Straszne. To znaczy, że jeden, jedno z nas...

- Właśnie. Rozumuje pani prawidłowo, jeden z gości pensjonatu dopuścił się tej zbrodni. Czy podejrzewa pani kogoś?

- Nie. Nikogo! Nie mogę w to uwierzyć. Przecież tam jest wybita szyba i drabina stoi pod balkonem...

- Zbrodniarz, zdaniem pani, wszedł po drabinie, wybił szybę, dostał się do pokoju, ogłuszył młotkiem jubilera, zabrał klejnoty, uciekł tą samą drogą, a później był tak uprzejmy, że wstąpił do „Carltonu” i położył ten młotek na kanapie?

Rogowiczowa milczała.

- Niech nam pani powie, jak to było przy kolacji. Kto pierwszy wstał od stołu?

- Inżynier Żarski. Wyszedł wcześniej, aby zreperować telewizor.

- Czy później pan Żarski był cały czas w salonie?

- Tak. Nigdzie nie wychodził. Słyszeliśmy gwizdy i piski aparatu. Siedząc przy stole zastanawialiśmy się, czy inżynierowi uda się naprawić telewizor. Przecież z wykształcenia nie jest elektrotechnikiem, lecz mechanikiem. Pracuje w hucie.

- Naprawił jednak?

- Tak. Ale dopiero przed samą godziną dziewiątą, na kilka minut przed rozpoczęciem „Kobry”.

- A kto następny wyszedł z jadalni?

- Chyba pan Dobroźlocki. Tak, na pewno on. Prosił jeszcze Rózię o przyniesienie mu na górę herbaty. Dlatego właśnie pokojówka znalazła go leżącego na podłodze. Gdyby nie ta herbata, może dokonano by odkrycia dopiero jutro rano. Nikt nie zainteresowałby się nieobecnością Dobroźlockiego, bo jubiler rzadko schodził wieczorami do salonu. Umarłby z upływu krwi. Ta herbata uratowała mu życie.

- Pani nie widziała więcej Dobroźlockiego? Oczywiście zdrowego?

- Nie. Nie widziałam.

- A kiedy wyszła pani z jadalni?

- Wydaje mi się, że zaraz po jubilerze. Nie, najpierw pani Miedzianowska, a ja parę minut po niej.

- Pani poszła do swojego pokoju?

- Tak.

- Co tam pani robiła?

Maria Rogowiczowa spojrzała ze zdziwieniem na podporucznika, wzruszyła

ramionami, lecz spokojnie wyjaśniła:

- Najpierw porządkowałam garderobę, bo do kolacji przebrałam się w inną sukienkę. Później czytałam.

- Aż do wyjścia na telewizję?

- Aż do wyjścia.

- A więc nie wychodziła pani z pokoju?

- Dziwna indagacja. Wyszłam raz do łazienki.

- Może zauważyła pani kogoś na korytarzu?

- Nie widziałam nikogo - pani profesor stawała się coraz bardziej zła. Po jej minie widać było, że tak drobiazgowo pytania uważa za zwykłe „czepianie się milicji porządnym ludzi”. Podporucznik nie zwracał jednak uwagi na niezadowolenie Rogowiczowej i dalej ciągnął przesłuchanie.

- A czy inżynier był wtedy w salonie?

- Na pewno był.

- Widziała go pani?

- Widziałam.

- Przecież przechodząc z pani pokoju do łazienki, nie można dostrzec telewizora. Aparat stoi nie naprzeciwko wejścia do salonu, lecz bardziej z boku.

Pani profesor nieco się speszyła, lecz szybko znalazła odpowiedź.

- Kiedy wyszłam z łazienki, podeszłam do drzwi salonu, ponieważ chciałam zapytać inżyniera, czy można liczyć na dzisiejszą „Kobry”. Widziałam, że pan Żarski stał nachylony nad aparatem i naprawiał coś w jego wnętrzu.

- A co odpowiedział na pani pytanie?

- Wcale go nie pytałam. Widząc, że jest zajęty, cofnęłam się do pokoju.

- Czy inżynier panią zauważył?

- Raczej nie. Głowę miał w telewizorze.

- Dobrze - zgodził się Klimczak - przejdźmy teraz do innych zagadnień.

Zeznała pani przed chwilą, że po obiedzie była pani bardzo zdenerwowana. Można wiedzieć, czym? Czy widokiem biżuterii pana Dobrozłockiego?

- Pan żartuje.

- Więc co wytrąciło panią z równowagi?

- To moje osobiste sprawy. Nie mają żadnego związku z kradzieżą. Już to panu raz powiedziałam.

- Niestety, ja również muszę pani wyjaśnić, że dla milicji prowadzącej

śledztwo w sprawie usiłowania zabójstwa i kradzieży wartości paru milionów złotych, nie ma prywatnych spraw. Tym bardziej, gdy zeznaje jedna z podejrzanych.

95- Pan twierdzi, że to ja dokonałam zamachu? Nonsens!

- Jedno z państwa. Może pani, może ktoś inny, na wszystkich ciąży te same poszlaki. Dlatego ponawiam pytanie: co panią tak zdenerwowało?

- Odmawiam odpowiedzi.

- Pani prawo. Zajmijmy się przeto czymś innym. Pani ma dwoje dzieci?

- Tak.

- Oboje na pani utrzymaniu?

- Tak.

- Czy studiują?

- Córka jest studentką medycyny.

- A syn? Czyżby dwudziestotrzyletni mężczyzna był na utrzymaniu mamusi? Rogowiczowa poczerwieniała i spuściła oczy.

- Mój syn jest bardzo chorowity odpowiedziała - niedawno wrócił z wojska i długo chorował. Teraz szuka pracy. Czegoś dla siebie odpowiedniego.

Porucznik uśmiechnął się ironicznie.

- Nie wiedziałem, że do naszego wojska biorą chorowitych ludzi. Matury pewnie również nie ma? Był zbyt wątpliwy, aby się uczyć?

- Protestuję przeciwko tego rodzaju metodom przesłuchania. To nie powinno panów obchodzić.

- Czy syn pani posiada prawo jazdy?

- Jaki związek ze sprawą ma pańskie pytanie?

- Pani powiedziała, że syn szuka zajęcia. Kierowcy samochodowi są bardzo poszukiwani. Jak długo ma pani zamiar utrzymywać tego młodego darmozjada?

- Wypraszam sobie - Maria Rogowiczowa była blada ze złości i zdenerwowania. Zerwała się z krzesła.

- Niech pani siada - powiedział sucho oficer milicji. - Przesłuchanie nie jest jeszcze skończone. Czy przyznaje się pani do usiłowania zabicia Mieczysława Dobroźlockiego i zabrania biżuterii?

- Pan mnie tak denerwował, aby następnie zadać to pytanie? Pan liczył na to, że dręczona przez pana kobieta przyzna się do nie popełnionej zbrodni? Dużo słyszałam o tego rodzaju metodach. Nie przypuszczałam jednak, że zetknę się z nimi osobiście. Ale nie uda się to panu. Nie zabiłam Dobroźlockiego i nie ukradłam

biżuterii.

- Nie mówiłem o zabiciu, a o usiłowaniu zabójstwa. Pani się nie przyznaje?

- Nie.

- A ja pani powiem, jak to było. Wracając z łazienki, zauważyła pani, że jubiler schodzi ze schodów i idzie do kabiny telefonicznej. Może zresztą widziała go pani, jak szedł do jadalni, aby przypomnieć Rózi o herbacie. Wtedy powzięła pani myśl o kradzieży. Biegając na górę, zobaczyła pani młotek leżący na kanapce w hallu. Chwyciła pani ten młotek i weszła na schody. Jubiler opuścił pokój na krótko i tak, jak to pani przewidywała, nie zamknął drzwi na klucz. Stała, pani za drzwiami wewnątrz pokoju i czekała na powrót Dobroźlockiego. Jubiler wszedł do pokoju i chciał zapalić światło. Odwróconemu tyłem zadała pani cios młotkiem. Potem złapała pani biżuterię, kasetkę wyrzuciła przez balkon, tłukąc przy tym szybę.

Zbiegając na parter, podrzuciła pani młotek na kanapkę.

Pod wpływem tych słów Rogowiczowa uspokoiła się. Jedyne lekkie drżenie palców rąk, leżących na stole, świadczyło o jej zdenerwowaniu. Gdy otworzyła usta, słowa popłynęły powoli i spokojnie.

- Jakie ma pan dowody na poparcie swojej bajeczki? Na tyle orientuję się w przepisach prawa karnego i wiem, że milicja powinna udowodnić popełnienie przestępstwa.

- Z jednej strony dowodem są pani fałszywe zeznania. Z drugiej gwałtowna potrzeba zdobycia większej sumy pieniędzy. Najłatwiej je zdobyć, idąc z młotkiem na pierwsze piętro.

- Powinien pan pisać powieści kryminalne, a nie pracować w milicji. Kiedyż ja to złożyłam, jak pan powiedział, te fałszywe zeznania? I dlaczego potrzebuję gwałtownie pieniędzy?

- Zaraz pani przeczytam - podporucznik sięgnął po protokół prowadzony przez sierżanta MO. Chwilę szukał odpowiedniego fragmentu. - Proszę, oto dosłownie moje pytania i pani odpowiedzi. Pytanie: „Pani poszła do swojego pokoju?” Odpowiedź: „Tak”. Pytanie: „Co tam pani robiła?”. Odpowiedź: „Najpierw porządkowałam garderobę, bo do kolacji przebrałam się w inną sukienkę. Później czytałam”. Pytanie: „Aż do wyjścia na telewizję?” Odpowiedź: „Aż do wyjścia”. Pytanie: „A więc nie wychodziła pani z pokoju?” Odpowiedź: „Śmieszna indagacja. Wysłałam raz do łazienki”. Czy protokolant wiernie zanotował pani odpowiedzi?

- Tak zeznawałam. O co chodzi?

- To nie jest zgodne z prawdą. Mamy dowody, że była pani na pierwszym piętrze, a później szybko stamtąd zbiegła. Właśnie z biżuterią, po ogłuszeniu jubilera młotkiem. Widziano panią schodzącą ze schodów.

- Tak. Przypominam sobie, że kilka minut przed dziewiątą poszłam na taras pierwszego piętra. Bolała mnie trochę głowa i chciałam trochę odetchnąć świeżym powietrzem. Byłam krótko na tarasie. Zresztą, każdemu chyba wolno wyjść na balkon, skoro ma na to ochotę?

- Ale nie każdy zechce w to uwierzyć. Ciemno, chłodno, zaczyna padać deszcz, a samotna postać marzy na balkonie. I to wówczas, gdy ze swojego pokoju może wyjść na taras, mający dach. Czy doprawdy nie mogła pani wymyślić bardziej sensownego kłamstwa?

Lasota chrząknął znacząco. Podporucznik obejrzał się i zapytał:

- Czy pan pułkownik ma jakieś pytanie?

- Jeśli kolega pozwoli... Chciałbym jednak z góry uprzedzić panią Rogowiczową, że nie jestem tutaj w charakterze oficjalnym, ale podporucznik był tak uprzejmy, że pozwolił mi asystować przy pewnych czynnościach śledztwa. Dlatego też pani profesor może w ogóle nie rozmawiać ze mną i nie udzielać mi żadnych odpowiedzi. Nasza rozmowa miałaby charakter niejako półurzędowy.

- Wszystko mi jedno, kto mnie przesłuchuje. Nie poczuwam się do żadnej winy. Proszę pytać. I tale niczego się nie dowiecie.

- Widzi pani, sam jestem człowiekiem starszym, znacznie starszym od pani. Mam dzieci i wiem, co znaczy miłość rodzicielska. Jednakże popełnia pani wielki błąd, usiłując ukryć, że syn pani należy do nielicznego grona na szczęście, pasożytów, którzy z całym spokojem korzystają z pracy matek i nie mają z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Chociaż są już dorośli, żądają od swoich matek, aby ich utrzymywały i dostarczały środków finansowych na wszelkie przyjemności. Pani nie chce o tym mówić i wskutek tego wplątuje się w niebezpieczne położenie. Sprawa jest przecież poważna, a poszlaki bardzo panią obciążają. Zamiast więc wykręcać się jak małe dziecko, lepiej powiedzieć prawdę.

Maria Rogowiczowa nadal milczała.

- Wiemy, że pani gwałtownie potrzebuje pieniędzy - ciągnął dalej pułkownik - jeżeli nie zdobędzie pani w najbliższym czasie czterdziestu tysięcy złotych, młody człowiek pójdzie do więzienia. Dla nas, ludzi mających codziennie do czynienia z różnego rodzaju charakterami, jest to sprawa prosta. Wydaje nam się, że lepiej byłoby

dla pani syna, aby dostał nauczkę dzisiaj, przy przestępstwie stosunkowo drobnym, niż gdyby trafił do więzienia za poważniejsze przewinienie. Obawiam się, że ten młody człowiek prowadzi niewłaściwy tryb życia, który w końcu doprowadzi go do poważniejszej kolizji z prawem. Ale rozumiem, że pani jako matka ciągle wierzy w swojego jedynaka i pragnie go ratować. Zupełnie przypadkowo znaleźliśmy zgubiony przez panią list od jej syna i wiemy, że żąda on od pani czterdziestu tysięcy złotych dla zatuszowania wypadku samochodowego. Mamy również zeznania, jak to podkreślił porucznik, stwierdzające, że przed samą godziną dziewiątą zbiegła pani z pierwszego piętra. Sama pani rozumie, że tego rodzaju poszlaki wystarczają koledze Klimczakowi do aresztowania pani, na co prokurator wyda sankcję. Irytował panią drobiazgowy sposób przesłuchania. Porucznik po prostu chciał pani dać szansę, a tą jedyną szansą może być wyjawienie nam całej prawdy.

- Gdybym dokonała zamachu na jubilera, późni nic spieszyłabym mu na ratunek.

- Przeciwnie. Właśnie ten troskliwy ratunek był wyrozumowanym sposobem ukrycia swojej prawowej roli w tej sprawie. Każdemu wydawałoby się dziwne, że jedyny, najbardziej zbliżony do medycyny człowiek w tym towarzystwie, nie ratuje rannego.

- Przysięgam, że nie próbowałam zabić. Mimo ciężkiego położenia, o którym panowie wiedzą, nawet nie przemknęła mi przez głowę myśl o szukaniu ratunku w tych brylantach. Rzeczywiście, po przeczytaniu li? od syna, zastanawiałam się, skąd wziąć pieniądze. Sir jest bardzo duża, ale nie chodzi jedynie o sumę, ale przede wszystkim o termin jej uzyskania. Moja sytuacja finansowa nie jest najlepsza, ale nie jest zła. Wydaj książkę naukową. Mam otrzymać za nią kilkanaście tysięcy złotych. Jednocześnie mam zamówienia n: artykuły do paru pism fachowych w kraju i za grani - a. Prowadzę prace badawcze nad nowymi rodzajami antybiotyków - i za nie również dostanę pewną sumkę pieniędzy. Mogłabym więc wybrnąć z kłopotów własnymi siłami, tym bardziej, że mam trochę oszczędności, jak to się mówi, na czarną godzinę. Nie zawahałabym się użyć tego wszystkiego dla ratowania syna. To nieprawda, co pan o nim mówi. To dobre dziecko. Może trochę lekkomyślne, ale z gruntu dobry chłopiec. To widocznie moja wina, że nie chciał się uczyć. Zapewne nie umiałam nim pokierować. A co do pracy, to napracuje się jeszcze niemało w swoim życiu. Niech ma jak najdłużej pogodną, niczym nie zamaconą młodość.

Podporucznik chciał przerwać te, naiwne wywody dorosłej i doświadczonej

przecież kobiety, ale pułkownik dał mu znak, żeby milczał. Pani profesor, umiejąca z pewnością wymagać wiele od swoich studentów, nie potrafiła zdobyć się na krytykę wobec własnego dziecka. Mówiła przeto dalej:

- Działo się to przed wybuchem II wojny światowej. Byłam wtedy młodą dziewczyną i miałam narzeczonego. Wielką naszą miłość przerwała jego mobilizacja do wojska. W czasie wojny narzeczonego dostał się do oflagu. Podczas bombardowania zginęli moi rodzice. Zostałam sama. Dostałam posadę na prowincji jako pomoc w aptece. Ale chociaż kochałam mojego chłopca, nie umiałam na niego czekać. Za trudno było w tych ciężkich czasach być zupełnie samą, bez rodziny i bez kogoś bliskiego. Wyszłam za męża za aptekarza, u którego pracowałam. Szanowałam go i byłam mu dobrą żoną. Gdy zmarł w roku 1948 starałam się jak najlepiej wychować dzieci. Dzięki mężowi ukończyłam farmację. Później coraz bardziej pociągała mnie droga kariery naukowej. Przeniosłam się do Białegostoku, uzyskałam asystenturę, doktoryzowałam się i habilitowałam, wreszcie przed paru laty otrzymałam katedrę. O moim byłym narzeczonego dochodziły mnie tylko sporadyczne wieści. Słyszałam, że po wojnie nie wrócił do kraju, lecz zamieszkał w Anglii. Tam podobno ożenił się. Przypadkowo spotkałam go tutaj, w pensjonacie. Niedawno wrócił do kraju. Ma żonę, rodzinę. Obyło się więc bez tragedii i złamanych serc. Może to i lepiej. Nawiązała się między nami spokojna przyjaźń, oparta na wzajemnym szacunku i dawnych wspomnieniach. Nie afiszowaliśmy się z naszą znajomością. Nic jednak dziwnego, że gdy nadszedł ten fatalny list, pobiegłam do przyjaciela z prośbą o radę i ratunek. - To pan Dobroźłocki?

- Nie. Jerzy Krabe.

- Była pani w jego pokoju?

- Tak. Poszłam na górę w jakieś piętnaście minut po kolacji. Pokazałam list i przedstawiłam swoje położenie. Pan Krabe obiecał pożyczyć mi trochę pieniędzy, abym mogła zapłacić dziesięć tysięcy złotych ojcu poturbowanego dziecka i w ten sposób skłonić go do czekania na resztę sumy. Pan Krabe mówił również, że spróbuje się z nim potargować. Ostatecznie temu człowiekowi nie przyjdzie nic z tego, że mój syn trafi do więzienia. Skoro zaś zobaczy gotówkę, będzie bardziej skłonny do ustępstw. Jerzy przyrzekł mi również, że zajmie się sprawą rozbitego auta. Ma przyjaciela, który prowadzi warsztat samochodowy. Prawdopodobnie uda się naprawić rozbity wóz taniej, niż ocenia to przyjaciel syna.

- Wątpię jednak - zauważył pułkownik - czy dziesięć tysięcy złotych zdoła

pokryć wszystkie wydatki. Jeżeli nawet chłop ustąpi, to weźmie całą sumę.

Przecież zdaje sobie sprawę, że trzyma w ręku pani syna.

- Ja wiem, że nie wystarczy, ale pozwoli zyskać na czasie. Pan Krabe obiecał zaciągnąć pożyczkę w kasie zapomogowej naszego związku. Wyjaśnił mi, że z tego źródła uda się uzyskać jeszcze dziesięć tysięcy. Będę mogła je spłacać po tysiąc złotych miesięcznie. Tymczasem ja zgromadzę należne mi honoraria. Pan Krabe wraca jutro wieczorem do Warszawy i przyrzekł, że w tym tygodniu pojedzie do Białegostoku.

- Pan Krabe mieszka w pokoju położonym niedaleko zajmowanego przez jubilera. Czy nie słyszała pani niczego podejrzanego na korytarzu lub w sąsiednich pomieszczeniach?

- Nie przypominam sobie. Chociaż... Tak. Kilka razy chodził ktoś po korytarzu. Pani Zosia również nie była sama w pokoju. Zdawało mi się, że dochodzą stamtąd rozmowy i odgłos otwieranych drzwi balkonowych. Ktoś chodził też po balkonie.

- Czy były to kroki męskie?

- Raczej nie. Ten ktoś przeszedł po cichu koło drzwi balkonowych pana Krabego. To była prawdopodobnie kobieta, która szła w miękkich pantoflach. Ale firanki były zasunięte i nikogo nie widziałam. Przeżyłam nawet moment strachu, że ktoś zobaczy mnie i Jerzego. Taki pensjonat jest zawsze gniazdem najrozmaitszych plotek na temat „kto z kim”. Wolałam tego uniknąć. Byłam bardzo zadowolona, że portierey i spuszczone i nie miałam bynajmniej zamiaru sprawdzać, kto chodzi na zewnątrz. Staralam się również kwyjść bezszelestnie, aby nikt mnie nie zobaczył.

Pani Maria Rogowiczowa zamilkła. Jedynie czerwone placki wypieków na policzkach świadczyły, że ta spowiedź nie przysła jej łatwo. Podporucznik spojrzę pytająco na pułkownika. Ten zaś powiedział:

- Gdyby pani od razu powiedziała prawdę, nie stracilibyśmy tyle czasu. Może pani udać się do swojego pokoju, lecz nie wolno pani, jak i reszcie pensjonariuszy, opuszczać willi. Proszę raz jeszcze uważnie przeczytać protokół, podpisać na każdej stronie i ewentualnie sprostować błędy lub niedokładności.

Pani profesor szybko przebiegła wzrokiem zapisane kartki, podpisała je i wyszła z jadalni.

- Można było ją zaarrestować - powiedział podporucznik - wcale nie jestem pewien, czy usłyszeliśmy prawdę.

- Powiedziała prawdę - rzekł pułkownik - lecz czy całą prawdę i czy czegoś nie przemilczała lub przekręciła? Nie widzę jednak potrzeby jej zatrzymywania. Pańska decyzja zwolnienia Rogowiczowej jest słuszna. To nie ona dokonała zamachu na Dobroźlockiego.

- Ale poszlaki są obciążające. Jest również motyw zamachu. Miała także okazję do popełnienia zbrodni. Wracając od Krabego mogła wejść do jubilera.

- To wszystko do niej pasuje poza jednym ważnym szczegółem.

- Jakim? - zapytał podporucznik.

- Pan zapomina o drabinie przystawionej do balkonu. Rogowiczowa nie mogła tego zrobić. Jeżeli rozwiążemy zagadkę, kto i kiedy przyniósł drabinę - znajdziemy przestępcę.

Rozdział VII

Z pierwszego piętra zszedł jeden z milicjantów. Był niezmiernie podniecony. Trzymał małą, damską chusteczkę do nosa, w której znajdowały się jakieś przedmioty.

- Panie poruczniku - zameldował - znaleźliśmy biżuterię.

Położył chusteczkę na stole i delikatnie ją rozwinął. Oczom obecnych ukazała się broszka i dwa pierścionki z kolorowymi oczkami.

- To nie te klejnoty - z rozczarowaniem powiedział podporucznik.

- Ależ takie same, tylko niedokończone, są w pokoju jubilera!

- Możliwe - zauważył pułkownik - pan Dobroźlocki wykonywał przecież sporo świecidełek na sprzedaż do sklepów Cepelii. To jest srebro i półszlachetne kamienie lub po prostu szkiełka. Skradziona biżuteria składała się ze złota i brylantów. Znalezione przez was drobiazgi warte są najwyżej kilkaset złotych. Klejnoty Dobroźlockiego oceniano na ponad milion złotych.

- Szkoda - powiedział milicjant - tak byliśmy uradowani, gdy zobaczyliśmy je w pokoju tej cudaczki.

- Zofii Zachwytowicz?

- Nie znam jej personaliów - pokręcił głową milicjant - ale to ta, za którą oglądają się na ulicy. Mieszka w pokoju obok jubilera.

- W takim razie - zdecydował podporucznik - porozmawiamy teraz z panią Zachwytowicz. Poproście ją tutaj.

Pani Zosia nie weszła, lecz wkroczyła do jadalni z jednym z najpromienniej

szych swoich uśmiechów. Siadając naprzeciwko podporucznika tak uniosła sukienkę, aby uchronić ją przed zgnieceniem, że pokazała nie tylko fioletową haleczkę, ale również białe podwiązki i koronkowe, fioletowe majteczki.

- Taka jestem panom wdzięczna - szczebiotała - że wezwaliście mnie nareszcie. Nie mogłam dłużej wytrzymać w salonie. Panie i panowie zamienili się w mumie, nikt ust nie otwiera. A patrzą na siebie, jak gdyby każdy z nas był mordercą.

- Obawiam się, że jest nim jedno z państwa.

- Jeśli ktoś jest mordercą, to tylko malarz, Paweł Ziemak.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Bo to bardzo nieprzyjemny osobnik. Stale milczy, a gdy coś powie, to zawsze, żeby dokuczyć. Kiedy pan Dobrozłocki pokazywał biżuterię, wszyscy ją podziwiali i chwalili, a on milczał, tylko oczy mu się świeciły jak u wilka.

- Sprawiedliwość nie sądzi na podstawie czyjegoś sympatycznego czy niemilego wyglądu lub też prawienia komuś złośliwości. Oskarża się na podstawie bardziej konkretnych dowodów.

- Ale on tam był!

- Gdzie?

- W pokoju pana Dobrozłockiego.

- Widziała go pani?

- Widziałam wchodzącego, a później słyszałam rozmowę. Jeśli pan Ziemak czymś się zdenerwuje, a on prawie stale jest podenerwowany, mówi bardzo głośno, mój pokój przylega do pokoju pana Dobrozłockiego, ścianka działowa jest cienka i choćbym nie chciała, musiałam słyszeć jego głos.

- Co mówił?

- Krzyczał na jubilera. Odróżniałam pojedyncze zdania. „To świństwo”, potem „schlebianie instynktom głupiego bydła”, „gdzie jest prawdziwa sztuka”...

- Prawdziwy artysta tak nie robi... „pan jest zwykły druciarz, garnki drutować”... Wreszcie trzasnęła drzwiami tak silnie, że wszystkie słoiczki podskoczyły na mojej toalecie.

- Słyszała pani, że opuścił pokój jubilera?

- Słyszałam trzaśnięcie drzwiami. Naturalnie, że wyszedł. Przecież kiedy Różia zaniósła tam herbatę, już go tam nie było, a Dobrozłocki leżał na podłodze.

- O której godzinie, oczywiście w przybliżeniu, widziała pani malarza wchodzącego do pokoju Dobrozłockiego?

- Nie patrzyłam na zegarek. Zaraz po kolacji poszłam na górę. Wybierałam się na dansing, musiałam nieco się odświeżyć.

- Przepraszam, że przerywam, ale kiedy wróciła pani do pokoju? Może pamięta pani, w jakiej kolejności goście opuszczali po kolacji jadalnię?

- Pierwszy wyszedł Adaś, przepraszam, pan Adam Źarski poszedł reperować telewizor. Za nim zaraz pan Dobroźłocki. Później albo pan Krabe, albo pani Miedzianowska. Ona wybierała się do miasta. Ja wyszłam za nimi. Jeszcze przy drzwiach zaczepił mnie pan Ziemak i powiedział jakąś złośliwość. Nie zareagowałam na to i poszłam prosto na górę. Byłam z dziesięć minut w pokoju, a później postanowiłam skorzystać z łazienki. Wyszłam na korytarz, lecz przypomniałam sobie, że nasza łazienka jest zepsuta, a drugą na tym piętrze żona kierownika zamknęła na klucz i nie pozwala jej używać gościom pensjonatu. Wróciłam więc do swojego pokoju i wówczas spostrzegłam, że pan Ziemak schodzi ze schodów drugiego piętra, bo tam mieszka, i wchodzi do pokoju mojego sąsiada. Nie zapukał do drzwi, lecz bez słowa nacisnął klamkę.

- Pani zna te pierścionki i tę broszkę? - podporucznik pokazał Zachwytowiczowej srebrne cacka znalezione u niej w pokoju.

Pani Zosia zupełnie się nie zmieszała.

- Widzę, że nasza dzielna milicja ostro przystąpiła do roboty. Przeprowadziliście rewizję w moim pokoju? Leżały na toaletce.

- Skąd pani ma te pierścionki?

- To nie moje. Pana Dobroźłockiego. Pożyczyłam od niego.

- Jak to było? Proszę opowiedzieć dokładnie.

- Po obiedzie pan Dobroźłocki pokazywał nam swoją biżuterię, a przy okazji wygłosił ciekawy wykład o pewnym królu trackim, który oszukał Anglików, czy też Francuzów i tym podobne ciekawostki. Ale brylanty były wspaniałe! Przymierzałam je. Bardzo było mi do twarzy w tej kolii. W ogóle mam taki typ urody, że klejnoty, a zwłaszcza brylanty, wyglądają na mnie bardzo korzystnie. A ponieważ wieczorem wybierałam się na dansing, prosiłam jubilera o pożyczenie mi tego kompletu - kolii, pierścionka i kolczyków. Gdybym tak przystrojona weszła na salę do „Jędrusia”, to orkiestra przestałaby chyba grać, a baby szlag by na miejscu trafił!

- Nie obawiałyby się pani brać tak kosztownej biżuterii na publiczną zabawę? Przecież to warte ponad dwa miliony złotych.

- Nic by mi się nie stało, bo szłam z dwoma miejscowymi chłopakami.

Obydwaj sportowcy. Czuwaliby nade mną. Nazywają ich moją przyboczną „gwardią góralską”. Gdyby jubiler zgodził się na moją propozycję, nic by mu się nie stało, bo nie miałby najcenniejszej części biżuterii u siebie i nikt nie zrobiłby na niego napadu.

- Ale skąd wzięła się u pani ta srebrna biżuteria?

- Właśnie opowiadani, a pan ciągle mi przerywa. Wracając po kolacji do swojego pokoju, postanowiłam raz jeszcze poprosić pana Dobroźlockiego. Może odmówił ze względu na większe grono zebranych, a w cztery oczy będzie przystępniejszy? Zapukałam i weszłam do niego. Pan Dobroźlocki czytał książkę. Poprosił, żebym usiadła i poczęstował czekoladkami. On nosi zawsze przy sobie cukierki lub czekoladki, bo odzwyczajają się od palenia, i wszystkich częstuje. Prosiłam go o pożyczenie kolii, nawet obiecywałam, że... że go pocałuję. On jednak tłumaczył, że brylanty nie są jego własnością i nie może ich pożyczyć, nawet gdyby towarzyszył mi na dansing, bo i to mu proponowałam. Za to wyjął inną skrzyneczkę, ale nie pancerną, lecz zwykłą, taką, jakie sprzedają górale, wybrał dwa pierścionki i tę broszkę, wręczył mi i powiedział: „to srebro będzie ślicznie wyglądało na tle pani pięknej sukni, a pierścionki jak gdyby specjalnie robione na te śliczne paluszki” - na potwierdzenie swoich słów pani Zosia pokazała zgrabne rączki.

- A więc pani również była w pokoju jubilera?

- Tak, ale przed Ziemakiem.

- To pani tak twierdzi. On na pewno będzie mówił odwrotnie. Że pani weszła do pokoju Dobroźlockiego dużo później i niezadowolona z odmowy pożyczenia biżuterii, uderzyła go pani młotkiem.

Mimo takiego oskarżenia pani Zosia nie straciła kontenansu.

- Przede wszystkim młotek leżał na dole, na kanapce w hallu. Sama go tam położyłam wracając z wycieczki. Był on tam również w momencie, gdy wracałam z kolacji na górę. Poza tym mam świadka, że byłam w swoim pokoju wtedy, gdy pan Dobroźlocki jeszcze krzątał się po pokoju.

- Ma pani świadka? Kogo?

- Mówiłam panu, że chciałam pójść do łazienki. Ale łazienka była zepsuta, a nie miałam ochoty schodzić na parter. Postanowiłam przeto skorzystać z umywalni w pokoju. Wróciłam więc do siebie i wtedy usłyszałam, jak pan Ziemak kłóci się z panem Dobroźlockim. W tym czasie przyszedł do mnie Jacek.

- Kto?

- Jacek Pacyna. Jeden z tych młodych ludzi, z którymi miałam iść na dansing.

- Niech pani mówi prawdę. Wiemy, że ci dwaj chłopcy przyszli do „Carltonu” tuż przed przyjazdem milicji. Redaktor Burski poradził im opuścić willę, zanim zaczniemy śledztwo.

- To prawda. Do willi przyszli obaj, ale przedtem był u mnie tylko Jacek.

- Po co?

- Namawiał mnie, abym nie szła na dansing, lecz żebyśmy zostali w moim pokoju. Miał zamiar splawić Heńka.

- Ale dlaczego?

Pani Zosia spojrzała na podporucznika z politowaniem. Jakże można nie rozumieć tak oczywistej rzeczy, że młody człowiek woli zostać w pokoju z przystojną kobietą, zamiast iść na publiczną zabawę? Ale wyjaśniła z całym spokojem:

- Jacek podkochuje się we mnie. Jest zazdrosny o Heńka. Często zresztą przychodzi do mnie wieczorami. To bardzo inteligentny chłopiec, chociaż narciarz. Wtedy rozmawiamy o sztuce, o filmie, o literaturze...

Podporucznik musiał mieć bardzo zdziwioną minę, bo nie wyobrażał sobie takiej nocnej rozmowy ekscentrycznej aktoreczki z młodym, silnie i ładnie zbudowanym góralczykiem. Za to pułkownik nie krępował się zupełnie, roześmiał się i mrugnął lewym okiem. Pani Zosia nie pozostała dłużna i również uśmiechnęła się znacząco. Widać było, że niewiele jej zależy na tym, aby oficerowie uwierzyli w zapewnienia o intelektualnych nocnych dyskusjach.

- Dobrze - zgodził się podporucznik - ale w jaki sposób Jacek wychodził w nocy z „Carltonu”? O ile się orientuję, drzwi pensjonatu zamykane są o dziesiątej. Budził portiera?

- Nie, przecież to sportowiec. Po prostu wychodził przez balkon.

- Po drabinie?

- Po co? Jacek ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Kiedy uchwyci rękami za balustradę balkonu, ma nie więcej, jak półtora metra do zeskoczenia na dolny taras.

Co to dla niego znaczy?

- Czy i dzisiaj wyszedł w ten sam sposób? A może to on przystawił drabinę, aby dostać się do pani pokoju?

- Nie. Przyszedł przez ganek i tamtędy wyszedł.

- Czy pani odprowadzała go na dół?

- Nie. Byłam na niego zła. Ręki mu nawet nie podałam.

- Dlaczego?

- Bo kretyn! Jak można namawiać kobietę, która specjalnie poszła do fryzjera, aby zrezygnowała z dansingu i pozostała w domu? A poza tym całą twarz mi zepsuł.

- Nie rozumiem.

Pani Zosia gniewnie wzruszyła ramionami.

- Przecież powiedziałam panu, że wróciłam do swojego pokoju po to, aby poprawić urodę. Pomalowałam pomadką usta, oczy zrobiłam zielonym tuszem na Kleopatrze. A temu bałwanowi zachciało się pieszczot. Zjadł mi całą pomadkę, a na dobitek wziął się do całowania po oczach. Przecież takiego można zamordować. Wyrzuciłam go za drzwi i zagroziłam, że jeżeli nie powróci z Heńkiem, to pójdę na dansing sama lub z kimkolwiek, byleby nie z nim. Wyszedł jak zbity pies.

- Pani twierdzi, że kłótnia w pokoju jubilera odbywała się wtedy, gdy Jacek był u niej?

- Tak. Jacek zrobił uwagę: „ale się kłóca, jeszcze się pobijają”.

- Czy po tym trzaśnięciu drzwiami w sąsiednim pokoju panowała cisza?

- Nic więcej nie słyszałam.

- Czy w pani pokoju słychać było zazwyczaj kroki jubilera?

- Nie. Słychać jedynie burzący kran przy puszczeniu wody i skrzypienie szafy, bo piszczy.

- A rozmowy?

- Nie słychać prowadzonych normalnym głosem. Wyraźnie słyszałam krzyki pana Żemaka, ale nie dochodziły do mnie odpowiedzi jubilera.

- Czy słyszała pani jakiś brzęk? Zachwytowiczowa zamyśliła się.

- Słyszałam trzaśnięcie okna, jak gdyby dźwięczne drżenie szyby. To było jednak znacznie później, lecz nie orientuję się, w którym pokoju.

- Co pani robiła po wyjściu Jacka?

- Musiałam na nowo zrobić twarz. Zajęło mi to z piętnaście minut, a może nawet więcej. Kiedy usłyszałam, że Adaś naprawił telewizor, wzięłam płaszcz na rękę i zesłam na dół.

- Czy przed przyjściem do salonu opuszczała pani swój pokój?

- Nie, nigdzie nie wychodziłam.

- A może jednak? Niech pani sięgnie do pamięci.

Po raz pierwszy w czasie przesłuchania pani Zosia wydawała się nieco zmieszana. Nerwowo gniotła trzymaną w ręku chusteczkę.

- Wyszłam na balkon.

- Po co?

- Chciałam zobaczyć, jaka pogoda i czy nie zmarznę w samym płaszczu.

- Czy deszcz już padał?

- Jeszcze nie, ale było pochmurno. Gwiazd nie było widać. Giewont zakrywały chmury.

- No widzi pani - na pół drwiąco powiedział podporucznik - jak dobrze pomagam pani pamięci. A może przypomni pani sobie, co pani robiła na balkonie. Na nogach miała pani miękkie, domowe pantofle, prawda?

- Skąd pan wie? Rzeczywiście miałam.

- Słucham panią?

- Było dość chłodno. Zdecydowałam, że wezmę na dansing cieplejszy szal.

Pani Zagrodzka zawsze mi pożyczała swój biały z angory. Weszłam do ich pokoju i wyjęłam szal z szafy.

- Ich pokój nie był zamknięty?

- Nie. Pani Zagrodzka nigdy nie zamyka balkonu na klucz. Wyjeżdżając do Czechosłowacji również zostawiła pokój otwarty od strony balkonu. Wiedziałam o tym.

- Wzięła pani szal bez pytania? A gdyby zginęło z pokoju coś wartościowego?

- Zagrodzka jest moją przyjaciółką. Nie musiałam się krępować. Ona też nieraz używa moich rzeczy bez pytania.

- Gdzie jest ten szal?

- Leży razem z moim płaszczem w salonie. Nie miałam możliwości odniesienia rzeczy do pokoju. Jeden z milicjantów nie pozwala nam opuszczać salonu.

- Czy w czasie pobytu na balkonie nie zauważyła pani niczego podejrzanego?

Pani Zosia uśmiechnęła się złośliwie.

- Kiedy przechodziłam koło drzwi pokoju pana Krabe, usłyszałam, jak kilka razy powtórzył: „Nie martw się, kochanie, poradzimy sobie z tym, wszystko będzie dobrze”. Byłam niezmiernie ciekawa, do kogo mówi takie słowa i zerknęłam przez szparkę w portierze. Niech pan sobie wyobrazi, że nasz literat trzymał w objęciach panią profesor, głaskał ją po głowie, a ona płakała. Przecież to dorośli ludzie, i chyba doświadczeni. Ona ma dwoje dorosłych dzieci... I żeby tak nie uważać? Od razu zauważyłam, że przy kolacji siedziała jak struta, a od paru dni była dziwnie niespokojna i podniecona. Jedno muszę im przyznać. Umieeli się z tym kryć. Nawet ja się nie domyślałam, że między nimi coś jest...

Tu pułkownik już nie wytrzymał i w głos się roześmiał. Pani Zosia sądząc, że oficer milicji podziela jej uwagi, również się uśmiechnęła. Podporucznik zwrócił się do starszego kolegi:

- Czy ma pan pytania, pułkowniku?

- Chciałbym zapytać panią o kilka drobiazgów. Po pierwsze, czy często przyjeżdża pani do Zakopanego?

- Co roku regularnie w październiku, Czasami również w miesiącach zimowych.

- Czy zna pani dłużej obecnych pensjonariuszy „Carltonu”?

- O, tak! Prawie wszyscy przyjeżdżają rokrocznie w październiku na „złotą jesień” w góry. Pana Krabego spotykam tutaj po raz czwarty. Redaktor Burski bywa co roku od dziesięciu lat. Zagrodzcy przyjeżdżają stale. Adaś również jest częstym gościem. Pan Ziemak pojawia się zwykle w połowie września i mieszka do połowy października. W tym roku przyjechał tylko nieco później. Jedynie panią profesor widzę po raz pierwszy.

- Wracając po kolacji na górę, widziała pani inżyniera Żarskiego reperującego telewizor?

- Widziałam, bp wstąpiłam do salonu.

- Po co?

- Chciałam Adasia namówić, aby poszedł na dansing.

- Przecież umówiła się pani z dwoma chłopcami?

- No to co? Z Adasiem byłoby jeszcze weselej. On jest czarujący w towarzystwie i doskonale tańczy. Tamci dwaj znacznie lepiej czują się na nartach, niż na parkiecie w czasie twista.

- Rozmawiała pani z inżynierem?

- Zaproponowałam mu pójście do „Jędrusia”, ale on mi odburknął: „Po co? Masz swoją góralską gwardię”. Odpowiedziałam, że obejdzie się bez łaski i poszłam do siebie.

- Pan Żarski niegrzecznie panią potraktował. Mógł się zdobyć na jakiś bardziej elegancki wykręt.

- On jest zazdrosny. Ubiegłego roku zaprzyjaźniliśmy się z sobą i nawet jedna złośliwa wiedźma pobiegła z plotkami do mojego męża. Musiałam potem tłumaczyć Jędrusiowi, że to nic złego, lecz przyjaźń i porozumienie dwóch bratnich dusz. Adaś sądził, że w tym roku będzie tak samo, ale zjawił się Jacek i Henio, więc inżynier

gniewa się na mnie, udając, że go nic nie obchodzi.

- Niech mi pani jeszcze opowie, jak to było ze znalezieniem Dobroźlockiego.

- Gdy pani. Różia zbiegła z góry krzycząc, że jubiler leży w kałuży krwi, wszyscy pobieглиśmy na górę. Kiedy zobaczyłam wielką czerwoną plamę, zrobiło mi się niedobrze i zemdlałam. Pamiętam, że podtrzymał mnie Adaś. Ocknęłam się w swoim pokoju. Był tam pan Krabe i inżynier. Inżynier zaraz wyszedł, a pan Krabe pozostał dotąd, dopóki nie poczułam się lepiej. Wypiłam szklanę, wody i wyszłam na korytarz. Pani profesor bandażowała głowę panu Dobroźlockiemu. Potem wszyscy zeszli na dół, a ja razem z nimi. Na górze pozostał kierownik z panią Rogowiczowa. W salonie inżynier uruchomił telewizor. Szła „Kobra”, lecz nikt na nią nie patrzył.

- Czy wszyscy byli wówczas w salonie?

- Tak. Kierownik także przyszedł i pytał Jasia, czy zawiadomił pogotowie i milicję. Mówił, że pan Dobroźlocki żyje i pewnie będzie żył. Później przyszli moi chłopcy, Jacek i Heniek. Ale oczywiście nie było już mowy o pójściu na dancing. Redaktor poradził im, aby jak najszybciej opuścili „Carlton”. Wkrótce przyjechało pogotowie, a w parę minut później panowie. Jeden z milicjantów zatrzymał nas w salonie.

- A czy do naszego przyjazdu nikt nie wychodził z salonu?

- Wychodzili. Prawie wszyscy. Byliśmy bardzo zdenerwowani. To się zwykle objawia w szczególny sposób. WC miało powodzenie. Każdy też palił papierosy. Niektórzy panowie przynosili zapasy ze swoich pokoi.

- Czy pamięta pani, kto wychodził z salonu?

- Pamiętam. Pan Krabe przyniósł pudełko „Waweli”, bo on pali tylko ten gatunek. Ma duże trudności, bo w Zakopanem nie można dostać żadnych lepszych papierosów. Podobno wykupują je Czesi i Węgrzy. Również inżynier wyszedł z salonu po papierosy, ale miał bliżej, bo mieszka na parterze. Pani Różia wyszła do kuchni i przyniosła nam gorącą kawę.

- I ostatnie pytanie: czy pan Dobroźlocki utrzymywał bardziej przyjacielskie stosunki z którąś z osób przebywających obecnie w „Carltonie”?

Pani Zosia zamyśliła się.

- Bliższych chyba z nikim, chociaż znał wszystkich od dawna. Mnie znał co najmniej pięć lat. Wiem, że zawsze z wielkim szacunkiem wyrażał się o panu Krabe. Z pana Ziemaka nieraz podrwiwał, ale również uważał go za bardzo zdolnego malarza, chociaż zmanierowanego i zbyt silącego się na nowoczesność i

oryginalność. Wiem, że z redaktorem Burskim utrzymywał kontakty towarzyskie w Warszawie. Bywają u siebie i grywają w brydża. Inżyniera Żarskiego pan Dobroźlocki znał od lat. Nieraz mu tłumaczył, że należy poświęcić się albo sztuce, albo technice. Łapaniem dwóch srok za ogon do niczego, zdaniem jubilera, Adaś nie dojdzie.

- Nie rozumiem?

- Żarski pracuje w hutnictwie, ale z amatorstwa jest kompozytorem piosenek. Z tej racji należy do stowarzyszenia, którego jesteśmy członkami.

- A pani profesor?

- Ja jej przedtem nie znałam, ale z panem Dobroźlockim witała się jak ze starym znajomym. Może spotykali się w Warszawie na terenie stowarzyszenia? Ona również do niego należy, gdyż pisuje prace naukowe i wydaje je zarówno w kraju, jak za granicą.

- Czyli, że wszyscy na ogół dobrze się znali?

- Oczywiście. Nie wyobrażam sobie, żeby pan Dobroźlocki zaryzykował wzięcie do „Carltonu” tak cennej biżuterii i żeby ją demonstrował nieznanym sobie ludziom.

- Słowem - zadrwił podporucznik - byli sami swoi, sami przyjaciele, sami dobrzy znajomi i mimo to doszło do napadu. Jak w tej bajce o zającu zjedzonym przez psy wśród najlepszych przyjaciół.

Pani Zachwytowiczowa nic na to nie odpowiedziała.

- Sądzę - powiedział pułkownik - że nie będziemy pani więcej męczyli. Może pani wrócić do swojego pokoju, ale proszę nie kłaść się spać. Nie wiadomo, czy nie skorzystamy z pani pomocy. Pani doskonale pamięta przebieg zdarzeń i jej zeznania ułatwiły nam pracę.

- Jako aktorka muszę być spostrzegawcza - przytaknęła pani Zosia i bardzo z siebie zadowolona opuściła jadalnię.

- Poślę milicjantów do „Jędrusia”, aby przyprowadzili tych dwóch chłopaków. Mogę dać szyję, że są na dansingu. Opowiadają przyjaciołom i znajomym o sensacji w „Carltonie”. Nie wiem zresztą, czy nie istnieje możliwość zmywy tego Jacka z Zachwytowiczowa? Wyszedł przez ganek, a potem wrócił przy pomocy drabiny. Oczekali w pokoju Zachwytowiczowej na koniec kłótni jubilera z malarzem i potem we dwoje załatwili Dobroźlockiego. W ten sposób mamy wytłumaczoną drabinę.

- Wątpię - zauważył pułkownik - ale trzeba ich przesłuchać. Im prędzej, tym

lepiej. Moim zdaniem Zachwytowiczowa nie nadaje się na konspiratorkę. Za to doskonale jest poinformowana o tym, co dzieje się w pensjonacie, chociaż niektóre fakty tłumaczy dość opacznie. Na przykład bytność pani profesor u Krabego.

Na wspomnienie komentarza pani Zosi obydwaj milicjanci parsknęli śmiechem. Pułkownik ciągnął dalej:

- Istnieje pewna, niewielka zresztą możliwość, że zbrodnię popełnił Jacek Pacyna. Może rzeczywiście jest zakochany w tej aktorce i chciał zdobyć dla niej klejnoty, chociaż nie wydaje mi się to prawdopodobne. Moim zdaniem Jacek opuścił pensjonat jeszcze przed zejściem Dobroźlockiego na dół. Różia mówiła, że telefonował i przypominał jej o herbacie. Wtedy Jacka raczej już nie było w „Carltonie”. Pani Zachwytowicz na pewno pracowała nad swoją twarzą najmniej dwadzieścia minut. Trzeba koniecznie ustalić, do kogo dzwonił jubiler na kilka minut przed napadem. To może być ważnym tropem.

- W pensjonacie - wtrącił jeden z milicjantów - prowadzi się książkę, do której każdy telefonujący obowiązany jest wpisać numer i godzinę przeprowadzenia rozmowy. Można więc sprawdzić, do kogo dzwonił Dobroźlocki.

- Bardzo ważna jest godzina przeprowadzenia tej rozmowy. To były ostatnie minuty przed napadem, a ściśle ustalenie czasu napadu najbardziej pomoże w rozwikłaniu tej sprawy.

Milicjant przyniósł do jadalni dużą, czarną książkę. Miała ona rubryki: data, godzina, kto dzwoni, pod jaki numer (miejscowość), czas trwania rozmowy. Ostatnim, zapisanym w tej księdze był Mieczysław Dobroźlocki. Godzina 20.45. Telefon 8805. Natomiast pusta była rubryka „czas trwania rozmowy”. Przeglądając inne zapisy podporucznik stwierdził, że nikt z telefonujących nie notował czasu trwania rozmów miejscowych, gdyż nie miało to znaczenia dla wysokości opłat.

- Znam ten numer - powiedział sierżant - to „Granit”, jeden z pensjonatów FWP.

- Można zatem przyjąć z dokładnością do trzech minut, że napad na jubilera nastąpił za dziesięć dziewięć. Rozmawiał dwie, trzy minuty, potem zajrzał, do jadalni, zamienił kilka słów z Rózią, następnie poszedł do swojego pokoju. Tam napastnik już czekał z młotkiem w ręku.

- Myślę - dodał pułkownik - że jutro rano trzeba będzie zbadać w „Granicie”, do kogo telefonował Dobroźlocki i jaka była treść tej rozmowy. Telefon odbierał prawdopodobnie portier. Powinien pamiętać, kogo wzywano do aparatu.

- A co pan sądzi - zapytał podporucznik - o zeznaniach pani Zachwytowicz?
Pomijając już to, że jest pan przekonany, iż to nie ona była sprawcą napadu.

- Ta pani tylko gra rolę takiej ekscentrycznej aktoreczki, z której się wszyscy śmieją. W gruncie rzeczy jest to mądra i opanowana kobieta. Jej zeznania są po prostu majstersztykiem. Przecież nie mogła wiedzieć, co wiemy i o co będziemy ją wypytywali. A jednak powiedziała nam tylko to, co chciała. Kiedy widziała, że czegoś nie wiemy, to tego nie mówiła. Odwrotnie, domyślając się naszych wiadomości, umiejętnie je potwierdzała. Ale tylko w taki sposób, żeby siebie nie obciążyć choćby najlżejszym posądzeniem.

- No tak. Niby to nawet się nie domyślała, że ją podejrzewamy, a wykręcała się z każdego zarzutu.

- Od razu też zrozumiała, - że Jacek Pacyna to wielki atut w ustaleniu jej alibi. Toteż nie usiłowała przemilczać dwuznacznej przecież roli tego młodego człowieka w jej pokoju.

- A jednak jej zeznania są - stwierdził podporucznik - bardzo dla nas cenne. Chociaż, przypuszczam, że tego malarza obciążała nie tylko dlatego, żeby pomóc sprawiedliwości.

- Na pewno. Ciekaw jestem, co na jej temat powie nam pan Ziemak? Nie będą to peany na cześć gwiazdy filmu.

- Nawet jak mdlała na widok jubilera leżącego w kałuży krwi, zrobiła to tak, żeby w pobliżu był silny mężczyzna - pan Żarski. Ta kobieta nie robi nigdy niczego nieprzemyślanego.

- Sądzę, że jej stroje i jej afiszowanie się młodym góralczykiem jest grą, a nie flirtem, czy uczuciem.

- Na pewno - zgodził się podporucznik - dlatego też nie mogę tak łatwo jak pułkownik, skreślić tej pani z mojej listy podejrzanych. Babka robi wszystko, żeby wokół siebie wytworzyć atmosferę czegoś niezwykłego. Rozumiem, że początkującej gwiazdce filmowej reklama potrzebna jest jak powietrze, ale potrzebne są również i pieniądze. Dla kariery niektórzy idą po trupach. Być może, że pani Zachwytowicz właśnie po trupie jubilera. Takie pieniądze to dobry start.

- Rozumowo ma pan rację - przyznał pułkownik - ale fakty tego raczej nie potwierdzają. W każdym razie pani Zosia dała nam do ręki pewną nić przewodnią. Trzeba będzie za nią pociągnąć. Wezwiemy chyba na rozmowę tego malarza?

- A ja bym panu proponował pozostawienie go na razie w spokoju. Coś niecoś

o nim już wiemy, może inne zeznania rzucać dalsze światło na wizytę pana Ziemaka w pokoju jubilera. Nie ujawniamy się przed czasem - zaproponował podporucznik - może lepiej wezwijmy teraz inżyniera. Cały czas siedział w salonie. Mógł zauważyć coś ciekawego.

- Proszę bardzo - zgodził się pułkownik. Z jego miny widać było, że jest zaskoczony samodzielnością młodego oficera milicji. Wydawało się, że w tej sprawie będzie jedynym autorytetem, a tymczasem już podczas tych pierwszych przesłuchań podporucznik Klimczak wykazał, że jest człowiekiem, który dobrze wie, do czego dąży. Pułkownik Lasota nie zdawał się być z tego niezadowolony, raczej mile zaskoczony.

- Ten inżynier - zauważył sierżant - często bywa w Zakopanem. Widywałem go nieraz w ciągu ostatnich lat. Stale z jakimiś babkami. Za każdym razem innymi. Wiem też od kelnerów z „Orbisu”, że pan Żarski, kiedy się bawi, ma szeroki gest.

- Przeprowadźcie pana Żarskiego - polecił podporucznik - może on nam powie coś o innych mieszkańcach pensjonatu.

Rozdział VIII

- Teraz przesłuchamy inżyniera Adama Żarskiego. Może on będzie mógł nam powiedzieć coś ważnego w tej sprawie. Cały czas był w salonie. To dobry punkt obserwacyjny.

Żarski podał swoje personalia: inżynier mechanik, zatrudniony w hucie we Wrocławiu i tam zamieszkały. Lat 32. Kawaler.

- Co mógłby powiedzieć pan o wydarzeniach, które nastąpiły w pensjonacie po kolacji? - zapytał podporucznik.

- Obawiam się, że niewiele. Od wczorajszego dnia odbiór w telewizji był kiepski, a dzisiaj po południu telewizor wysiadł kompletnie. W życiu „Carltonu” to mała tragedia, zwłaszcza w czwartek, kiedy wszyscy czekają na „Kobry”. Ponieważ znam się trochę na telewizorach, postanowiłem zreperować aparat. Szybko zjadłem kolację, nie dopiłem nawet herbaty, i przystąpiłem do roboty. Udało mi się naprawić to pudło tuż przed samą dziewiątą. W rezultacie okazało się, że niepotrzebnie pracowałem, bo i tak nikt „Kobry” nie oglądał. Mieliśmy lepszą na miejscu.

- Czy po kolacji cały czas był pan w salonie, aż do godziny dziewiątej?

- Wychodziłem dwukrotnie, ale na krótko.

- Po co?

- Najpierw poszedłem do kuchni. Tam stoi skrzynka z różnymi narzędziami. Potrzebne mi były płaskoszczypy i śrubokręt. Przyniosłem je do salonu i pracowałem przy ich pomocy. Ale śrubokręt był duży i nie nadawał się do śrubek telewizora. Przyszło mi na myśl, że pan Dobroźlocki prawdopodobnie dysponuje dłućkiem. Poszedłem do niego, lecz na próżno. Nie mógł mi w niczym pomóc, musiałem sobie radzić przy pomocy zwykłego noża i scyzoryka.

- Kiedy pan był u Dobroźlockiego?

- Zaraz po skończeniu kolacji. Najpierw poszedłem do salonu, zdjąłem pokrywę telewizora i zszedłem do suterenu po narzędzia. Początkowo próbowałem posługiwać się przyniesionym śrubokrętem. Ponieważ nie był odpowiedni, udałem się na górę.

- Czy w jadalni ktoś był?

- Nie zaglądałem do jadalni. Przechodząc korytarzem, widziałem jedynie Rózię.

- Proszę, niech pan szczegółowo opowie o pobycie w pokoju jubilera,

- Niewiele jest tu do opowiadania. Zapukałem i na słowo „proszę”

otworzyłem drzwi. Nawet nie wchodziłem do środka. Pan Dobroźlocki siedział w fotelu i czytał książkę. Zapytałem, czy ma mały śrubokręt, albo małe dłućko, którego można użyć w tym samym celu, co śrubokręt. Jubiler odpowiedział, że posiada jedynie rylce do rzeźbienia w metalu, ale one nie nadają się do odkręcania śrub. Przeprosiłem więc i zamknąłem drzwi.

- Czy drzwi na balkon były otwarte?

- Nie zauważyłem, ale chyba nie, bo byłby przeciąg. Stałem przecież w otwartych drzwiach i nie czułem silniejszego przepływu powietrza.

- Czy szkatułka stała na stole?

- Nie. Chociaż może? Ale chyba nie. Przypominam sobie dokładnie. Na stole stało zwykłe pudełko o góralskich” rzeźbach. Było otwarte i zauważyłem w nim jakieś świecidełko z gatunku tych, które pan Dobroźlocki sprzedał dzisiaj rano pod szczytem Giewontu.

- Która mogła być wtedy godzina?

- Niestety, nie patrzyłem na zegarek. W ogóle jeśli chodzi o czas, nie będę mógł udzielić żadnych informacji. Spieszyłem się, aby jak najszybciej naprawić ten nieszczęsny telewizor i nie zwracałem uwagi na otoczenie. Dopiero po robocie spojrzałem na zegarek.

- Czy ktoś był wtedy u Dobroźlockiego?
- Nie. Był sam i czytał książkę.
- Czy zauważył pan kogoś w kuchni?
- Tak. Był kucharz i jego dwie pomocnice. Przy okazji zamieniliśmy kilka słów na temat telewizora. Kucharz proponował, że przyniesie aparat z „Sokolika”, jeżeli nie uda mi się naprawić miejscowego.
- Idąc do Dobroźlockiego lub wracając od niego, spotkał pan kogoś?
- Nie. Nikogo. To był zresztą moment. Szybko wszedłem na pierwsze piętro i zaraz wróciłem do salonu, bo nie chciałem tracić czasu. Obawiałem się, że mogę nie dać rady z naprawą i trzeba będzie przynosić ten drugi aparat. Trochę grały tu rolę i względy ambicjonalne. Kiedy podjąłem się roboty, wstyd byłoby jej nie wykonać.
- Rozumiem pana, inżynierze. Ale czy w czasie pracy nikt do pana nie zaglądał?
- Owszem. Raz ktoś zajrzał, ale gdy podniosłem głowę znad telewizora, już tego kogoś nie było. Prócz tego przyszła pani Zosia.
- Czego chciała?
- Wybierała się na dąsing z dwoma wielbicielami. Ale wydawało jej się, że to za mało i mnie również chciała zaprząć do swojego rydwanu.
- Zdaje się, że państwo znacie się od dawna?
- Raz czy dwa razy spotkaliśmy się w „Carltonie” w ubiegłych latach. Tylko tyle.
- Myślałem, że stary flirt, albo stara miłość.
- Myli się pan. Nie lubię tłoku.
- Nikt więcej nie zaglądał?
- Pani Miedzianowska również wstąpiła do salonu. Zamieniliśmy parę zdań, ale ona szybko wycofała się, nie chcąc mi przeszkadzać.
- Panią Miedzianowska zna pan także z „Carltonu”?
- Nie. Znałem ją przedtem. Oboje pochodzimy z Wrocławia. Jej brat jest inżynierem i pracuje ze mną w tej samej hucie. Ona do niedawna również była zatrudniona we Wrocławiu. Dopiero przed trzema laty Miedzianowska przeniosła się do Warszawy i znalazła zajęcie u Amerykanów.
- Czy widział pan już kiedyś ten młotek?
- Oczywiście. To młotek ze skrzynki z narzędziami w kuchni. Dzisiaj pani Miedzianowska omal nogi przez niego nie skręciła. Potem pani Zosia wymachiwała

nim wojowniczo i wreszcie rzuciła go na kanapkę w hallu.

- Kiedy szedł pan do Dobroźlockiego prosić o śrubokręt, czy młotek leżał w hallu?

- Nie widziałem go. Co prawda nie zwracałem zbytnej uwagi na otoczenie, zaabsorbowany tym przeklętym telewizorem, ale gdyby leżał na widoku, to przecież bym go zauważył. Zbyt rzucał się w oczy na czerwonym obiciu kanapy. Tym bardziej, że hall jest raczej niewielki i pali się silna lampa. Prawie na pewno go nie było.

- Czy widział pan Jacka Pacynę wchodzącego lub wychodzącego z „Carltonu”?

- Wchodzącego nie zauważyłem, wychodzącego raczej trudno zobaczyć, gdyż ma on zwyczaj opuszczać pewien pokój w późnych godzinach nocnych. I to nie normalnie drzwiami, lecz przy pomocy „jeleniego skoku” z balkonu na taras. Niekiedy dostaje się na górę bardzo romantycznie, jak Romeo po drabinie do swojej Julii. Aż żałuję, że nie gra na mandolinie i nie śpiewa serenad. Miałbym wtedy dodatkową przyjemność poza nagłym budzeniem w nocy takim zeskokiem na taras. Nieraz zrywam się z łóżka przekonany, że przeżywam trzęsienie ziemi. Nie chcę jednak robić niepotrzebnych plotek i może zmienimy temat? Widziałem obydwu wielbicieli naszej gwiazdy filmowej, ale już po tragedii. Przyszli do salonu, aby zabrać panią Zachwytowicz na dansing.

- Czy przedtem, około godziny ósmej wieczorem, widział pan Jacka?

- Przecież już wyjaśniłem, że nie. Co ja mogłem zobaczyć, stercząc w kącie salonu nad telewizorem? Z tamtego miejsca nie widać nawet drzwi mojego pokoju, chociaż znajdują się one o metr od wejścia do salonu.

- Szkoda. Jest pan jedynym człowiekiem, który cały czas był na parterze. Gdybyśmy wiedzieli, kto i kiedy wchodził na schody, kto i kiedy schodził z góry i kiedy zniknął ten młotek, bylibyśmy bliscy wyjaśnienia sprawy.

- Żałuję, ale nic więcej nie mogę powiedzieć.

- A kogo z mieszkańców „Carltonu” zna pan najbliższej?

- Przede wszystkim, jak to już zaznaczyłem, panią Miedzianowska.

Pracowaliśmy z nią w jednej instytucji.

- Jakiej?

- W jednej z central handlu zagranicznego.

- Co pani Miedzianowska tam robiła?

- Oficjalnie miała stanowisko radcy. Zajmowała się korespondencją w językach obcych, bo dobrze włada angielskim, niemieckim, francuskim, a nawet czeskim.

- Później rzuciła tę pracę?

- Oczywiście. Kiedy już nawiązała stosunki z cudzoziemcami, przeszła do pracy w koncernie amerykańskim, dostarczającym Polsce maszyn. Dostała tam dobre warunki, bo była niezłe wprowadzona w sfery przemysłowe. Amerykanie zapłacili jej dobrze, ale to się im opłaciło. Dowiedzieli się, że musimy z nimi pertraktować, bo bez pewnych amerykańskich maszyn nie możemy podjąć pełnej produkcji. Nic też dziwnego, że do tej pory koncern z USA jest tej pani wdzięczny i płaci jej pensję, chociaż ona właściwie nic nie robi. Pułkownik uśmiechnął się lekko:

- To się dobrze urządziła. Pozazdrościć!

- Jest czego. Pensja w dolarach. Prezenty i znaczenie.

- To panna, czy mężatka?

- Rozwódka. Mąż rzekomo był w AK i w rok czy dwa lata po wojnie zwiął za granicę. Już nie wrócił stamtąd, tylko przysłał pozew rozwodowy. Zresztą i pani Basia nie traciła przez ten okres czasu. Dopiero później zwąchała się z cudzoziemcami.

- Że też nie wyjechała na stałe za granicę? Przy jej, jak pan powiada stosunkach, nie byłoby to trudne.

- To snobka. Ale mądra snobka. Doskonale rozumie, że cała jej wartość polega na tym, iż jest w kraju. - Nie rozumiem?

- To jasne. Kiedy przyjeżdżają przedstawiciele wielkiego koncernu - amerykańscy milionerzy, pani Miedzianowska jest pierwszą osobą przy ich boku. Załatwia kontrakty, umawia z ministrami i dyrektorami zjednoczeń przemysłowych. Poza tym jest przewodnikiem po kraju i organizuje wolny czas tym panom. Łącznie z małym flirtem. Gdyby wyjechała do Anglii czy też do USA, zostałyby tam jedną z wielu przeciętnych urzędniczek, które naczelnego dyrektora widzą raz na rok, a rozmawiają z nim raz na dziesięć lat, albo i nigdy. A pani Miedzianowska umie kalkulować. Dlatego też jest ciągle rozwódką, pomimo, że nie brakowało kandydatów do jej ręki.

- Ale właśnie mogłaby znaleźć bogatego cudzoziemca.

- Och - inżynier uśmiechnął się drwiąco - ci panowie przyjeżdżając do nas są nastawieni bardziej towarzysko, niż matrymonialnie. Wolą te sprawy likwidować

prezenterem. Kosztownym w naszym pojęciu, a drobiazgiem dopisywanym do kosztów podróży w rachunkach tych panów. Pani Basia wie, na co może liczyć i nie posuwa się zbyt daleko w swoich żądaniach. Teraz właśnie buduje sobie willę na Mokotowie.

- Tak? - zdziwił się podporucznik. - Samotna osoba i od razu cała willa.

- Nie znam dokładnie szczegółów. Wiem tylko, że pani Miedzianowska chwaliła się w „Carltonie”, że takich mieszkań, jakie będzie miała, to niewiele się znajdzie dzisiaj w Warszawie. Podobno nawet telefony mają być dobrane do koloru mebli i sprowadzone ze Szwecji.

- To ciekawe! Jej dochody pozwalają na takie luksusy?

- Oficjalnie na pewno nie. Więcej nie powiem, bo i tak boję się, że narobiłem plotek.

- Och nie, panie inżynierze. Teraz rozmawiamy prywatnie, nie do protokołu. Myśli pan, że byłaby zdolna do wzięcia tego młotka do ręki i pójścia na górę do pokoju jubilera?

- Chyba jednak nie. Sprytna jest, nawet cwana, ale umie liczyć. Te kilkanaście tysięcy dolarów, które mogłaby uzyskać za świecidełka, miałyby dla niej wartość tylko w kraju. Zdaje sobie sprawę, że za granicą to zbyt mało, żeby się wygodnie urządzić na stałe. A o wygodę to ona umie dbać. Nie lubi się zbyt przepracowywać. Szukała dobrej posady. Takiej, gdzie pracuje się kilka godzin dziennie, czy nawet kilka dni na miesiąc. W końcu ją znalazła, więc raczej będzie się jej trzymać.

- A emocjonalnie, czy zdolna byłaby do takiego czynu?

- Na pewno. Z zimną krwią rozwaliby cudzą głowę, gdyby to leżało w jej kalkulacji. Właśnie tylko dlatego sędzę, że to nie ona.

- A pani Miedzianowska nie wspominała panu o planach wyjazdu za granicę na stałe?

- Nieraz mówiła mi, jakie to wspaniałe propozycje robią jej, jej amerykańscy przyjaciele. Włochy, Anglia czy Ameryka do wyboru. Ale ja w to nie wierzę. Oczywiście koncern jest na tyle duży, że mógłby ją zatrudnić w każdym z tych krajów, lecz na podrzędnym stanowisku. W Anglii każdy mówi doskonale po angielsku, w Polsce znajomość tego języka jest silnym atutem pani Basi. To zasadnicza różnica.

- A kogo z mieszkańców „Carltonu” zna pan poza tym?

- Cóż, reszta gości pensjonatu, poza panią Rogowiczową, mieszka stałe w Warszawie. Ja tam bywam tylko dorywczo. Niemniej, poza panią profesor, właśnie

tutaj spotykałem się niejednokrotnie ze wszystkimi. Tak się składa, że te same osoby korzystają z urlopu w październiku i spędzają go w górach. Mało ludzi wie, że Tatry mają w październiku cudowną pogodę - ciepło i dużo słońca. Bez przesady mogę powiedzieć, że znam z widzenia wszystkich przyjeżdżających w tym miesiącu do Zakopanego. Kto bowiem raz spróbował tak spędzić swój urlop, zwykle za rok powraca. W ten sposób i w „Carltonie” zebrała się grupka ludzi, a nazywamy siebie „październikowcami”, którzy spotykają się tutaj o tej porze roku.

- Nic więcej nie mógłby pan powiedzieć nam o swoich współtowarzyszach?

- Nic. Spotykamy się wprawdzie zawsze w „Carltonie”, lecz nie łączą mnie z nikim bliższe stosunki. Kiedy spotykam tych ludzi poza Zakopanem, po paru zdaniach nie mamy właściwie o czym mówić. To zupełnie zrozumiałe. Poza wspomnieniami wspólnych urlopów nic nas nie łączy. Ponieważ jednak te nasze spotkania powtarzają się co roku, odbywamy wspólne wycieczki, gramy w karty, bawimy się, czasem nawet idziemy razem „w Polskę”, każdy z nas wie dość dużo o drugim. Wytworzył się między nami pewien, jakby to nazwać, rodzaj „przyjaźni wakacyjnej”, obowiązującej tylko w Zakopanem, a nie mającej odpowiednika na innym gruncie towarzyskim. Toteż wszyscy obecni w pensjonacie wiedzą doskonale, że jestem inżynierem, pracuję we Wrocławiu, a ponadto zajmuję się komponowaniem piosenek. Znają - mój gust, mój charakter, moje upodobania. Natomiast nie orientują się w moich znajomościach, ani w moim trybie życia w mieście nad Odrą. I odwrotnie. Ja również wiem, czym się zajmują obecni pensjonariusze „Carltonu”, jakie mniej więcej mają dochody, jaką cieszą się opinią zawodową lub towarzyską, ale nie znam nawet żadnego z ich warszawskich adresów.

Podporucznik zrezygnował z dalszych pytań.

Podczas gdy Żarski przeglądał i podpisywał protokół, pułkownik poprawił się na krześle i zapytał:

- Jaki telewizor mają w „Carltonie”? Oczywiście, to już nie do protokołu.

- Czechosłowacką „Teslę”. Duży aparat, zakupywany zazwyczaj dla świetlic, z szerokim ekranem, chyba 27 cali. Dawniej musiał być dobry, a teraz całkiem gruchot. Każdy kręci i reguluje, bez względu na to, czy się zna, czy nie. Przy takiej eksploatacji już po trzech latach telewizor nadaje się do wyrzucenia.

- Ja mam starą „Wisłę” - ciągnął dalej pułkownik częstując inżyniera i podporucznika papierosami - małe to, ale jestem z niej zadowolony. A pan inżynier jaką ma markę?

- W ogóle nie mam telewizora. Niepotrzebny kawalerowi.

- Słusznie - roześmiał się pułkownik - kawaler ma inne, znacznie miłsze przyjemności, niż siedzenie wieczorami przed migającym ekranikiem.

Inżynier i podporucznik uśmiechnęli się w odpowiedzi.

- W mojej „Wisła” czasami nawala stabilizator głosu. To chyba najczęstszy powód psucia się tych aparatów. Trzeszczy wtedy i piszczy, aż uszy więdną. Pewnie i tutaj było to samo?

- Aparat w „Carltonie” jest zupełnie roztrajkotany. Musiałem sprawdzić części i dokręcić śrubki. Stabilizator także wysiada.

- Zawsze zazdroszczę ludziom, którzy umieją naprawiać różne drobiazgi. Pod tym względem jestem do niczego. Nawet z korkami przy liczniku nie bardzo dają sobie radę. Kiedy raz zacząłem je naprawiać, z miejsca spaliłem pion do mufy. A telewizor jest dla mnie „czarną magią”. Wiem jedynie, że „Wisła” ma osiem lamp, umiem ją nastawić i wyregulować, gdy miga. Z każdym innym głupstwem muszę wędrować do fachowca. Gorzej, że takiemu panu trzeba płacić tyle, ile zaśpiewa. Pół godziny opowiada, ile to miał roboty, ile części wymienił i jak się przy tym napracował. A ja jestem zmuszony wierzyć każdemu słowu... „Tesla” jest zapewne bardziej skomplikowana? Przecież to dwunastolampowy aparat? Inżynier grzecznie przytaknął.

- Oczywiście, „Tesla” jest większa i ma bardziej skomplikowaną aparaturę. Ale gdy człowiek zorientuje się o co chodzi, to ostatecznie niewielka różnica w naprawie ośmio - czy dwunastolampowego aparatu. Zasada jest przecież ta sama.

- Nie będziemy inżyniera dłużej zatrzymywali. Jest bardzo późno, a reszta pensjonariuszy niecierpliwi się.

Żarski wstał od stołu.

- Macie panowie sprecyzowane podejrzenia?

- To nie takie proste - szybko odpowiedział pułkownik - wydaje mi się, że sprawa wygląda beznadziejnie. Ostatecznie można było wejść i wyjść z „Carltonu”, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Najlepszy dowód z Jackiem Pacyną, o którym przypadkowo dowiedzieliśmy się, że był tego wieczoru w pensjonacie i to w pokoju sąsiadującym z numerem jubilera. Myślę, że ktoś wszedł do „Carltonu” z zamiarem kradzieży. Zauważył młotek i na wszelki wypadek schował go do kieszeni. Na pierwszym piętrze zaglądał kolejno do wszystkich pokoi, próbując, który, z nich jest otwarty. Wszedł do Dobroźlockiego, zobaczył klejnoty na stole, powiedział

jubilerowi jakiś frazes na usprawiedliwienie otwarcia drzwi i opuścił pensjonat. Na dworze było już zupełnie ciemno. Opryszek przystawił więc drabinę do balkonu i czekał na opuszczenie pokoju przez jubilera. Wtedy wybił szybę, wtargnął do środka i dobrał się do szkatułki. Kiedy jednak posłyszał kroki na korytarzu zrozumiał, że to Dobroźlocki powraca. Zaczął się przeto z młotkiem za drzwiami, potem uderzył jubilera, wyskoczył na korytarz i szybko zbiegł na dół. Ryzyko spotkania kogoś było minimalne. Zresztą, kto by go zaczepił? Nie ma zwyczaju pytania spotkanych ludzi w pensjonacie, do kogo idą z wizytą? Wychodząc z biżuterią w kieszeni, złodziej podrzucił młotek na kanapkę w hallu. Nie zdążył jednak odstawić drabiny, bo prawdopodobnie chciał zyskać na czasie i odnieść ją na zwykłe miejsce, to jest pod ścianę „Sokolika”.

- Ciekawa teoria - zgodził się inżynier - logicznie tłumaczy przebieg wypadków. Ale mnie się zdaje, że sprawcy należy szukać wśród tych, którzy dobrze wiedzieli, iż Dobroźlocki posiada niezwykle cenną biżuterię i znali miejsce drabiny, bo... już nieraz posługiwali się nią w drodze na pewien balkon. Gdybym to ja prowadził dochodzenie, sprawdziłbym przede wszystkim ten ślad. Dopóki gorący. Gdy zobaczyłem Dobroźlockiego leżącego na dywanie z rozbitą głową, od razu przemknęło mi przez myśl, że to nie wypadek, lecz zbrodnia. Nie zdziwiło mnie nawet pewne omdlenie. No, ale... obawiam się, że i tak za dużo powiedziałem.

- Proszę nie robić sobie z tego powodu żadnych wyrzutów, panie inżynierze. Nasze myśli biegną zbieżnym torem - odpowiedział pułkownik - właśnie idziemy tym śladem. Bardzo panu dziękujemy za cenne informacje.

Inżynier wstał, lekko uklonił się i wyszedł.

- Co pan powie o tych zeznaniach - zapytał pułkownik.

- Niewiele one nam dają - zawyrokował podporucznik - ciekawe, że obciążył panią Zosię i jej towarzyszy.

- Na pani Miedzianowskiej również nie zostawił suchej nitki.

- Każdy charakteryzując znajomych i to w takiej sytuacji, będzie mówił więcej złego niż dobrego. To zupełnie ludzkie. Niemniej nawet z tej ujemnej charakterystyki wyłaniają się pewne cechy pani Barbary. Jest osobą stanowczą, umiejącą zdobyć sobie pozycję w życiu i walczącą o utrzymanie tej pozycji. Przypuszczam, że pan inżynier jest jednym z odpalonych konkurentów do ręki dobrze zarabiającej urzędniczki amerykańskiego koncernu. Stąd inwektywy posunięte aż do zarzutów szpiegostwa przemysłowego. W każdym razie dowiedzieliśmy się, że pani

Miedzianowska buduje sobie willę na Mokotowie. To kosztowne przedsięwzięcie. Pieniądze mogą jej być potrzebne.

- A komu nie - roześmiał się pułkownik - Panu nie? Bo mnie tak. Mój Boże, milion złotych.

- Ciekawe - zaczął podporucznik - jego...

Młody oficer nie dokończył jednak swojej myśli. Przeciągnął ręką po czole i powiedział usprawiedliwiającym tonem:

- Przyszła mi pewna głupia myśl do głowy. Naprawdę nieważna. Myślę, że i inżynier powiedział nam tylko to, co chciał powiedzieć. Jak pani Zachwyłowicz. Pod tym względem ich zeznania są podobne.

- Każdy z tych ludzi wie, że jest podejrzany. W mniejszym lub większym stopniu. Dlatego też każdy mówi bardzo ostrożnie i możliwie jak najmniej o sobie.

- Inżynier właściwie nie jest podejrzany - zauważył podporucznik. - Siedział na dole w salonie

- I wszyscy słyszeli, że pracował przy naprawie telewizora. Mógłby więc być bardziej rozmowny na temat swoich współmieszkańców. A mówił tylko o dwóch osobach i to o kobietach.

- Ale za to bardzo źle.

- Jednak Miedzianowskiej nie oskarżył wyraźnie.

- Bo zrobił to w stosunku do pani Zachwyłowicz i jej kompanów. Jest zbyt mądry, żeby o ten sam czyn oskarżać aż dwie osoby, które na pewno nie są współniczkami. Ale i tak osiągnął to, a przynajmniej zdawało mu się, że osiągnął - jeżeli przestaniemy podejrzewać panią Zosię, następną na naszej liście będzie Miedzianowska.

- Prawdziwy ping-pong.

- Każdy odrzuca od siebie piłeczkę podejrzania o dokonanie zbrodni. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji chce ją podrzucić komuś innemu. A jednak - zakonkludował pułkownik - uważam zeznania inżyniera za bardzo ważne i sądzę, że w odpowiednim czasie będziemy musieli do nich powrócić.

W tej chwili wszedł sierżant i zameldował, że dwaj poszukiwani: Pacyna i Szaflar, zostali odnalezieni i doprowadzeni już do „Carltonu”. Znajdują się w kabinie telefonicznej. Pilnuje ich jeden z milicjantów.

- Gdzieście ich odnaleźli? - zainteresował się podporucznik.

- Wiadomo, siedzieli u „Jędrusia”. Obiecywali każdemu, kto im postawi jedną

kolejkę, że mu powiedzą taką „bombę”, aż z wrażenia z krzesła spadnie. Amatorów nie brakło, bo teraz, w martwym sezonie, w Zakopanem nic się nie dzieje ciekawego. Nawet GOPR nie ma nic do roboty. Nic więc dziwnego, że tych kolejek było sporo i obaj chłopcy mają dobrze w czubie.

- Dawajcie najpierw Szaflara - zdecydował podporucznik - a ten drugi niech czeka. I niech z nikim nie gada.

- To się rozumie. Kiedy ich zaprowadziłem do kabiny telefonicznej, przedzieliłem chłopaków milicjantem i zapowiedziałem, że będzie źle, jeśli który dziób otworzy. Siedzą tam jak trusie. Szczególnie ten drugi - Jacek Pacyna ma widocznego pietra.

- Dobrze. Przekonamy się o tym później. Na razie przyprowadźcie Szaflara, a Pacynę niech nadal pilnują, żeby nie próbował kontaktu z którymś z mieszkańców pensjonatu.

- Nie ma stracha - odpowiedział sierżant wychodząc z jadalni.

Henryk Szaflar, przewodnik tatrzański, zatrudniony w jednym z domów FWP, przedstawiał okaz dobrze zbudowanego, młodego człowieka. Wąskie spodnie opinały jego muskularne nogi. Szerokie ramiona, żyłaste ręce i duża, dobrze sklepiona klatka piersiowa, zdradzały na pierwszy rzut oka człowieka wytrenowanego w chodzeniu po górach i będącego w doskonałej kondycji fizycznej. Z tą budową ciała kontrastowała jedynie dziwnie mała głowa. Jasnoblond włosy kręciły się bez pomocy fryzjera, a niebieskie oczy patrzyły uważnie.

- Pan porucznik narobił nam wstydu na całe Zakopane. Wyciągać nas z „Jędrusia” pod rozpylaczem, jak jakichś bandziorów? Gdyby pan powiedział lub zatelefonował, że trzeba przyjść, dawno byśmy tu byli.

- Zdaje się, że nie mieliście na to zbytnej ochoty. Kiedy jechaliśmy do „Carltonu”, to widzieliśmy was smarujących w dół ulicy, ile tylko siły w skokach. Musieliśmy przeto wysłać zaproszenie i dać eskortę, aby z drogi znowu ktoś was nie zawrócił. A teraz gadajcie całą prawdę, bo i tak wszystkiego się dowiemy.

- Pan władza dzisiaj nie w humorze, ale trudno, może spotkamy się kiedyś w innym miejscu i w lepszych dla mnie czasach. Powiem prawdę, bo nie mam nic do ukrywania. Co pan chce wiedzieć?

- O której przyszliście pierwszy raz do „Carltonu”?

- Jeżeli liczyć ten za drugi, to pierwszy raz byliśmy o dziewiątej. Może trochę później. Właśnie tego jubilera znaleziono z rozwalonym łbem. Podobno ledwie

dyszał. Czy odwalił kite?

- Nie wasza sprawa. Pytałem, kiedy przedtem byliście?

- Wcale nie byliśmy.

- Który z was przystawiał drabinę? Pewnie ty, bo Pacynę widziano wchodzącego przez ganek.

- Jacek tu był? Teraz wiem, dlaczego czekałem na niego prawie godzinę w „Kmicicu”. A żadnej drabiny nie przystawiałem.

- Kiedy byliście w „Kmicicu”?

- Poszedłem tam prosto z pracy. Byłem na kolacji w swoim domu FWP, jak zawsze. Potem przyjmowałem zapisy na wycieczkę. Jutro idziemy na Czerwone Wierchy, musiałem to ogłosić i przyjąć zapisy oraz pieniądze na bilety za przejazd kolejką. Wyszedłem już po ósmej. Umówiłem się z Jackiem u „Kmicica”, bo razem mieliśmy przyjść tutaj po panią Zosię i iść do „Jędrusia”. Czekałem i czekałem, a on przyszedł dopiero po godzinie i zasunął mi rakieta, że spotkał jakiegoś znajomego, któremu musiał pomagać w znalezieniu kwatery. A tymczasem chciał mnie do wiatru wystawić! Mógł przecież powiedzieć, że nie chce mojego towarzystwa. Wcale bym nie wojował!

- No, nie wiadomo. Kobieta ładna, dobrze ubrana, artystka filmowa.

Przewodnik głośno się roześmiał.

- Dobrze ubrana! Wstyd z nią iść ulicą. Ludzie się oglądają, samochody przystają, nawet konie się śmieją. A co do reszty? Mało to ładnych dziewcząt przyjeżdża co dwa tygodnie do mojego FWP? I nie mają przewrócone w głowie jak ta lala. Ona ma przecież wyraźnego szmergla.

- Nie przesadzajcie.

- Pan porucznik nie wierzy? Kiedyś spotyka mnie na ulicy i mówi, żebym koniecznie przyszedł do niej wieczorem, ale zastrzega, żeby tylko nikt mnie nie zobaczył. Mówię - dobrze, przyjdę i pytam, o której godzinie. Powiada, że po dziesiątej i żebym przystawił drabinę i wszedł do niej przez balkon. Nie bardzo to mi się uśmiechało, ale kiedy powiedziałem, że przyjdę, nie było sposobu się wykręcić. Wybrałem się więc do „Carltonu”. Furtka od ulicy była już zamknięta, ale akurat nawinął się portier Jasio i wpuścił. Powiadam Jasiowi, a znam go dobrze, bo razem chodziliśmy do szkoły, że mam po drabinie włączyć na balkon. Myślałem, że chłop przewróci się na ziemię ze śmiechu. „Myślisz - mówi - że ty jesteś jeden, który po drabinie wędruje? W tym roku u pani Zosi moda na drabiny, niejednemu pomagałem

ją dźwigać”. Wlazłem po tej drabinie na balkon, a później do pokoju, a pani Zosieńka zaczyna ze mną rozmowę o filmie, o jakimś pisarzu, który umarł we Francji, a przedtem mieszkał w „Sokoliku” i chciał ją kiedyś pocałować. Ja słucham, niewiele mnie to obchodzi, a ona gada i gada. Coraz bardziej chce mi się spać, bo zmachałem się w górach, jutro znowu prowadzę wycieczkę, a ona ciągle mówi. Pytam wreszcie, po co mnie zaprosiła i wyjaśniam, że ja jestem chłopak prosty i do takich treli-moreli się nie nadaję. Pożegnałem artystkę, zlazłem z drabiny i poprzysięgłem sobie, że więcej nie dam się nabrać. Niech Jacek sam łązi.

- To dlaczego umówiłeś się z nią i z Jackiem na dancing?

- Wcale mi na tym nie zależało, ale spotkała nas obu i dalej prosić, żeby z nią pójść. Jacek czuje do niej widocznie miętę, bo od razu się zgodził, ale ja nie miałem ochoty. Mówiła, że dobrze się zabawimy, bo będzie miała na sobie coś takiego, na co wszyscy oczy wywałą.

- Tak powiedziała? Kiedy?

- A było to ze dwa dni temu. Dzisiaj zadzwoniła do mnie, przypomniała o dancingu i chwaliła się, że kiedy wejdzie na salę, to inne baby trupem padną.

- Pamiętajcie, Szaflar, że składacie bardzo ważne zeznania - uprzedzał podporucznik. - Jeżeli to nieprawda, źle może być z wami.

- Panie poruczniku, prawdę mówię. Mogę przysiąc w kościele przed głównym ołtarzem. Żeby mnie tak pierwsza lawina złapała, jeśli żelgał.

- No, dobrze, dobrze. Wszystko sprawdzimy. Widział was ktoś w „Kmicicu”?

- Pewnie, że widzieli. Kelnerka Marysia może pierwsza zaświadczyć, że przyszedłem zaraz po ósmej i siedziałem godzinę. Wyszliśmy z Jackiem równo o dziewiątej. Jedna pani z „Carltonu” także mnie tam widziała. Przyszedłem wcześniej, ona w jakieś dziesięć minut po mnie, tylko wypła kawę i zaraz wyszła.

- Jaka pani?

- Nie znam jej nazwiska. Mieszka na drugim piętrze. Podobno pracuje u Amerykanów. Chodzi w brązowym futerku z baranów.

- Pani Barbara Miedzianowska - podporucznik uzupełnił zeznania Szaflara.

- Wydaje mi się, że ten chłopak powiedział prawdę - zauważył pułkownik po wyjściu Szaflara - zgadzam się jednak z panem, że na razie nie można go zwolnić do domu. Niech czeka.

- Ja również jestem zdania, że nie kłamał... Więc jednak pani Zosia?

- Możliwe, że byłaby zdolna posunąć się nawet do zbrodni, aby zdobyć

klejnoty, lecz wtedy, gdyby mogła je nosić i innym imponować. Nie zrobiłaby tego jedynie dla ich wartości pieniężnej. Uwierzę zresztą, że to ona, jeżeli potrafi mi pan wytłumaczyć, w jaki sposób i kiedy postawiła drabinę pod balkonem.

- Tak - zgodził się podporucznik - z tą drabiną i z młotkiem mam największy kłopot. Jedno przeczy drugiemu. Zobaczmy, co powie drugi z wielbicieli gwiazdy.

W przeciwieństwie do przyjaciela Jacek Pacyna nie próbował się „stawiać”. Był bardzo zalekziony, cichy, układny i greczny. Nie przyjął podanego mu papierosa, usiadł na skraj krzesła. Zeznania składał cichym głosem.

- O której przyszlście do „Carltonu”? Mówię o tym pierwszym razie.

Narciarz zmieszał się jeszcze bardziej. Po długim milczeniu z trudem wykrztusił:

- To musiało być jakieś piętnaście minut po ósmej.

- Spotkaliście kogoś wchodząc na pierwsze piętro?

- Nie. Tylko telewizor strasznie wył i zająłem do salonu. Inżynier Żarski coś przy nim kręcił, ale chyba mnie nie zauważył.

- Co robiliście w pokoju pani Zachwytowicz? Jacek był coraz bardziej zmieszany.

- Chciałem ją przekonać - wystękał - żeby nie szła na dansing. Żebyśmy zostali u niej. Nie miałem ochoty iść dzisiaj do „Jędrusia”.

- Tak lubisz rozmawiać o filmie i literaturze? - zakpił podporucznik. - A przecież umawialiście się z Heńkiem Szaflarem, że pójdziecie w trójkę.

- Tak, ale gdyby ona zgodziła się zostać w domu, to Heniek by się nie pogniewał. Heniek to dobry kumpel. Na Zosi mu nie zależy. Ma tych babek z wczasów tyle, że ledwie może się od nich opędzić.

- A na ciebie nie chcą patrzeć - roześmiał się podporucznik.

Pacyna zaczerwienił się.

- Może by i patrzyły, ale pani Zosia bardzo mi się podoba. Taka oryginalna i inteligentna. Nigdy nie wiadomo co powie i co zrobi. Prawdziwa artystka.

- A jak tam twój trening? Podobno trener kazał ci ciężary trenować?

- A tak! - uradował się narciarz - Skąd pan wie?

- Dlatego tak często drabiny dźwigasz? Pułkownik roześmiał się prawie w głos. Mina młodego narciarza była tego godna.

- Kiedy ja... - usiłował się usprawiedliwić, lecz zamilkł w połowie zdania.

- Powiedz, Jacku, a może ty nie wchodziłeś przez ganek, lecz jak zwykle

przystawiłeś drabinę i wlałeś przez balkon?

- Nie. Przyszedłem normalnie drzwiami.

- To dziwne. A wyszedłeś schodami, czy skakałeś z balkonu na taras?

Jacek był czerwony jak burak. Zrozumiał, że podporucznik kpi z niego na całego, lecz nie mógł zrozumieć, iskąd oficer milicji wie o wszystkim.

- No, mówcie, Pacyna - zachęcał Klimczak - cóż to, język kołkiem w gębie wam stanął?

- Zszedłem schodami.

- A teraz, kiedy już widzicie, że my wszystko wiemy, mówcie prawdę. Co się działo w pokoju pani Zosi?

- Namawiałem ją. Chciałem, żebyśmy u niej zostali. Ale ona się rozzłościła i wyrzuciła mnie za drzwi.

- Dlaczego?

- Bo powiedziała, że jej twarz zepsułem. Tusz na powiekach także się rozmazał.

- Pewnie w pokoju było bardzo gorąco - mruknął podporucznik. Milicjant piszący protokół nie wytrzymał i parsknął śmiechem, co do reszty speszyło Pacynę.

- Kiedy rozmazywałeś ten tusz na oczach, słyszałeś, że pan Dobroźlocki jest w swoim pokoju?

- Był. Słyszałem.

- Sam? Z ciebie trzeba tak wyciągać słowa, jak kubek z głębokiej studni.

- Nie sam, bo z kimś się kłócił. A tamten wymyślał mu od Cyganów.

- Cyganów?

- Tak. Cyganów. Krzyczał: „druciarz jesteś, druciarz”. Przecież druciarze, to Cyganie.

- Co jeszcze słyszałeś?

- Nie słuchałem. Byłem zajęty.

- Tym tuszem? Długo się kłócili?

- Nie, niedługo. Tamten poszedł i trzasnął drzwiami, mało co z zawiasów nie wyleciały.

- Poznałeś po głosie, kto to był?

- Nie poznałem.

- Pani Zachwytowicz też ci nie powiedziała?

- Kazała mi iść precz i nie wracać bez Szaflara.

- A wiesz, o której godzinie wyszedłeś?

- Nie patrzyłem na zegarek. Byłem zły na Zosię. Ale musiało być jakieś pięć, najwyżej dziesięć minut po pół do dziewiątej. Z „Carltonu” poszedłem prosto do klubu „Kmicic”, tam czekał Heniek. Na zegarze w szatni była za dziesięć dziewiąta. A z „Carltonu” do „Kmicica” jest najwyżej dziesięć minut drogi.

- Pani Zosia nie kazała ci przystawić drabiny do balkonu?

- Pan porucznik ciągle o tej drabinie. Raz czy dwa razy jej użyłem, a śmiechu za dziesięć razy.

- Dlaczego włąziłeś po drabinie?

- Pani Zosia mówiła, że ten kto kocha, to do najdroższej potrafi nawet w nocy wejść po drabinie. Opowiadała, że robił tak ktoś w Hiszpanii. A może we Francji?

- I nauczyła cię zeskakiwania z balkonu?

- Ee, nie... Ale po co budzić portiera, kiedy tam nie ma dwóch metrów?

- Słuchaj, Jacku, dlaczego pani Zachwytowiczowej tak zależało, aby właśnie dzisiaj iść na dansing do „Jędrusia”? Mówiła ci o tym?

- Tak. Mówiła, że będzie miała na sobie taką broszkę, jakiej nikt jeszcze w Zakopanem nie widział. Jubiler miał jej pożyczyć to świecidełko, aby wypróbowała, czy zwróci uwagę ludzi.

- Kiedy to opowiadała?

- Dwa lub trzy dni temu. Szliśmy razem z Heńkiem i spotkaliśmy ją na ulicy. Później byłem u niej w pokoju i wtedy również wspominała, że cieszy się na włożenie tej broszki.

- Czy dzisiaj mówiła coś na ten temat?

- Ani słowa.

- A może pokazywała ci srebrne pierścionki i broszkę?

- Nie pokazywała, ale coś takiego leżało na toaletce.

- Widziałeś ten młotek?

Jacek Pacyna popatrzył ciekawie na pokazany mu przedmiot i potrząsnął przecząco głową.

- Nie widziałem. Zwykły młotek.

- Przypomnę ci. Leżał w hallu na kanapce.

- Nie widziałem. Szybko przeszedłem przez hall i wbiegłem na schody.

Wracając też się nie rozglądałem.

- Czy spotkałeś kogoś po drodze?

- Na schodach nikogo nie było, ale kiedy wychodziłem od Zosi, to pan Krabe wchodził do pokoju pana Dobroźlockiego.

- Na pewno pan Krabe? Dobrze widziałeś?

- Dobrze, przecież światło paliło się na korytarzu. Kiedy otworzyłem drzwi i wychodziłem od pani Zosi na korytarz, pan Krabe zamykał właśnie te drzwi do pokoju jubilera. Poznałem go, chociaż był odwrócony tyłem.

- Czy znasz mieszkańców „Carltonu”?

- Z widzenia znam wszystkich, ale z nazwiska tylko kilku. Znam pana Żarskiego, bo był i w zeszłym roku i parę razy chodziliśmy z nim w góry. Wiem, że pochodzi z Wrocławia i pracuje w hucie. Znam dobrze redaktora Burskiego, bo nieraz przyjeżdżał jako sprawozdawca na zawody narciarskie. Poza tym co roku bywa w górach i nieraz się spotykaliśmy. Znam pana Dobroźlockiego...

- Skąd?

- W ubiegłym roku pan Dobroźlocki również mieszkał w „Carltonie” i sporo chodził po górach. Poznała nas pani Zosia, a jubiler pytał, czy mógłby się dołączać do wycieczek prowadzonych przez Heńka Szaflara. W ten sposób obaj go znamy. Pani Zachwytowicz jest **iz** nim zaprzyjaźniona. On nieraz powtarza, że lubi ją jak własną córkę. Śmiał się kiedyś, że gdyby była jego prawdziwą córką, wychowałby ją lepiej i nie miałyby tak przewrócone w głowie.

- Czy pani Zosia mówiła wam, czym zajmuje się pan Dobroźlocki?

- On sam opowiadał, że ma pilną pracę i dlatego w tym roku nie może chodzić na wycieczki. Zosia wyjaśniła, że robi na wystawę jakieś rzeczy ze złota i drogich kamieni.

- Czy pani Zachwytowiczowa wspominała wam, ile może być warta ta biżuteria?

- Nie, bo przecież jej nie widziała. Jubiler nie pozwalał przyglądać się jego robocie. Wspominała tylko, że przed paru dniami weszła do pokoju pana Dobroźlockiego i zobaczyła piękną broszkę. Właśnie tę broszkę chciała wziąć ze sobą na dansing.

- Czy pan Dobroźlocki obiecał pożyczyć jej ten klejnot?

- Nie wiem. Wtedy powiedział, że broszka nie jest wykończona i zaraz schował ją do kasetki. Zosia nie wspominała, czy jeszcze później rozmawiała na ten temat z jubilerem. Ale pewnie liczyła na to, że skoro tak ją lubi, to nie odmówi pożyczenia tego świecidełka na zabawę.

- Ładne świecidełko - westchnął pułkownik i zaraz dodał - ja nie mam żadnych pytań.

- Sprawdzimy wasze zeznania - surowo rzekł podporucznik - i jeżeli zgodne są z prawdą, wróćcie do domu, na razie musicie poczekać.

- To kiedy będziemy w domu? Dochodzi dwunasta, a rano do pracy!

- Nieraz później wychodziłeś z tej willi i nie krzywdowałeś siebie.

Jacek Pacyna przezornie zamilkł, podpisał protokół i opuścił jadalnię w towarzystwie milicjanta, który go przyprowadził.

Rozdział IX

- Cholerna sprawa - jęknął podporucznik. - Wyglądało na to, że jeden z nich jest sprawcą napadu. A po przesłuchaniu widzę, że Heńka Szaflara nie można brać pod uwagę. Może Jacek? Sam nie wiem. Może pani Zosia? Okazuje się, że ten Krabe również odwiedził jubilera. Nic już nie rozumiem.

- Dopóki wszystkich nie przesłuchamy, dopóty nie będziemy mieli pełnego obrazu tego, co działo się w „Carltonie” między siódmą trzydzieści a momentem, kiedy pokojówka znalazła Dobroźlockiego z raną w głowie. Najważniejsze zresztą są minuty między 20.45, gdy jubiler skończył telefonować i wrócił na górę, a 20.55, gdy leżał już na podłodze. Przede wszystkim chodzi o te dziesięć minut.

- Jacek miał możliwość przystawienia drabiny. Mógł tą drogą wrócić na balkon i zrabować klejnoty. Wiedział przecież, że w czasie nadawania „Kobry” wczasowicze siedzą przy telewizorze. Wszedł na balkon i czekał na dogodną chwilę. Pokój jubilera akurat był pusty i Jacek sądził, że Dobroźlocki nie wróci na górę. Nie mógł przewidzieć, że złotnik poszedł tylko do kabiny telefonicznej. Wybił szybę, wszedł do środka i, zaskoczony krokami powracającego jubilera, złapał młotek.

- A co potem?

- Zrabował biżuterię i tą samą drogą uciekł z willi. Pobiegł do „Jędrusia”, a trzeba pamiętać, że ten chłopak jest doskonałym biegaczem, więc droga zajęła mu niepełne pięć minut. Mógł więc przyjść do klubu w czasie, o którym mówił Szaflar. Razem wrócili do „Carltonu”. Przechodząc przez hall, Jacek podrzucił na kanapkę zabrany stamtąd młotek. Zrobił to dlatego, aby podejrzenie padło na któregoś z mieszkańców „Carltonu”. W ten sposób mamy rozwiązanie sprawy drabiny i sprawy młotka, rzeczy się wykluczających.

- To ciekawa koncepcja - przyznał pułkownik - i prawdopodobna. Chociaż

przypuszczam, że powzięcie takiego chytrego i skomplikowanego pomysłu przekracza poziom inteligencji tego chłopca. Nie sądzę, aby pani Zosia zdołała go tak podciągnąć intelektualnie w czasie tych nocnych rozmów. W całym rozumowaniu porucznika jest jednak jeden słaby punkt.

- Jaki?

- Pani Zofia Zachwytowicz przyznała się, nazwijmy to delikatnie, do pożyczenia szala z pustego pokoju państwa Zagrodzkich. Zrobiła to po wyjściu od niej Jacka i po poprawieniu swojej fryzury, czy też malunku, zniszczonego wskutek argumentów Pacyny, że powinni zostać w domu. Musiała więc przechodzić balkonem w czasie, gdy Jacek zaczajony czekał na wyjście jubilera z pokoju lub uciekał z pensjonatu już po zrabowaniu klejnotów. Tymczasem pani Zosia twierdzi kategorycznie, że drabiny przy balkonie nie było.

- Zachwytowiczowa była w zмовie z Jackiem.

- Powtarzam, że nie wydaje mi się to prawdopodobne. Zosia może ukradłaby nawet klejnoty, aby włożyć je na dansing i na drugi dzień zwrócić, podobnie jak szal, ale nie kazałaby Jackowi włamywać się do cudzego pokoju. To nie pasuje do jej charakteru. Poza tym uważam, że zbrodnię popełnił człowiek, który nie miał współników. Nie mogę tego jeszcze udowodnić, ale mój nos mi to mówi. Gdyby jubiler miał na przykład sto lub dwieście tysięcy złotych w gotówce, uwierzyłbym, że gwizdnął je ten narciarz. Ale biżuteria? Co z nią robi? Komu sprzedaje?

- Niech pan nie zapomina, pułkowniku, że rokrocznie Jacek Pacyna wyjeżdża w sezonie zimowym za granicę, do Austrii, Włoch lub Francji. Sportowcy, jak to wykazują protokoły straży celnej, mają znacznie większe zdolności handlowe, niż nasi specje z Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Doskonale wiedzą, co gdzie sprzedać i co przywieźć. W każdym kraju posiadają kontakty handlowe.

Pułkownik machnął ręką.

- To są transakcje z małymi płótkami przemytu i nie przekraczające kilkudziesięciu lub kilkuset dolarów. Tu chodzi jednak o kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Za duży interes dla sportowca i dla jego współpracowników. Mogę się wprawdzie mylić i trzeba z całą dokładnością zbadać ten ślad, niemniej odnoszę wrażenie, że pies jest pogrzebany gdzie indziej. A teraz kogo zaprosi pan na rozmowę?

- Literata. Pana Krabego. Jacek poważnie go obciążył swoimi zeznaniami. Zobaczymy, co nam powie następny podejrzany.

Jerzy Krabe zeznawał spokojnie, mówił wolno, widać było, że waży każde słowo i stara się nie powiedzieć zbyt wiele.

Tak. Zaraz po kolacji poszedł do swojego pokoju. Dlaczego? Rozmowa przy stole nie wydawała mu się interesująca. Codziennie to samo. Czy iść na wódkę do „Jędrusia” albo do innej knajpy, czy oglądać program telewizyjny. W swoim pokoju pan Krabe ma kilka ciekawych książek. Uznał przeto, że nie ma sensu odsiadywanie kolacji i udał się na pierwsze piętro. Zawsze zresztą tak robi. Owszem, wiedział, że pan Dobrozłocki pracuje, ale nie zdawał sobie sprawy, że wykonywana przez niego biżuteria przedstawia milionową wartość. Jubilera znał od dawna. Stykał się z nim jeszcze w Woldenbergu, gdzie przez cały okres wojny tkwił w oflagu. Później nieraz spotykali się na gruncie zawodowym i towarzyskim. Razem należeli do „Związku Twórców”. Obydwaj też mieli izwyczaj spędzania września lub października w górach. Kiedyś leczyli się jednocześnie w Krynicy, a także byli na urlopie w tym samym czasie w Zakopanem. O przyjaźni między panami nie można mówić. Nie byli ze sobą na „ty”. Była to raczej dobra, stara znajomość, przeradzająca się w pewną zażyłość i oparta na wzajemnym szacunku. Pan Krabe nie wychodził ze swojego pokoju aż do chwili, gdy usłyszał, że telewizor działa i za parę minut zacznie się „Kobra”.

- Czy to wszystko, co pan ma do powiedzenia?

- Tak - przytaknął literat.

- Posiada pan niezmiernie cenną zaletę, że zeznaje pan treściwie, lecz wadą tych zeznań jest ich nieprawdziwość.

- Pan porucznik zarzuca mi kłamstwo?! - zachnął się przesłuchiwany.

- Czy rzeczywiście nikt pana nie odwiedzał w pokoju między kolacją a zejściem na parter? - zapytał podporucznik. - Uprzedzam, że za fałszywe zeznania grozi surowa kara.

Krabe milczał.

- Pan jest bardzo rycerski - zabrał głos pułkownik - ale pani Rogowiczowa mówiła nam już o swojej wizycie w pańskim pokoju. Potwierdzenie tego faktu przez pana nie obciążą pani profesor, przeciwnie, pomoże nam ustalić, że ta kobieta nie ma nic wspólnego z napadem. Domyślam się, że przemilczał pan te odwiedziny tylko dlatego, aby nie rzucić żadnego podejrzenia na dawną znajomą.

Krabe odetchnął z ulgą.

- Przyznam się szczerze, że nie chciałem o tym mówić właśnie z obawy przed

wmieszaniem Marii w całą tę historię. Któż bowiem zna drogi zaślepionej macierzyńskiej miłości? Nie byłem pewien, czy dla ratowania skóry swojego gagatka nie była zdolna wziąć młotka i pójść z nim do pokoju jubilera. Fałszywie pojęte uczucie może doprowadzić matkę nawet do zbrodni.

- Ustalmy więc kolejność zdarzeń. Kiedy przyszła do pana Rogowiczowa?

- Mniej więcej pół godziny po moim powrocie z kolacji.

- Przedtem nikt do pana nie wstępował?

- Nie.

- Jak długo pani profesor zabawiła w pana pokoju?

- Gdy wychodziła, była punktualnie 20.45. Spojrzałem wtedy na zegarek, aby zorientować się, ile czasu pozostało do rozpoczęcia „Kobry”.

- Czy może pan powiedzieć, o czym rozmawialiście z Rogowiczowa?

- Przyszła do mnie z prośbą o ratunek. Potrzebuje pieniędzy. Była zdenerwowana i płakała. Przyczyną zmartwienia jest jej syn, zresztą panowie znają już jego historię z wypadkiem samochodowym. Nie poczuwam się wprawdzie do żadnej winy wobec Rogowiczowej, ani nie mam też żadnych zobowiązań, ale ze względu na starą znajomość chciałem pomóc. Uspokajałem ją i obiecałem zająć się jej sprawami. Mam trochę gotówki w PKO i możliwość zaciągnięcia pożyczki. Przypuszczam, że dzięki tym pieniądzom i sumie, jaką Maria rozporządza, uda się wyciągnąć z tarapatów tego obiecującego młodzieńca. Sądzę jednak, że w przyszłości przysporzy on matce sporo kłopotów.

- Ozy w tym czasie, kiedy pani Rogowiczowa znajdowała się w pańskim pokoju, słyszał pan odgłosy z numeru zajmowanego przez jubilera?

- Mój pokój nie sąsiaduje z mieszkaniem pana Dobroźlockiego i nic nie słyszałem.

- A za ścianą? U pani Zosi?

- Ktoś u niej był, lecz nie przysłuchiwałem się.

- A na balkonie?

- Na balkonie ktoś chodził. Pamiętam dobrze, bo Maria przestraszyła się, że ten ktoś może nas podpatrzeć i rozpuścić Bóg wie jakie plotki. Była przecież zapłakana.

- Czy te kroki słyszał pan pod koniec wizyty pani profesor?

- W jakieś dwie czy trzy minuty potem Maria powróciła na dół.

- Nie opuszczał pan pokoju po jej wyjściu?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Coś nam się znowu nie zgadza. Mamy w aktach pewne zeznania, stwierdzające, że poszedł pan do pokoju jubilera.

Literat nie stracił spokoju.

- To nie było po wyjściu Rogowiczowej. Wyszedłem w czasie jej obecności u mnie.

- Dlaczego?

- Znam Dobrozłockiego od wielu lat. Wiem, że to mądry, doświadczony człowiek i mający wiele różnych znajomości. Ponieważ znam go także z jego uczynności, zaproponowałem Marii zaproszenie złotnika na naszą naradę. Pani Rogowiczowa początkowo gwałtownie oponowała, przekonałem ją jednak, że na dyskrecji jubilera można polegać i udałem się do jego pokoju.

- Czy widział pan kogoś na korytarzu lub na schodach?

- Nie. Nikogo nie zauważyłem.

- Dlaczego przemilczał pan fakt swojej wizyty u jubilera?

- Po prostu dlatego, że tej wizyty właściwie nie było. Zapukałem i wszedłem do pana Dobrozłockiego, a ponieważ nie był sam, powiedziałem „przepraszam” i zawróciłem.

- Kto był u jubilera?

- Pan redaktor Burski. Siedzieli i rozmawiali, omawiali widocznie ważne sprawy, bo pan Dobrozłocki nawet nie próbował mnie zatrzymać. Zapewniłem więc Marię, że porozmawiam iz jubilerem następnego dnia lub jeszcze po dzisiejszej „Kobrze”. Pani Rogowiczowa nieco się uspokoiła, upudrowała twarz i wyszła.

- Pan dawno zna panią Rogowiczowa?

- Jeszcze sprzed wojny. Maria chyba wspominała o tym w swoich zeznaniach, jeśli zdecydowała się ujawnić, w jakiej sprawie przyszła do mnie.

- Tak, wspominała - potwierdził podporucznik - niemniej chcielibyśmy usłyszeć to i z ust pana.

- Stare dzieje. Taka jeszcze szczeniacka miłość. Wszystko skończyło się z chwilą powołania mnie do wojska. Siedząc w oflagu początkowo byłem bardzo rozżalony na nią, że nie dochowała mi wierności, tylko od razu, w ciągu pierwszego roku rozłąki, wyszła za mąż. Bolała mnie i zdrażnięta ambicja, bo ten, którego Maria

wybrała, był człowiekiem starszym, schorowanym, wdowcem. Aptekarz z prowincjonalnego miasteczka. Ale czas goi takie rany. Teraz zapatruję się na to zupełnie inaczej. Maria właściwie nie miała innego wyjścia. Życie w czasie okupacji było bardzo trudne. Cóż miała robić młoda dziewczyna, sama jedna? Wychowana dotychczas we względnym dobrobycie, kiedy nagle cały jej świat rozpadł się jak przysłowiowy domek z kart?

- Znam jednak takie - zauważył pułkownik - które i w tej trudnej sytuacji umiały dotrzymać danego słowa.

Pan Krabe uśmiechnął się smutno.

- Na pewno były, ale nie Maria. Ona nigdy nie odznaczała się silną wolą. Trudno mi ją potępić, bo nie wiem jakbym postąpił w jej warunkach. Nam, chociaż zamkniętym, niejednokrotnie było dużo lżej.

- Kiedy pan wrócił do kraju?

- Dopiero w 1951 roku. Z Anglii. Już z żoną. Ożeniłem się zaraz po wojnie, jeszcze w Belgii, z Polką, która trafiła tam po powstaniu warszawskim. Oczywiście wiedziałem, co się dzieje z moją byłą narzeczoną. Od czasu do czasu pisywaliśmy do siebie. Zwykle, konwencjonalne listy z pozdrowieniami i paroma osobistymi informacjami. Znajac Marię, byłem nawet zaskoczony jej studiami wyższymi. To musiał być wpływ, czy nawet stanowczy nakaz męża. W przeciwnym wypadku pani Rogowiczowa nigdy by się na to nie zdobyła. Była, jak to się mówi, „za miękka” do takiego długotrwałego wysiłku. Właściwie poznała życie dopiero po śmierci aptekarza, kiedy została sama z dwojgiem małych dzieci.

- To ją jednak zahartowało. Zrobiła karierę naukową.

- Tego właśnie nigdy bym się po niej nie spodziewał. Ale tutaj weszła w grę inna siła, która ją zmusiła do takiego kroku.

U Jedna noc w „Carltonie”

- Jaka?

- Jej wprost zwierzęca miłość do dzieci. To nie dla swoich ambicji, zamiłowań naukowych, czy chęci zrobienia kariery Maria poszła na drogę naukową i została w końcu profesorem Akademii Medycznej. Jedyńm motorem jej postępowania była miłość macierzyńska i chęć zabezpieczenia dzieciom jak najlepszych warunków materialnych i tak zwanej „pozycji społecznej”. Muszą bowiem panowie wiedzieć, że Maria pochodzi ze środowiska, w którym przed wojną małżeństwo z jakimś tam aptekarzem uchodziłoby za mezalians i degradację społeczną. Toteż Maria przy

swoim wychowaniu i mentalności nie mogła dopuścić, żeby jej dzieci były zwykłymi „aptekarczykami”. Syn pani profesor, to zupełnie inaczej brzmi.

- Nie przypuszczałem - zauważył podporucznik - że w dzisiejszych czasach są jeszcze ludzie, którzy na to zwracają uwagę.

- A jednak są - przytaknął pułkownik.

- Czy po powrocie do kraju kontaktował się pan z panią Rogowiczową?

- Tylko sporadycznie. Przez cały ten czas, nie wiem, czy spotkaliśmy się z pięć razy.

- Pani Rogowiczową jest wdową?

- Tak. Rogowicz to nazwisko jej męża. Tego właśnie aptekarza. Nawet się początkowo dziwiłem, że młoda i niebrzydka kobieta nie wyszła po raz drugi za mąż. Kandydatów, przypuszczam, nie brakło. Może i dzisiaj znaleźliby się. Ale Maria należy do tych kobiet, które żyją tylko dla dzieci. A niestety, chociaż sama jest profesorem, we własnym domu nie błysnęła talentem pedagogicznym. Zwłaszcza, jeśli chodzi o wychowanie syna.

- Wie pan coś o tym?

- Niestety wiem. Młody człowiek już od dzieciństwa uważany był za ósmy cud świata. Najzdolniejsze i najwspanialsze dziecko na kuli ziemskiej. Nic dziwnego, że bardzo wczesnie przewróciło mu się w głowie. Nawet przez maturę nie udało go się przepchać. Parę razy uciekał z domu, doszczętnie okradając matkę. Oczywiście, Marią to wszystko Skrzętnie tuszowała. Wylano go coś ze czterech szkół. W wojsku też zbyt długo miejsca nie zagrzał. Rzekomo na urlopie zachorował i trzeba było robić jakąś operację. Więc go zwolniono ze względów zdrowotnych. Czuję w tym rękę kochającej mamusi; która nie mogła patrzeć, jak się synek męczy. Ostatecznie dla profesora Akademii Medycznej uzyskanie świadectwa niezdolności do pracy nie jest niemożliwością, a nie ma na świecie rzeczy, której by pani Rogowiczowa nie zrobiła dla swojego dziecka.

- Nawet uderzenie młotkiem w cudzą głowę? - szybko zapytał podporucznik.

- Pan mnie chwyta za słówka.

- Stawiam tylko pytanie.

- Gdyby nie miała innego ratunku, ta szalona kobieta mogłaby się zdobyć nawet i na taki tragiczny krok. Ale tego nie zrobiła.

- To pana przekonanie?

- Nie. Pewność. Nie zrobiła przede wszystkim dlatego, że zwróciła się do

mnie i oboje ustaliliśmy, jakie kroki należy przedsięwziąć dla wyciągnięcia jej synalka z tarapatów. A więc nie miała powodu. Poza tym nie miała możliwości, była u mnie i zeszła na dół w czasie, kiedy Dobroźłocki cały i zdrowy przebywał w swoim pokoju.

- Mogła wrócić jeszcze raz.

- Po drabinie? - ironicznie zauważył pan Krabe. Podporucznik zamilkł. Ta nieszczęsna drabina stale wypływała w prawie każdym przesłuchaniu i zawsze stawała się przysłowiową deską ratunku dla wszystkich podejrzanych.

- A córka pani Rogowiczowej - pułkownik zvekslował rozmowę na bardziej bezpieczne tory.

- Nie była nigdy takim oczkiem w głowie, jak syn, więc też są z nią dużo mniejsze kłopoty. Przynajmniej uczy się dobrze.

- Redaktora Burskiego zna pan od dawna?

- Od kilku lat. Utrzymujemy stosunki towarzyskie. Ale niezbyt bliskie.

Odwiedziny z okazji imienin i raz lub dwa razy w roku, proszony brydż.

- To podobno bardzo zdolny dziennikarz?

- A jeszcze bardziej zarozumiały - odpowiedział pan Krabe. Zwłaszcza po ostatnich sukcesach jego książki.

- Niezły kryminał - zauważył pułkownik.

- Nie ma w nim nic nadzwyczajnego. Po prostu zręcznie napisana historyjka. Burski tyle lat był reporterem sądowym, że na pewno z różnych prawdziwych zdarzeń powycinał najrozmaitsze fakty i skleił je w jedną całość. Nie wiadomo, ile w tej książce jest pióra i atramentu, a ile kleju i nożyczek.

- Ale powieść zdobyła duży rozgłos.

- Powieść kryminalna to w ogóle żerowanie na najniższych gustach pospółstwa. Nie zazdrozczę panu Burskiemu takiej sławy.

- Ciekaw jestem, czy książka będzie przetłumaczona na inne języki?

- Burski aż ze skóry wychodzi, tak się o to stara. Ale wątpię. Na Zachodzie taka powieść to żadna rewelacja. Tam wydawnictwa mają swoich stałych autorów, już wprowadzonych na rynek i nie myślą ryzykować z debiutantem. Co innego, gdyby Burski miał pieniądze i mógł ponieść ryzyko finansowe wydania swej powieści.

- A ile na to potrzeba pieniędzy?

- Najłatwiej byłoby w Niemczech Zachodnich, bo ich literatura sensacyjna

opiera się prawie wyłącznie na tłumaczeniach obcych. W każdym razie wydanie takiej książki wymaga co najmniej około 20 000 marek. Jeżeli nie grubo więcej. Oczywiście, gdyby „chwyciło”, zyski są dużo większe. Znam się na tym, bo sam pracuję w wydawnictwie.

- Redaktorowi Burskiemu powodzi się chyba nieźle?

- Tak. Ale to, co ma, nie zadowala jego ambicji. Mniej mu chodzi o pieniądze, bardziej o rozgłos wielkiego pisarza. Powtarzam, że jest bardzo ambitny, a nawet zarozumiały.

- Co pan robił po wyjściu pani Marii z pokoju?

- Usiłowałem czytać, lecz nie mogłem się skupić. Nic dziwnego, przyznaję, że zdenerwowałem się tymi odwiedzinami. Żał mi było Marii, a jednocześnie byłem na nią zły, że pozwoliła synalkowi tak brykać i dopuściła do powstania tego rodzaju sytuacji. Gdyby miała nieco twardszą rękę i nie rozpieszczała „biednej sierotki”, miałyby dzisiaj lepsze życie. Rzuciłem książkę i spacerowałem po pokoju.

- Gzy w tym czasie słyszał pan kroki na balkonie?

- Nie, nie słyszałem. Pamiętam, że uchyliłem portiery i wyjrzałem przez oszklone drzwi, lecz nikogo nie dostrzegłem.

- Nie zauważył pan drabiny opartej o balkon?

- Nie.

- Czy dlatego, że było ciemno?

- Balkon był dobrze oświetlony, zwłaszcza w naszej części. Na ulicy, tuż koło balkonu, znajduje się lampa jarzeniowa. Poza tym w trzech pokojach, moim, pani Zosi i pana Dobroźlockiego, paliło się światło. Blask z oszklonych drzwi padał na balkon i było tam zupełnie jasno. W tych warunkach musiałbym zauważyć drabinę. Tym bardziej, że nieraz ją widywałem w tym miejscu.

- Widzę, że o romantycznej drodze do pewnego pokoju - uśmiechnął się podporucznik - wszyscy w „Carltonie” doskonale wiedzą.

- Bo też właścicielce tego pokoju wcale nie zależy na zachowaniu tajemnicy. Przeciwnie, chwali się, że do niej, jak do szekspirowskiej Julii, wielbiciele nawet tą drogą usiłują się dostać. Dla zwrócenia na siebie uwagi ta dziewczyna, nie zawahałaby się, jak druga lady Godiva, przejechać nago na koniu przez całe Zakopane. Cóż, film potrzebuje widocznie reklamy.

- Twierdzi pan z całą stanowczością, że w momencie wyglądania na balkon drabiny tam nie było?

- Z całą pewnością.
- Która mogła być wówczas godzina?
- Nie spoglądałem na zegarek, ale ponieważ Maria wyszła ode mnie kwadrans przed dziewiątą, mogło być najwyżej pięć minut później.

- Czy po wołaniu inżyniera, że telewizor już zreperowany, od razu wyszedł pan z pokoju?

- Umyłem ręce i wyszedłem.

- I wszystkich zastał pan w salonie?

- Po mnie przyszła jeszcze pani Zosia i pani Miedzianowska.

- Czy widział pan ten młotek?

- Tak. O ile się nie mylę, pani Zachwytowicz położyła go na kanapce w hallu, gdy całe towarzystwo wróciło z wycieczki. Nie byłem z nimi w górach i tego nie widziałem, ale pamiętam, że pani Zosia wspominała przy obiedzie o leżącym na kanapie młotku.

- Widział go pan, czy tylko o nim słyszał?

- Widziałem idąc na kolację i wracając do siebie po wieczornym posiłku.

- A schodząc na parter na „Kobry”?

- Nie przypominam sobie. Chyba leżał, ale nie jestem tego pewny.

- Dziękujemy panu. Proszę podpisać protokół.

- Chciałem jeszcze dodać - z własnej inicjatywy powiedział pan Krabe - że po zejściu do salonu zauważyłem brak papierosów. Wróciłem przeto do pokoju i wziąłem paczkę „Waweli”, zapalki i tak zaopatrzony powróciłem na program telewizyjny. Wtedy wszyscy już byli w salonie. Wczasowicze, kierownik ze swoimi synkami, pokojówka i portier.

- Wracając na górę i ponownie schodząc, nie zauważył pan niczego podejrzanego i nikogo pan nie spotkał?

- Wchodząc spotkałem kierownika i widziałem, że z drugiego piętra schodzi pani Miedzianowska. W drodze powrotnej nie dostrzegłem niczego nadzwyczajnego i nikogo nie widziałem.

Kiedy Krabe dopełnił swoim podpisem formalności przesłuchania i wyszedł, pułkownik zwrócił się do podporucznika:

- Te zeznania obalają pańską koncepcję, że przestępcą może być Jacek Pacyna. Musiałby czaić się na balkonie już wtedy, gdy Krabe wyglądał przez szybę. Gdyby nawet nie zauważył narciarza, musiałby zobaczyć drabinę.

- A niech to...! Każde następne przesłuchanie, gmatwa coraz bardziej tę przeklętą sprawę! Przecież przestępca miał bardzo mało czasu na ukrycie biżuterii. Znalezlibyśmy ją, gdyby napastnikiem był jeden z wczasowiczów. Nie mógł jej wynieść z „Carltonu”, jak nie wyniósł młotka.

- Młotek mógł wyrzucić - obstawał przy swoim pułkownik - podobnie jak wyrzucił kasetkę. Jeżeli tego nie zrobił, miał w tym jakiś plan. Ale jaki? Rozwiązanie zagadki - młotek i drabina - wskaże nam zbrodniarza.

- Po co Krabe przyznał się, że wracał po papierosy? Nikt go o to nie pytał i nigdy nie dowiedzielibyśmy się o tym. A może wracając wziął młotek, trzasnął jubilera, zabrał brylanty, a potem spokojnie powrócił do salonu, aby popatrzeć na „Kobrę”?

- Gdyby tak zrobił - zabrakłoby mu czasu na ukrycie biżuterii. Jego nieobecność w salonie trwała krótko. Najlepszy tego dowód, że nikt jej nie zauważył. Ktoś wprawdzie wspominał w swoich zeznaniach, że literat wchodził na górę po papierosy, ale umieszcza ten fakt o wiele później, po wykryciu przestępstwa, wtedy gdy wszyscy, prócz kierownika i Rogowiczowej, powrócili do salonu i czekali na przyjazd pogotowia i milicji. A poza tym drabina? Krabe nie miał możliwości przystawienia jej do balkonu, bo nie opuszczał willi.

- W czasie każdego przesłuchania - westchnął podporucznik - wydaje mi się, że wiem, kto jest przestępcą. Tymczasem zeznania następnej osoby obalają te poszlaki i wskazują inny trop - po to tylko, aby i ten okazał się fałszywy po kolejnym przesłuchaniu. I tak w kółko.

- Znane są w matematyce - zauważył pułkownik - zadania dające wiele rzekomo prawdziwych rozwiązań. Są to jednak tylko pozory, bo prawdziwe rozwiązanie jest jedno. Spotykamy się w tej sprawie z podobnym zjawiskiem. Rozwiązanie jest jedno. Później wyda się ono nam bardzo proste i łatwe. Na razie błądzimy po fałszywych śladach. W tej chwili wiemy, że dwadzieścia minut przed wypadkiem redaktor Burski był w pokoju jubilera. Nie pozostaje nam nic innego, jak posłuchać jego opowieści. Może ona dorzuci jakąś ważną cegielkę do rozwiązania zagadki!

Podporucznik polecił sprowadzić do jadalni redaktora Andrzeja Burskiego.

Rozdział X

W przeciwieństwie do większości przesłuchiwanym Andrzej Burski pragnął

podkreślić swoim zachowaniem, że kontakty z milicją są dla niego sprawą powszednią, a takie przesłuchanie nosi charakter rozmowy towarzyskiej. Toteż z wielką pewnością siebie zajął miejsce naprzeciwko podporucznika, założył nogę na nogę i rozejrzał się wokoło.

- Jakże się cieszę - powiedział - że nareszcie mam okazję poznać osobiście podporucznika Komendy Głównej MO, słynnego pułkownika Edwarda Lasotę. Wiele o panu słyszałem od naszego wspólnego przyjaciela, pułkownika Włochowicza. Również generał wspominał pana w słowach niezmiernie pozytywnych.

Pułkownik bez słowa lekko kiwnął głową.

- No, a jak panom idzie? Macie już jakieś ślady? Przyznam się, że dla mnie, dziennikarza, jest to szczęśliwy zbieg okoliczności, znaleźć się w samym środku tak poważnej sprawy. Niektórzy moi koledzy dużo by dali, aby być na moim miejscu. Zgodzi się porucznik, że nie udzieliliby pan żadnej informacji dziennikarzowi, poza krótką informacją o napadzie i zaginięciu cennej biżuterii? Tymczasem ja siedzę z panami i razem głowimy się nad rozwiązaniem tej zagadki. To niesłychana gratka. Czuję, że moje sprawozdanie będzie bestsellerem o światowym zasięgu. Może nawet następną powieść osnuję na tle tych wydarzeń? Oczywiście ubarwię ją odpowiednio, bo rzeczywistość jest zwykle zbyt prosta i łatwa do odgadnięcia. Natomiast w rasowym „kryminale” czytelnik musi się nagłowić od pierwszej kartki aż do ostatniego rozdziału nad znalezieniem sprawcy, aby w końcu stwierdzić, że wszystkie jego dociekania były błędne, bo rozwiązanie jest inne. Kogo podejrzewacie?

- Właściwie - zauważył podporucznik - zaprosiliśmy pana tutaj nie po to, aby odpowiadać na jego pytania, lecz aby usłyszeć odpowiedź na kilka naszych pytań.

Burski machnął lekceważąco ręką.

- Niestety, nic nie wiem, mam za to kilka ciekawych koncepcji. Zgadza się chyba, że piękna Zosieńka maczała w tym swoje paluszki?

- Tak pan mniema?

- Jakże mogło być inaczej? Mieszka tuż obok. Doskonale orientuje się w zwyczajach jubilera. Była z nim bardzo zaprzyjaźniona, a on miał do niej wiele sentymentu. Ona zresztą interesuje się każdym i musi wiedzieć, kto co robi i z kim robi. Podpatrywanie innych jest, obok niewybrednych flirtów i chęci imponowania otoczeniu, jej głównym zajęciem.

- Widzę, że pani Zachwytowicz nie cieszy się pana uznaniem?

- Co mnie obchodzi taka... artystka?

- Ale dlaczego pan twierdzi, że to ona zrabowała klejnoty?

- Któż inny mógłby to zrobić?

- Na przykład pan. Był pan bodaj ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiał jubiler przed napadem.

Burski nagle zaniemówił. Chwilę pokonywał zmieszanie, aby roześmiać się nieszczerze.

- Panowie są w żartobliwym nastroju.

- Przeciwnie, mówię poważnie. Jest pan jednym z podejrzanych i to bardzo poważnie podejrzanych.

- Nonsens - dziennikarz wzruszył ramionami.

- O godzinie 20.40 był pan w pokoju jubilera. Po panu nikt już nie widział Dobrozłockiego, aż do chwili znalezienia go z rozbitą głową.

- Nikt go nie widział? Przecież pan Dobrozłocki wyszedł z pokoju razem ze mną i zszedł na dół. Mówił, że idzie zatelefonować i przypomnieć Rózi o przyniesieniu szklanki herbaty do lekarstwa. Zapytajcie pokojówki, musi to potwierdzić.

- Co z tego, że potwierdzi? Pan wiedział, że jubiler opuszcza swój pokój tylko na chwilę. Mógł się pan na niego zacząć i czekać z młotkiem na jego powrót.

- Poszedłem na górę - na czole dziennikarza wystąpiły krople potu - do swojego pokoju. Widziała to pani Miedzianowska, bo właśnie wychodziła od siebie i szła na dół.

- A kto nam zaręczy, że po pół minucie nie zszedł pan piętro niżej? Może właśnie wtedy decydował się pan na morderstwo i może wrócił pan na górę po młotek?

- Przecież młotek leżał na dole. W hallu, na kanapce. Wszyscy go tam widzieli.

- Skąd pan wie, że właśnie tym młotkiem popełniono zbrodnię?

- Spędziłem tyle czasu w salonie w oczekiwaniu swojej kolejki, że coś niecoś przeniknęło do mojej świadomości. Kierownik mówił, że milicja znalazła młotek ze śladami krwi. Później pani Zosia wstąpiła po płaszcz i szal i mówiła, jak to wypytywano ją o ten młotek i gdyby przypuszczała, że tak się stanie, nie podniosłaby go ze schodów.

- Po co pan poszedł do jubilera?

- Jako mediator. Ten wariat, mówię naturalnie o naszym malarzu Ziemaku, nie

miał nic lepszego do roboty, jak pójść do Dobroźlockiego i nawymyślać mu od ostatnich. Tak krzyczał, że słyszałem na drugim piętrze.

- O co im poszło?

- Właściwie o nic. Pan Ziemak reprezentuje skrajnie nowoczesne poglądy na sztukę. Usiłuje też narzucić je otoczeniu. Biżuteria oparta na starych wzorach lub po prostu na wzorach użytkowych naszego wieku, nie mogła się malarzowi podobać. Już po obiedzie mówił do mnie, że nie rozumie, dlaczego Dobroźlocki zajmuje się takimi rzeczami, skoro ma sposobność zrobić z tego złota i brylantów coś, czego nikt jeszcze nie widział. Prawdziwe okazy „prawdziwej sztuki”. Znając manię pana Ziemaka nie podejmowałem z nim dyskusji, lecz jedynie milcząco przytaknąłem. Malarz nie pozbył się jednak obrazoburczych myśli i po kolacji pobiegł do jubilerza. Powiedział mu, że należy wziąć młotek i połamać te wszystkie świństwa, a zamiast nich zrobić coś naprawdę godnego drugiej połowy XX wieku. Gdy jubiler usiłował przeciwstawić się tym projektom, Ziemak wpadł w pasję i zwymyślał Dobroźlockiego.

- Jedyłą przyczyną tej kłótni były więc sprzeczne poglądy na sztukę?

- Tak jest. Po awanturze Ziemak owi, jak to się mówi, ulżyło. Wrócił do pokoju, lecz wkrótce zaczął żałować swojego zachowania. W gruncie rzeczy to dobry chłop, chociaż postrzeleniec. Przyszedł do mnie, abym wyciągnął go z tej kabały. Radziłem mu pójść raz jeszcze do Dobroźlockiego i przeprosić go, ale malarz wstydział się i jako posła mnie wysłał.

- A co na to jubiler?

- Wcale się nie gniewał. On przecież dobrze zna malarza. Przyznał, że rzadko kiedy tak szczerze się ubawił, gdy Ziemak z okrzykiem „druciarz, zwykły druciarz jesteś” trzasnął drzwiami. To rzeczywiście musiało kapitalnie wyglądać.

- A czy będąc w pokoju jubilerza zauważył pan ten młotek? Może Ziemak idąc do Dobroźlockiego naprawdę wziął ze sobą młotek, aby potłuc biżuterię?

- Nie widziałem. Zresztą Ziemak na pewno nie brał młotka ze sobą, nie jest przecież tak naiwny, aby uwierzyć, że jego argumenty mogą zrobić na jubilerze jakiegokolwiek wrażenie i że zechce on zniszczyć swoje dzieło, przerabiając je według wzorów zaleconych przez malarza. Po prostu Ziemak pobiegł do Dobroźlockiego aby zrobić mu awanturę i wyładować się. Byłby nieszczęśliwy, gdyby złotnik przyznał mu rację.

- Czy zawiadomił pan Ziemaka, że jubiler nie żywi do niego urazy?

- Nie. Chciałem, aby malarz trochę się pomartwił. Dobrze by mu to zrobiło, bo ze swoim usposobieniem i skłonnością do kłótni staje się czasami nie do zniesienia.

- Pan się przyjaźni z Ziemakiem?

- Nie. To po prostu mój dobry znajomy. Często robi jakieś rysunki dla redakcji, w której pracuję. Stąd się znamy.

- Co pan może o nim powiedzieć?

- Bardzo zdolny malarz. Tylko wybrał sobie kierunek sztuki, letóry w Polsce niezbyt popłaca - ultranowoczesne malarstwo. Z tego trudno wyżyć. Toteż wszyscy znajomi i przyjaciele namawiają go, żeby wziął się za coś bardziej użytkowego i dochodowego. Ale on nie chce o tym nawet słyszeć. Zapaleniec i entuzjasta. Zwykle skłócony ze wszystkimi, a przeważnie z tymi, którzy mogliby mu pomóc w jego ciężkiej sytuacji materialnej.

- Żonaty?

- Tak. Czworo dzieci w wieku szkolnym. Tam jest naprawdę ciężko. A poza tym, nie chciałbym robić plotek, wydaje mi się, że małżeństwo nie jest najszcześliwiej dobrane.

- Niełatwo chyba być żoną malarza? - zauważył pułkownik.

- Na pewno nie, Zwłaszcza takiego jak Ziemak. Niezrównoważonego zapaleńca, nie dbającego o „dobra materialne”. A dzieci trzeba ubrać i nakarmić. Toteż pani Ziemak owa zaharowywuje się, żeby jakoś związać koniec z końcem, zaś pomocy ze strony męża prawie żadnej. Poza tym, nie wiem ile jest w tym prawdy, żona zarzuca mu, że modelki nie zawsze są tylko modelkami.

- Też znane historie - uśmiechnął się pułkownik - pod tym względem spokojna była chyba tylko żona Lasockiego. Bo on malował wyłącznie krowy.

- Czy zauważył pan, dokąd szła pani Miedzianowska?

- Nie. Nie widziałem. Sądząc z kroków, zeszła na pierwsze piętro i słyszałem, że zapukała do czyichś drzwi.

- Czy weszła do środka?

- Słyszałem skrzyp drzwi, ale nic więcej, ponieważ zamknąłem się u siebie.

- Co dalej?

- Dalej to chyba nic. Siedziałem w pokoju, dopóki nie doszedł mnie głos Żarskiego, że telewizor gotowy. Pamiętam, że coś mu odkrzyknąłem. Zdaje się, że „brawo” i zaraz zszedłem na parter.

- Czy zauważył pan, że Krabe wrócił z salonu na górę?

- Nie przypominam sobie. W salonie było dość ciemno, paliła się jedynie mała lampka za telewizorem. Wszyscy lokowali się jak najwygodniej. Może więc pan Krabe wychodził, ale chyba na bardzo krótko. Od razu spostrzegłem, że nie ma Dobroźlockiego, więc dłuższa nieobecność literata nie uszłaby mojej uwagi.

- Czy słyszał pan odgłosy reperowanego telewizora?

- Miałem nawet zamiar zejść na dół i zwrócić uwagę inżynierowi, aby przyciszył trochę to warczące bydlę. Wyło i piszczalo tak przeraźliwie, że nawet książki nie można było wziąć do ręki.

- Czy pan Dobroźlocki często oglądał telewizję? - Bardzo rzadko. Albo pracował u siebie, albo wychodził wieczorami na spacer lub w odwiedzinach do znajomych. Nie ukrywał tego, że nie lubi telewizji, uważał ją za karykaturę złego kina i złodzieja czasu. Poza tym twierdził, że jeżeli patrzy na ekran telewizora dłużej niż pół godziny, zaraz bolą go oczy.

- Czy zapowiadał swoje dzisiejsze przyjście na „Kobry”?

- Tego nie słyszałem.

- A więc gdyby się nie zjawił, nikogo by to nie zdziwiło?

- Na pewno. W ubiegły czwartek również nie oglądał „Kobry”. Jeżeli przychodził do salonu, to najczęściej na dziennik telewizyjny i aby usłyszeć prognozę pogody. Potem wracał do siebie.

Podporucznik spojrział pytająco na pułkownika. Ten dał znak, że pragnie postawić dziennikarzowi kilka pytań.

- Pan jest autorem książek kryminalnych?

- Tak.

- Ostatnia „Zbrodnia w Powszechnym Domu Towarowym”?

- Widzę, że pan pułkownik interesuje się moją twórczością. Bardzo mnie to cieszy.

- O ile się nie mylę, treść książki jest następująca: W jednej z kabin Powszechnego Domu Towarowego znajdują trupa. Zamordowany ma rozbitą głowę. Ścianka odgradzająca jedną kabinę do przymierzania ubrań od drugiej, jej podobnej, jest rozpruta. W tej drugiej kabinie milicja znajduje odważnik, który był narzędziem zbrodni i porzuconą teczkę z wyłamanym zamkiem. Tę teczkę, zawierającą ważne dokumenty, miał przy sobie zamordowany, gdy wchodził do kabiny, aby przymierzyć tam kupowane ubranie. Wobec takich poszlak milicja ściga osobę, która korzystała z sąsiedniej kabiny i pozostawiła w niej odważnik. Tymczasem okazało się, że

mordercą był osobnik nieustannie będący w polu widzenia wszystkich świadków. Twierdzili oni, że ani na moment nie stracili go z oczu. On jednak zdążył wejść do kabiny, zamordować swoją ofiarę i zrobić wyłom do sąsiedniego pomieszczenia. Pragnąc skierować śledztwo na fałszywe tory tam właśnie podrzucił teczkę i odważnik. Sam natomiast wyszedł spokojnie drzwiami kabiny. On też pierwszy zauważył trupa i wszczął alarm. Nikt go nie podejrzewał. Wszyscy stwierdzali jego alibi.

- Przynosi mi niebywały zaszczyt, że wyżsi oficerowie milicji tak dokładnie czytają moje książki, że mogą je później nawet streszczać.

- Nie o to chodzi, redaktorze. Odwróćmy sytuację. Przenieśmy akcję z wielkiego domu towarowego do średniej wielkości pensjonatu. Zamiast kabiny - pokój. Odważnik zastąpmy młotkiem. Niepotrzebne nam są ważne dokumenty w teczce. Wystarczą brylanty. Pański zbrodniarz męczył się dla rozprucia ścianki między obu kabinami. Zbicie szyby i przystawienie drabiny jest o wiele łatwiejsze. Któż odegrałby lepiej rolę przestępcy, jak nie autor książki? Autor, który ten plan dokładnie przemyślał, a następnie szczegółowo opisał.

Burski zachnął się.

- Podejrzewanie mnie o zbrodnię jest nonsensem.

Co z tego, że sprawa jest nieco zbieżna z treścią napisanej przeze mnie książki? Podobną zbieżność gotów jestem wykazać przy wielu przestępstwach, opisywanych przez autorów sensacyjnych powieści wydawanych zarówno w kraju, jak za granicą. Autor piszący książkę w jakiś sposób transponuje pewne dawne wydarzenia, które rzeczywiście zdarzyły się.

- A jednak to podobieństwo jest uderzające.

- Nie. Jest pewien istotny szczegół, który różni obydwie sprawy. Zobowiązuję się przyznać nawet do zbrodni, jeżeli pan zdoła mi udowodnić, że to ja przystawiłem drabinę do balkonu. W pańskim rozumowaniu wszystko gra. Rzeczywiście, miałem okazję wejść niepostrzeżenie do pokoju jubilera. Przyniesienie z dołu młotka nie przedstawiało trudności. Stłuczona szyba i wyrzucona na trawnik kasetka, to stworzenie pozornego tropu dla wprowadzenia milicji w błąd. Ale skąd drabina? Po „Carltonie” mogłem się poruszać bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. Ale gdybym wychodził na dwór choć na chwilę, musiałby to ktoś zauważyć, choćby portier lub pokojówka. Kochana drabinka - dodał dziennikarz - ratuje moją głowę. Poza tym jeszcze kwestia biżuterii. Poruszałem się na trasie mój pokój - salon. Przypuszczam,

że cała ta droga została dokładnie zrewidowana. W różnych zakamarkach „Carltonu” można wprawdzie znacznie większą rzecz niż kilka świecidełek tak schować, że nikt ich nie znajdzie, ale na to trzeba mieć trochę czasu. Jeżeli założymy teoretycznie, że to ja popełniłem zbrodnię, to w ciągu tych kilku minut, jakimi dysponowałem, nie mógłbym poruszać się tak swobodnie, bo pensjonariusze zaczęli zbierać się w salonie na „Kobrę” i nie zdążyłbym zająć się ani drabiną, ani biżuterią.

- Tak - rozważał dalej pułkownik - widać, że pisze pan „kryminały”.

Pańskiemu rozumowaniu nic nie można zarzucić. W całość poszlak, w jakąkolwiek by się one nie obracały stroną, musi być wkomponowana ta drabina. Jednocześnie jednak trzeba wykluczyć napad dokonany przez kogoś, kto przyszedł z zewnątrz, bo narzędziem zbrodni jest ponad wszelką wątpliwość młotek, który leżał w hallu.

- Nie wykluczam napadu z zewnątrz - odpowiedział Burski - parę lat temu zostałem okradziony w „Carltonie”. Zabrano mi z pokoju parę koszul i spodnie wiszące w szafie. Zdarzyło się to około godziny pierwszej. W tym samym czasie wszyscy goście łącznie ze mną opalali się na tarasie. Złodziej, przez nikogo nie zauważony, spacerował po całej wili, a z jadalni skradł nawet parę cennych lichtarzy, przyozdabiających półkę. Zresztą historia „Carltonu” pełna jest podobnych przykładów. Pewnej zimy skradziono w porze obiadowej cenne futro wiszące w korytarzu. W Sylwestra, gdy goście jedli kolację, włamywacz wybił szybę w pokoju na parterze i skradł przygotowane na noworoczną zabawę męski garnitur, suknię balową i dwa futra. W tajemniczych okolicznościach skradziono cenny pierścień z brylantem. Żadnego ze sprawców tych kradzieży nigdy nie wykryto. Być może, że to jedna i ta sama osoba wyspecjalizowała się w odwiedzaniu „Carltonu”. Złapana na gorącym uczynku przez Dobroźlockiego, użyła młotka jako ostatecznego argumentu.

- Rozpatrywaliśmy również tę hipotezę. Tłumaczy ona wprawdzie drabinę i wybitą szybę, lecz nie pasuje do młotka. Jeżeli zbrodniarz wszedł przez balkon, nie mógł mieć młotka, który cały czas leżał w hallu. Odwrotnie, przypuśćmy, że wśliznął się niepostrzeżenie przez hall. W takim razie do czego potrzebna mu była drabina? Zarówno jedno, jak drugie nie gra. Niemniej pewne jest, że ktokolwiek napadł na jubilera, dobrze obliczył każde swoje posunięcie i przemyślał każdy krok. Przyniesienie z powrotem młotka do hallu i przyniesienie drabiny musiało mieć jakiś cel.

- Ale jaki? - mruknął dziennikarz.

- Pan uważa, że sprawcą napadu mogła być pani Zachwytowicz. Na czym pan

opiera to twierdzenie?

- Mieszka bezpośrednio obok jubilera. Nikt inny oprócz niej nie mógł lepiej zaobserwować jego zwyczajów. Jedyne pani Zosia wiedziała, że Dobrozłocki pracuje nad cenną biżuterią. W rozmowach z nami parę razy wspominała o tym tajemniczo, ale nie wierzyliśmy jej, bo wiedzieliśmy, że jubiler wyrabia srebrne ozdoby dla Cepelii. Poza tym dla rozgłosu i zdobycia sławy ta kobieta nie zawahałaby się nawet przed morderstwem. Mając pokój oddzielony jedną ścianą od złotnika, miała najwięcej okazji, aby wejść do środka bez zwrócenia na siebie uwagi. To ona przyniosła młotek do hallu. To ona zauważyła, że doskonale nadaje się do rozłupania czyjejś głowy.

- A w jaki sposób wytłumaczy pan drabinę?

- Ta drabina uratowała mnie przed podejrzeniami, ale nie pasuje również do pani Zachwytowicz. Przecież nie wychodziła z „Carltonu”. Drabina nie pasuje w ogóle do nikogo z mieszkańców willi... Z wyjątkiem

181 jednej osoby - pani Miedzianowskiej. Tylko ona wychodziła z pensjonatu po kolacji. Wracając mogła podstawić drabinę pod balkon, żeby upozorować przyście napastnika z zewnątrz. To byłby z jej strony bardzo sprytny chwyt.

- Ale wtedy wyrzuciłaby z pokoju nie tylko kasetkę po biżuterii, ale także młotek, lub schowałaby go razem z klejnotami. A przecież po napadzie młotek wrócił na swoje miejsce w hallu. Sam nie przyszedł.

- Jestem bezsilny - przyznał Burski - nie umiem tego wytłumaczyć.

- My również - szczerze przyznał podporucznik.

- A co by pan mógł nam powiedzieć o panu Krabe? - pytanie zadał pułkownik.

- Podobno znacie się panowie bliżej.

- Ściśle towarzyskie stosunki. Chociaż znamy się od ładnych kilku lat.

- Więc chyba nawet przyjaźń?

- Nie. O przyjaźni nie można mówić. Wątpię, czy pan Krabe ma w ogóle jakichś przyjaciół.

- Dlaczego?

- To człowiek zgorzkniały. Trochę złośliwy, trochę zawistny, trochę dziwak.

- Skutki obozu?

- Przypuszczam, że i obozu. A w ogóle panu Krabemu w życiu niezbyt się powiodło. Najpierw jako młody człowiek powędrował na długie pięć lat do oflagu. Znalazł się jak gdyby w szklanej klatce. Życie biegło, a dla nich czas stanął na dacie

pierwszego września 1939 roku. Do tego przyszedł jeszcze cios osobisty - stracił narzeczoną, która nie chciała czekać i znalazła sobie innego.

- Pan zna tę panią?

- Nie. Ale pan Krabe nieraz z goryczą mówił o wierności kobiecej, podając swoją ukochaną za przykład.

- Ale sam też nie tonął w żalu, tylko znalazł inną.

- Tak. Ożenił się za granicą i ma bardzo miłą żonę. Niemniej pewien uraz pozostał. Do tego i dalej nie wiodło mu się, tak jak to sobie planował, czy wymarzył. Najpierw był przez kilka lat w Belgii, później w Anglii. Nie umiał się tam jednak urządzić i wrócił do kraju. Chyba w 1951 roku. Tu zaczął robić karierę. Szybko doszedł do wysokiego stanowiska. Był bodaj dyrektorem departamentu, czy też naczelnym dyrektorem w jakiejś instytucji. Siedząc za granicą nie orientował się w panujących u nas w tym czasie stosunkach. Nie wiem dokładnie, jak tam było, dość że Krabe z wielkim trzaskiem wyleciał ze swojego stanowiska i bodaj ze dwa lata nawet się przesiedział.

- Jakies naduzycia?

- Na pewno nie jego. Niemniej, na nim się skrupiło. Kiedy w końcu jakoś się wykaraskał z tej afery, nie było oczywiście mowy o powrocie na dawne, czy podobnie wysokie stanowisko. Przez pewien czas w ogóle nie mógł znaleźć pracy, w końcu zaczepił się w jednym z wydawnictw. Sam też próbował szczęścia - napisał powieść, która okazała się zupełnym niewypałem. Jakies psychologiczne majaki. Leżała parę lat na półkach księgarń, wreszcie poszła na przemiał. Jego studium na temat literatury romańskiej również nie znalazło uznania krytyki. To wszystko wpłynęło na to, że pan Krabe dzisiaj to sama żółć. Po sukcesie mojej książki stosunek Krabego do mnie bardzo się oziębził.

Podporucznik podziękował redaktorowi za zeznania, podsunął mu protokół do podpisania i jak każdego, uprzedził, że może udać się do swojego pokoju, ale jeszcze nie należy się kłaść spać.

- No cóż - zauważył pułkownik - kółeczko się zamknęło - literat osmarował dziennikarza, dziennikarz nie pozostał dłużny literatowi. Co ciekawsze, uważam, że obaj powiedzieli o sobie dużo prawdy. Ludzie dużo lepiej widzą cudze błędy.

- Dlaczego on podejrzewa panią Zachwytowicz?

- Większość przesłuchiowanych podejrzewało właśnie ją. Ludzie, którzy zachowują się ekscentrycznie, nie są lubiani. Tym bardziej że, jak wiemy, u pani Zosi

ta ekscentryczność wynika ze ściśle określonych pobudek działania. Poza tym, nie zapominajmy, że aktorka sama dała powód do podejrzeń. Nie kryła, że chce zdobyć kolbę i pokazać się w niej u „Jędrusia”. Ludzie też wiedzą o jej chęci zrobienia zagranicznej kariery i potrzebie pieniędzy na ten cel. Jeśli więc dodadzą to wszystko, wysuwają Zachwytowiczowa na pierwsze miejsce listy podejrzanych.

- Ona i mnie by najlepiej pasowała na przestępcę - stwierdził podporucznik.

- A widzi pan. I dziwić się innym.

- No tak - zgodził się podporucznik - widocznie i moje myśli idą tym samym tokiem.

- W każdym razie - dodał pułkownik - w miarę przesłuchiwania coraz to nowych osób, dowiadujemy się ciekawych rzeczy o mieszkańcach „Carltonu”. Te postacie, znane dotychczas tylko z ich danych personalnych, nabierają życia. Poznajemy ich zwyczaje, charakter i nawet troski czy kłopoty, jak również ambicje i pragnienia.

- Co z tego, kiedy sprawa właściwie nie rusza naprzód.

- Tego bym nie powiedział. W miarę jak rośnie materiał śledztwa, powstają pewne hipotezy na temat sprawy zbrodni.

- Ale każda z tych hipotez natychmiast dostaje w łeb, z chwilą przesłuchania następnego podejrzanego.

- Czasem to tak wygląda - zauważył pułkownik. Jednak ton jego głosu świadczył, że doświadczony oficer milicji posiada jakieś koncepcje, z których na razie nie chce się jeszcze zwierzyć młodszemu koledze.

A może zresztą i podporucznik Klimczak zrobił jakieś spostrzeżenia i doszedł do pewnych wniosków, które w tej chwili pragnął pozostawić przy sobie?

- Burski poza panią Zachwytowicz obciążył jeszcze i Miedzianowska.

- Raczej zwrócił uwagę, że jest to jedyna osoba z pensjonatu, która wychodziła wieczorem z domu. Mogła więc postawić drabinę pod balkon. Jeszcze z nią nie rozmawialiśmy. Zobaczymy, co nam powie nowego. To jedyny człowiek, któremu można przydzielić drabinę. Za to kłóci się z tym fakt znalezienia przez nią młotka w hallu oraz te zeznania, które stwierdzały, że fatalna drabina pojawiła się na balkonie dopiero po powrocie Miedzianowskiej do „Carltonu”.

- No cóż - zdecydował podporucznik - przesłuchamy w takim razie panią Miedzianowska. Obawiam się, że i te zeznania będą miały typowy przebieg. Będzie nam jak najmniej mówiła o sobie, a możliwie dużo o innych.

- To też nie jest złe.

- Cóż z tego, kiedy prowadzi to tylko do zmiany jednego podejrzanego na następnego.

- Pani Miedzianowska pracowała razem z inżynierem Żarskim - przypomniał pułkownik. - Zna go najlepiej z całego towarzystwa. Oboje pochodzą z Wrocławia.

- On ją niezbyt ładnie odmalował. Snobka lubiąca obracać się w towarzystwie cudzoziemców i umiejąca wykorzystać te znajomości dla własnej korzyści.

- Ale jednocześnie nawet ta stronicza charakterystyka podkreśliła i zalety tej pani - stanowczość, opanowanie, umiejętność dążenia do celu, wszechstronne wykształcenie, znajomość języków. Takie świadectwa trzeba umieć czytać z każdej strony.

- Ale Żarski podkreślił, że ta pani potrzebuje pieniędzy, bo buduje sobie willę.

- Pan znowu, poruczniku, wraca do motywu zbrodni. A ten motyw pasuje jak ulał do wszystkich przesłuchanych. Jedni mają dużo i chcieliby mieć jeszcze więcej. Innym, jak Ziemakowi, powodzi się źle i też chętnie polepszyliby swoją sytuację. Na tym koniku nigdzie nie zajedziemy.

- A więc przesłuchujemy Miedzianowska. Ale najpierw zobaczymy, co tam u niej wykryła rewizja.

Milicjant, który przeprowadzał rewizję na drugim piętrze, zakwestionował trzy listy. Jeden wysłany z Paryża, dwa z Warszawy. W tym oficjalne zawiadomienie biura paszportów MSW, że „paszport zagraniczny dla ob. Barbary Miedzianowskiej jest gotowy i zostanie ob. wydany po wniesieniu odpowiednich opłat”. Sądząc z ich wysokości, paszport uprawniał do wyjazdu do państw Europy zachodniej. Następnym pismem był list wysłany z Paryża. Pisany po polsku, lecz z pewnymi błędami ortograficznymi oraz wtrąceniem paru słów angielskich. Widać było, że pisał go cudzoziemiec, który nauczył się języka polskiego lub Polak od dawna zamieszkały za granicą. List zawierał szereg instrukcji w sprawie różnych chemikaliów i maszyn, mających być przedmiotem importu do Polski. List podkreślał wagę tych transakcji i kończył się zapewnieniami, że w razie pomyślnego załatwienia, pani Miedzianowska może liczyć na wdzięczność firmy, a w razie opuszczenia Polski na zawsze, w każdym kraju, w którym firma ma swoją filię, otrzyma odpowiednią pracę. Poza tym w piśmie tym zaznaczono, że najbliższy wyjazd pani Barbary za granicę będzie miał nie tylko charakter praktyki w jednym z oddziałów firmy, lecz uwzględni się w nim odpoczynek i turystykę. Wszelkie wydatki pokrywa firma jako renumerację za

dotychczasową pracę. Zwróci również opłaty paszportowe. Charakterystyczne, że papier listowy nie nosił nadruku firmy i podpisany był tylko imieniem.

Trzecie pismo zawierało zawiadomienie firmy budowlanej, że roboty w domu na Mokotowie zostały doprowadzone pod dach. Przed przystąpieniem do prac wykończeniowych budynku właściciele muszą wnieść dalsze wpłaty, a na panią Miedzianowska wypada, zgodnie z podpisaną umową, kwota w wysokości 60 000 złotych. Pieniądze te mają być przekazane najpóźniej do końca miesiąca, a niedotrzymanie tego terminu grozi przerwaniem robót.

- Mamy piękne motywy popełnienia zbrodni - z satysfakcją zauważył podporucznik - konieczność poważnej wpłaty na budowę domu. Możnaść wywiezienia biżuterii za granicę. A gdyby ziemia zbyt szybko paliła się pod stopami w rodzinnym kraju, nawet możnaść urzędowania się tam na stałe. Wszystko do siebie pasuje.

- Z wyjątkiem młotka i drabiny

- mruknął pułkownik.

- Mogło być tak, jak mówił redaktor Burski. Wracając z klubu,

Miedzianowska miała okazję przystawić drabinę do balkonu.

- To nie zgadza się z zeznaniami Krabego i pani Zosi. Oboje nie widzieli drabiny jeszcze na kwadrans przed wykryciem zbrodni.

- Czasy podawane przez zeznających nie są takie pewne. A jeżeli omylili się o dziesięć minut i Miedzianowska wróciła właśnie dziesięć minut później, niż to podaje Różia? Mogła postawić drabinę już po bytności Zosi na balkonie.

- Oboje nie mogli się jednakowo omylić właśnie o dziesięć minut.

- Posłuchajmy w takim razie, co ma nam do powiedzenia pani

Miedzianowska.

Rozdział XI

Gdy Miedzianowska weszła do jadalni, od razu spostrzegła listy zabrane z jej pokoju.

- O ile wiem - powiedziała siadając na wskazanym przez podporucznika miejscu - milicja ma prawo dokonywania rewizji jedynie na podstawie pisemnej decyzji prokuratora. Czy panowie mieli takie upoważnienie, wchodząc do mojego pokoju?

- Działamy na miejscu zbrodni i zabezpieczamy dowody rzeczowe. Nie

mieliśmy ani czasu, ani nie uważaliśmy nawet za potrzebne porozumiewanie się w tej sytuacji z prokuratorem. Ma pani prawo, skoro jej się to nie podoba, wnieść skargę do Komendy Wojewódzkiej w Krakowie lub do miejscowej prokuratury. W czasie oględzin pani pokoju przez milicję obecny był kierownik „Carltonu” jako świadek.

- Zastanowię się, może złożę to zażalenie.

- Dowiedzieliśmy się o pani kłopotach pieniężnych. W jaki sposób poradzi sobie pani?

- Czy mam to rozumieć jako ofertę pożyczki?

- Niestety, milicja nie pożyczka pieniędzy. Często jednak interesuje się, skąd ludzie zdobywają tak potrzebne im nieraz pieniądze.

- I do jakich konkluzji milicja dochodzi?

- Że czasami ktoś gwałtownie potrzebujący gotówki chwyta za młotek i tym sposobem usiłuje uwolnić się od kłopotów.

- Ciekawe. Tym kimś ma być oczywiście tu obecna?

- Tym bardziej, że wyjeżdża za granicę, gdzie może nie tylko sprzedać klejnoty, ale jak to wynika z treści pewnego listu, urządzić się na stałe.

- I dlatego buduje sobie dom na Mokotowie, co wymaga wpłaty gotówkowej. Wspaniałe rozumowanie. Niczego nie można mu zarzucić prócz braku logiki.

- Jest i logika. Budowę domu zaczęła pani przedtem, nim zdarzyła się okazja zdobycia majątku jednym celnym uderzeniem żelaza w cudzą głowę. Również list z niedwuznaczną propozycją „wybrania wolności” przyszedł przed napadem.

Kalkulacja była prosta - dom na Mokotowie przedstawia wartość najwyżej kilkuset tysięcy złotych. Cena biżuterii sięga miliona. Opłaca się nawet stracić wyłożone na budowę pieniądze. Niech dom zostaje w Polsce, ja z biżuterią wyjeżdżam za granicę.

- Z pełnym zaciekawieniem słucham tych wytworów milicyjnej fantazji. Może dowiem się jeszcze, w jaki sposób popełniłam tę zbrodnię?

- Proszę bardzo. Po kolacji specjalnie wyszła pani z „Carltonu” na rzekome spotkanie ze znajomą w klubie „Kmicic”. Wracając, a było to mniej więcej piętnaście przed dziewiątą, zabrała pani drabinę stojącą koło „Sokolika” i przyniosła ją pani pod „Carlton”, opierając o balkon pierwszego piętra. Idąc do swojego pokoju, po drodze zabrała pani młotek z hallu. Nie było trudne upatrzenie momentu, kiedy jubiler opuścił na chwilę pokój, aby zatelefonować. Wtedy szybko zeszła pani piętro niżej i ukryła się w pustym już pokoju jubilera. Gdy ten wrócił i chciał zapalić światło, otrzymał z tyłu morderczy cios. Ukrycie brylantów, wyrzucenie na zewnątrz kasetki pozorujące,

że sprawca wdarł się do „Carltonu” przez drzwi balkonowe, było dziełem kilku minut. Teraz chwila uwagi, czy na korytarzu nikogo nie ma i szybki powrót na górę. Przy okazji zejścia do salonu na program telewizyjny podrzuca pani młotek na kanapkę.

- Wspaniale! - zauważyła pani Miedzianowska, którą to poważne oskarżenie nie zdołało wytrącić z równowagi. - Widzę, że redaktor Burski ma poważnego konkurenta. Powinien pan pisywać powieści kryminalne, poruczniku. Marnuje pan swój talent na posadzie w milicji. Z taką fantazją...

- Ciekaw jestem, czy w równie doskonałym humorze będzie pani wówczas, gdy na mój wniosek prokurator podpisze nakaz aresztu i przystąpi do sporządzenia aktu oskarżenia.

- Zapewniam pana, że na rozprawę wystroję się w te wszystkie klejnoty, które w pańskiej wyobraźni zrabowałam biednemu Dobrozłockiemu. A propos, jak się nieborak czuje?

- Operowali go - wtrącił sierżant piszący protokół - ale przytomności nie odzyskał. Lekarz dyżurny informował, że stan chorego nadal poważny.

- Bardzo mi go żal. Lubiłam jubilera. Jak on cieszył się dzisiaj po południu, że na Giewoncie sprzedał dwa pierścionki! Z jaką dumą pokazywał każdemu z nas te cztery setki! Mówmy jednak rzeczowo. Chciałabym usłyszeć, jakimi dowodami rozporządza milicja, stawiając mi tak ciężkie zarzuty.

- Widziano panią schodzącą na dół i otwierającą drzwi pokoju jubilera. Było to dziesięć przed dziewiątą. Czy pani temu zaprzecza?

- Widocznie widział mnie redaktor Burski. Przypominam sobie, że kiedy wyszłam z pokoju, to on właśnie wchodził na schody. Nie, nie zaprzeczam temu, lecz musiało to być nieco wcześniej. Nie dziesięć, lecz piętnaście minut przed dziewiątą. Zeszłam na pierwsze piętro, zapukałam i otworzyłam drzwi do pokoju jubilera. Nie było w nim nikogo. Paliło się światło. Zamknęłam drzwi i zawróciłam. Wtedy spotkałam panią profesor i razem poszłyśmy do mojego pokoju. Przyniosła mi „Le Monde”, o pożyczenie którego prosiłam ją przy obiedzie. Pani Rogowiczowa może stwierdzić, że ani młotka, ani klejnotów nie miałam w ręku. W ogóle miałam ręce puste. Byłam w jersey owej sukience, którą noszę w tej chwili. Ona nie ma żadnych kieszeni. Tradycyjny schowek kobiet - biustonosz, również odpada. Mimo moich najlepszych chęci młotek tam by się nie zmieścił. Jeżeli pan porucznik chce, możemy zrobić próbę. Dobrze?

Pułkownik nieznacznie się uśmiechnął. Pani Miedzianowska była szczupłą brunetką, a przynajmniej robiła się na brunetkę. W dzisiejszych czasach nic nie wiadomo... Miała zgrabną, sportową sylwetkę, biust ledwie się rysował pod obcisłym jerseyem. Nie tylko młotek, ale nawet biżuteria nie mogła się tam zmieścić. Podporucznik widząc, że jego misternie skonstruowane oskarżenie leży w gruzach, miał bardzo skonsternowaną minę. Lasota postanowił pomóc młodszemu koledze.

- Sprawdzimy wiarygodność pani zeznań. Bardzo będę zadowolony mogąc uwolnić panią od wszelkich podejrzeń. Niestety, prowadzący dochodzenia muszą sprawdzić każdą hipotezę. Tym bardziej, że zarzuty ciężące na pani są ciężkie. Pani jest jedyną osobą, a śledztwo ustaliło to ponad wszelką wątpliwość, która wychodziła po kolacji z „Carltonu”. Miała więc pani możliwość zabrać drabinę z „Sokolika” i oprzeć ją o balkon.

- Zapewniam, że tego nie zrobiłam.

- Sprawdzimy. Proszę nam teraz odpowiedzieć na kilka pytań, ale już bez gniewów i kpin. Sprawa jest na to zbyt poważna. Został ciężko ranny człowiek, a pastwą rabunku padła biżuteria wartości około trzech milionów złotych.

- Słucham pana, panie...

- Pułkownik Lasota z Komendy Głównej MO.

- Postaram się udzielić panu jak najbardziej dokładnych, szczegółowych odpowiedzi. Proszę pytać, ale uprzedzam, że niewiele wiem.

- O której godzinie była pani w „Kmicicu”?

- Wyszłam z domu około godziny **19.30**. Droga zajęła mi z kwadrans. W klubie byłam z pół godziny. Powrót - kwadrans. Zatem około pół do dziewiątej, może pięć minut później, byłam już z powrotem.

- Kogo widziała pani w „Kmicicu”?

- Kilku znajomych. O kogo specjalnie pułkownikowi chodzi?

- Zauważyła pani Henryka Szaflara?

- Ten przewodnik z małą głową? Doskonale przypominam sobie jego postać. Siedział tam, gdy przyszedłam i był jeszcze, kiedy wychodziłam. Jestem tego zupełnie pewna. Ten chłopak ma dość charakterystyczną sylwetkę.

- Wracając do domu spotkała pani kogoś ze znajomych?

Miedzianowska zastanowiła się.

- Na rogu ulicy Ku Skoczni i jednej z jej poprzecznych stał ten nieodłączny przyjaciel przewodnika. Nie znam jego nazwiska, ale on często przychodzi do

„Carltonu”.

- Do pani Zosi. Czasami nawet po drabinie.

- Nigdy mnie to nie interesowało. To jej sprawa. Każdy urządza się, jak mu wygodniej.

- Czy młotek leżał na kanapce po pani powrocie do „Carltonu”? Niech pani dobrze się zastanowi. To bardzo ważne.

- Na pewno leżał. Przechodziłam koło niego, idąc do jadalni. Chciałam sprawdzić, czy jest tam ktoś jeszcze. Ale poza panią Rózią nie było nikogo. Zamieniłam z nią parę słów i wróciłam do siebie na górę. Znowu widziałam młotek. Pamiętam to dobrze, bo zastanawiałam się nawet, czy nie można byłoby go użyć do zreperowania moich szpileczek. Jeden pantofel mnie kłuje, bo gwoździak wystaje. Ale przypomniałam sobie to, co inżynier Żarski tłumaczył mi przy obiedzie, że do tego potrzeba dłutka i że ten nieszczęsny pantofelek sam mi zreperuje. Wobec tego nie ruszałam młotka.

- Pani zna inżyniera Żarskiego?

Po twarzy Miedzianowskiej przeleciał cień, ale natychmiast opanowała się i mówiła dalej spokojnym chłodnym głosem:

- Tak, znam od sześciu lub siedmiu lat. Oboje jesteśmy z Wrocławia. Razem pracowaliśmy. Potem on się przeniósł do hutnictwa. Ja również zmieniłam pracę i przeprowadziłam się do Warszawy. Później nie miałam okazji do wznowienia z nim kontaktów. Przypadkowo spotkaliśmy się w Zakopanem.

- Chciałbym pani zadać pewne pytanie natury zupełnie osobistej. Na wczasach powstają zwykle różne większe i mniejsze grupy, sympatie i flirty. To zresztą zrozumiałe. Czy panią łączył taki flirt z inżynierem?

- Nie! - stanowczo zaprotestowała pani Barbara. W przeszłości byłoby to możliwe, lecz miałam możliwość poznać go zbyt dobrze. To jest typ, jak to się mówi, skaczący z kwiatka na kwiatek. Byle dużo. Gdybym nawet teraz chciała, nie miałabym żadnych szans. Pan Adam znalazł sobie śliczną dziewczynę, wczasowiczkę mieszkającą w „Granicie”. Zdaje się jednak, że zerwał już tę znajomość, lub ma zamiar to zrobić, bo nawiązał nową. Przed dwoma dniami poznał jakiegoś kociaka w kawiarni „Ameryka”. Kiedy ta dziewczyna z „Granitu” wczoraj do niego dzwoniła, kazał pokojówce powiedzieć, że nie ma go w domu. Byłam akurat w hallu i przypadkowo słyszałam.

- Co pani robiła po powrocie do „Carltonu”?

- Nic. Po prostu wróciłam do siebie.

- A po co poszła pani do jubilera?

- Przyszła mi pewna myśl. Panowie wiedzą, że w przyszłym miesiącu wyjeżdżam za granicę, do Włoch, gdzie nasza firma ma swoją europejską filię. W programie pobytu uwzględniono zapoznanie mnie lepiej z produkcją oraz zwiedzanie Italii. Amerykanie bardzo lubią prezenty, zarówno dawać, jak je brać. Ilekroć przedstawiciele naszej firmy odwiedzają Polskę, zawsze przywożą mi różne podarunki. To stanowi nawet pewną pozycję w moim budżecie. Od kilku lat nie kupowałam pończoch, bielizny i butów. Nie mogę się licytować z Amerykanami pod względem wartości upominków, ale nie wypada mi zjawić się we Włoszech z pustymi rękami. Wyroby pana Dobrozłockiego, oczywiście mówię o tych ze srebra, stanowiłyby bardzo oryginalny prezent.

- Ale nie tani. Pan Dobrozłocki liczył przecież po 200 złotych za pierścionek. To nie jest tak mało za kawałek srebra i jakieś kolorowe oczko.

- Taki drobiazg kosztuje za granicą co najmniej czterokrotnie drożej. Zgodnie z naszymi przepisami celnymi mogę przewieźć pięć pierścionków. To by mi się opłacało. Moi amerykańscy przyjaciele byliby niezmiernie uradowani podarunkami i zrewanżowałyby się czymś wielokrotnie cenniejszym. Specjalnie mi na tym zależało, aby władze firmy dobrze do siebie usposobić, bo miałam zamiar prosić ich o wypłacenie pensji z góry. Bardzo potrzebuję tych pieniędzy.

- Ale aż 60 000 złotych? Ile pani zarabia?

- Trzy tysiące pięćset złotych netto. Firma płaci również ubezpieczenia, chociaż jako placówka zagraniczna nie jest do tego zobowiązana.

- Niemożliwe?

- Tak jest. Dobrze znam te przepisy. Ubezpieczenie obowiązuje jedynie pracodawców krajowych, a zagranicznych tylko dobrowolnie. Jeżeli nie chcą, mogą nie płacić. Wtedy pracownik nie korzysta z ubezpieczeń społecznych i okres pracy w firmie zagranicznej nie wlicza mu się do renty. Moja firma jest na tyle przyzwoita, że płaci ubezpieczenie.

- To nie są dla nich duże sumy.

- Oczywiście, dla wielkiego koncernu nie stanowi pozycji w budżecie, ale trochę dolarów jednak kosztuje, bo przecież regulują należność za pracę i ubezpieczenia rozliczeniami na Bank Handlowy po 24 złote za dolar. Gdyby więc firma zgodziła się wypłacić mi we Włoszech należność z góry za pół roku, mogłabym

te pieniądze przywieźć do kraju i wymienić w PKO. Zyskałabym na trzykrotnie wyższym kursie.

- Byłoby to przestępstwem dewizowym.

- Nie wydaje mi się. Przecież dewizy trafiłyby w całości do kasy państwowej.

W każdym razie miałam zamiar porozmawiać o takiej możliwości z radcą prawnym koncernu. Bo oprócz mnie firma zatrudnia w Polsce jeszcze dwie osoby i adwokata jako stałego radcę prawnego.

- Te sprawy do naszego śledztwa raczej nie należą.

- Mówiłam o nich dlatego, by wyjaśnić panu porucznikowi, że niekoniecznie musiałam chwytać za młotek dla zdobycia pieniędzy. Można dodatkowo postawić mi zarzut, że 60 000 złotych powinnam wpłacić do końca października, a wyjeżdżam za granicę dopiero w listopadzie. Toteż miałam zamiar pożyczyć tę sumę od kilku moich przyjaciół. Żaden z nich wprawdzie nie mógłby lub może nie ryzykowałby pożyczania mi całości, natomiast po 15-20 tysięcy zdołają wysupłać. Ostatecznie mam trochę cennej porcelany i sreber. Gotowa jestem to sprzedać. Mieszkanie jest dla mnie sprawą najważniejszą, bo od pięciu lat tułam się po pokojach, bądź przy własnej, dalszej rodzinie, bądź po sublokatorskich. Mam tego po dziurki od nosa. Gdybym nie dostała mieszkania, zdecydowana jestem powrócić na Śląsk.

- To spółdzielnia mieszkaniowa?

- Nie. Trzy rodziny stawiają domek jednorodzinny, a właściwie trzyrodzinny, wolny od kwaterunku. Każdy będzie właścicielem jednego piętra. Przedsiębiorstwo budowlane obiecuje nam, że Sylwestra będziemy obchodzili już pod własnym dachem. Nie bardzo w to wierzę, liczę jednak, że najpóźniej w marcu wprowadzę się na nowe, własne śmieci.

- Pani zeznała, że spotkała na schodach panią Rogowiczowa i razem weszłyście do pani pokoju?

- Tak było.

- A kiedy zaglądała pani do pokoju jubilera czy drzwi były zamknięte na klucz?

- Utał się zwyczaj, że zamykamy drzwi i zabieramy klucze jedynie” wychodząc z „Carltonu”. Jeżeli ktoś opuszcza swój pokój, lecz jest w pensjonacie, klucz zostawia w drzwiach, a najwyżej go przekręci. Wtedy u pana Dobroźlockiego również klucz tkwił w drzwiach, ale nie był przekręcony.

- Jest pani tego zupełnie pewna?

- Absolutnie. Gdyby drzwi były zamknięte na zamek, w ogóle nie weszłabym do pokoju. Wiedziałabym, że jubilera nie ma. A ja zapukałam i otworzyłam drzwi.

- Czy widziała pani szkatułkę z klejnotami? Może stała na stole?

- Nie. Nie rozglądałam się specjalnie po pokoju, ale ten przedmiot bym zauważyła. Na stole jej nie było. Zdaje się, że leżała tam gazeta i książka.

- Pani wróciła do siebie z Rogowiczowa. Czy pani profesor napomykała o swoich kłopotach?

- Nie. Nic. Tłumaczyła jedynie swoje zdenerwowanie otrzymaniem złej wiadomości z domu. Z tego też powodu przewidywała skrócenie swojego pobytu w Zakopanem, ale nie mówiła o przyczynach zmartwienia. Przepraszała mnie za te niespodziewane odwiedziny, bo nigdy dotychczas tego nie robiła, ale twierdziła, że przy obecnym stanie nerwów nie potrafiłaby usiedzieć bez towarzystwa w czterech ścianach swojego pokoju. Posadziłam ją więc przy stole, poczęstowałam czekoladkami i rozmawiałyśmy. Właśnie dlatego wydaje mi się, że musiałam zejść do jubilera znacznie wcześniej, niż to twierdzi pan porucznik, bo nasza rozmowa trwała co najmniej dziesięć minut albo nawet dłużej.

- Czy w tym czasie słyszały panie kroki na balkonie pierwszego piętra?

- Nie. Telewizor był jak opętany, a wówczas chyba najgłośniejszy. Mało mi bębni w uszach nie popękały.

- A może dotarł do was odgłos trzaśnięcia drzwiami lub brzęk zbitej szyby?

- Nie. Nic z tych rzeczy.

- Panie razem zeszły na telewizję?

- Nie. Kiedy usłyszałyśmy głos inżyniera, że telewizor już gra, pani Rogowiczowa wstała, przeprosiła raz jeszcze za tę niecodzienną wizytę i wyszła. Ja zostałam chwilę, gdyż sięgałam do szafy po sweterek. W salonie zwykle jest dość chłodno.

- Schodząc na dół nie zauważyła pani czegoś szczególnego?

- Nie chciałam rzucać nieuzasadnionych podejrzeń, ale gdy byłam na wysokości pierwszego piętra, z korytarza wyszedł pan Paweł Ziemak. Z prawej strony korytarza. Oczywiście z prawej strony osoby schodzącej z góry. Właśnie w tej części budynku znajduje się pokój pana Dobroźlockiego, tuż koło tarasu nad salonem. Miałam wrażenie, że malarz jest zmieszany lub czymś podniecony. Nie powiedział do mnie ani słowa, tylko szybko wyminął i zbiegł po schodach na parter do salonu, jak gdyby ktoś go gonił.

- Kiedy pani zeszła do salonu wszyscy już tam byli?

Pani Miedzianowska zastanowiła się.

- Inżynier był, bo jeszcze coś dłużej przy aparacie. Pani Rogowiczowa też była. Malarz, dzieci kierownika, pani Różia... Chwilę po mnie nadeszła pani Zosia z płaszczem na ręku. Po niej kierownik i pan Krabe. Na ostatku redaktor Burski i portier. A może odwrotnie - portier i dziennikarz. Pamiętam, że redaktor uczynił uwagę: „jesteśmy w komplecie prócz pana Dobroźlockiego”. Wtedy Różia zerwała się ze swojego miejsca i pobięła zanieść jubilerowi herbatę.

- A co działo się później, już po odkryciu wypadku z jubilerem, gdy część towarzystwa wróciła do salonu?

- Na ekranie akurat zaczęła się „Kobra”. Pan Żarski ironicznie zauważył, że „no to mamy «Kobrze» u siebie”. Nikt nie patrzył na ekran. Wszyscy byli bardzo zdenerwowani wypadkiem. Toczyła się jakaś bezładna rozmowa, ale kto o czym mówił, nie umiałabym powtórzyć.

- Czy wychodzili z salonu?

- Na górę nikt nie wchodził, lecz z salonu wychodzili prawie wszyscy. Do łazienki, do jadalni napić się wody. Ludzie różnie reagują w takich przypadkach. Ja także wychodziłam do łazienki.

- A może ktoś wyszedł na dwór?

- Nie. Tego nie widziałam. Padał zresztą deszcz. Ludzie kręcili się trochę jak błądźni. Tylko inżynier i Rogowiczowa, którzy mieszkają na parterze, poszli do swoich pokoi, ale i oni szybko powrócili. Pani Rogowiczowa, jeśli sobie dobrze przypominam, narzuciła blezer, a Żarski przyniósł papierosy. Częstował obecnych. Nawet ja skorzystałam z tego poczęstunku, chociaż zasadniczo nie palę.

- Przypomina pani sobie wejście dwóch młodych ludzi?

- Tak. Przyszli po panią Zosię, ale redaktor szybko ich spławił.

- Jak byli ubrani? Może mieli zabłocone ręce lub ślady błota na ubraniu?

- Byli w granatowych płaszczach ortalionowych, takich, jakie teraz należą do najmodniejszych. Płaszczki mieli mokre, bo padał deszcz. Ale ręce mieli chyba suche i czyste, bo witali się z panią Zosią. Nie wyciągaliby do niej mokrych, a tym bardziej brudnych rąk.

- Jak zareagowali na wiadomość o wypadku?

- Byli zaskoczeni i zmartwieni. Nie mogli po prostu zrozumieć, w jaki sposób zdarzyła się ta cała historia z panem Dobroźlockim.

- Nie udawali?
- Na pewno nie są takimi aktorami.
- A potem?
- Nie upłynęło pięć minut, jak przyjechało pogotowie. Zaprowadziłam lekarza na górę, a za chwilę zjawili się panowie. Resztę wiecie.
- Wróćmy jeszcze na chwilę do osoby inżyniera Żarskiego - zdecydował podporucznik - pani go nie lubi?
- Ani lubię, ani nie lubię. Po prostu jest dla mnie niczym. Jak powietrze, czy zeszłoroczny śnieg.
- Jednak chcielibyśmy dowiedzieć się, co to za człowiek. Pracowaliście państwo razem, w jednej instytucji?
- To jest zero. Kompletne zero. Nie mężczyzna, tylko dziwkarz. Człowiek pozbawiony jakichkolwiek ambicji.
- Inżynier, na chyba dobrym stanowisku. Poza tym trochę artysta.
- Jaki tam artysta! Twórca ekliwych melodyjek, do których podobni grafomani dorabiają tekst.
- Chyba jednak nie jest pozbawiony zdolności?
- Zdolny jest. Może nawet do wszystkiego. Tylko, że brak ambicji nie pozwala mu wykorzystać tych zdolności. Jego twórczość zawodowa to pójście po najmniejszej linii oporu. Tylko żeby poszło w świat i przyniosło tantiemy. Miał dobrą posadę, dającą duże możliwości na przyszłość. Ale tam trzeba było przysiedzieć fałdów, więc pan Żarski szybko przeniósł się na inną, gorszą i gorzej płatną, ale bez żadnej odpowiedzialności i taką, gdzie nie potrzebuje się przepracowywać.
- Ma powodzenie u kobiet.
- Nie wiem, co one w nim widzą.
- A jednak pan Żarski - podporucznik udawał, że broni inżyniera - umie być czarujący w towarzystwie, dobrze tańczy i potrafi zabawić zarówno mężczyzn, jak i panie.
- O! Bawidamek z niego doskonały. I nie przebiera. Każda dla niego dobra. Za to nie na długo. A na zabawach, byle tylko miał pieniądze, zna się pierwszorzędnie.
- Jednak ma te pieniądze. Często bywa w Zakopanem, w lokalach, a to kosztuje. Kobiety też, nawet najbardziej bezinteresowne i one kosztują.
- Podobno - uśmiechnęła się pani Miedzianowska - te bezinteresowne są najdroższe.

- Tak twierdzą ludzie doświadczeni. Inżynierowi jednak starcza na wszystko pieniędzy.

- Nawet i na grę w karty.

- Lubi grać? Brydż czy poker?

- Wszystko. Byle drogo. To w ogóle gracz. Trzeba mu przyznać, że ma zimną krew i umie ryzykować. Głośna była jego historia przed chyba sześciu laty. Adam miał wówczas tyle długów, że w ogóle nie brał pensji i winien był sporo pieniędzy wszystkim kolegom biurowym i innym swoim znajomym. Wysłano go do Warszawy po odbiór jakiejś poważnej sumy.

- Podjął te pieniądze z kasy, było tego ponad sto tysięcy złotych i pojechał prosto na wyścigi.

- Przegrał wszystko?

- Nie. Przeciwnie. Wygrał. Tyle, że spłacił długi i jeszcze przez parę tygodni szastał pieniędzmi na prawo i lewo. A przecież gdyby przegrał, wyleciałby z pracy i powędrował na parę lat do więzienia.

- Miał szczęście.

- On ma zawsze szczęście. W karty przeważnie wygrywa. We Wrocławiu brzydko wyrażali się o tej passie, ale nikt go za rękę nie złapał. Ten człowiek przy swoich zdolnościach, gdyby tylko miał ambicję zostania kimś, zaszedłby wysoko. Ale on niczego poza chęcią użycia nie pragnie.

- Zna się też na radioodbiornikach, telewizorach.

- O tych zdolnościach Adama przekonałam się dopiero dzisiaj. Trzeba mu jednak przyznać, że telewizor naprawił.

- Czy pani zna nazwisko, lub choćby imię tej pani - sympatii inżyniera z „Granitu”?

- Nie, nie znam. Widziałam ją tylko kilka razy. W kawiarni, a nawet tu w „Carltonie”, bo przychodziła do Adama. Wysoka, zgrabna blondynka. Ale to już nieaktualne. Teraz na tapecie jest rudy kociak z Domu Rzemiosła.

- A czy pan Dobroźlocki znał tę blondynkę?

Pani Miedzianowska popatrzyła zdziwiona na obu oficerów. Pytanie wydawało jej się całkowicie niestosowne.

- Pan Dobroźlocki był poważnym człowiekiem. Przyjechał do Zakopanego pracować, a nie uganiać się za młodymi dziewczynami. Być może, że widział tę panią na korytarzu pensjonatu, ale jej na pewno nie znał. Też podejrzenia!

- Może to właśnie ta blondynka była sprawcą napadu na jubilera?
- Przecież już mówiłam, że ostatnio Adam jej unikał. Już tu nie przychodziła.
- Znała jednak drogę i mogła wiedzieć, że jubiler posiada w pokoju kosztowną biżuterię?

- Nie przypuszczam. Pan Dobroźlocki nie zwierzał się nam. Wprawdzie pani Zosia coś na ten temat wspominała, ale nikt tego nie brał poważnie. Nie sądzę też, żeby Adam wówczas, kiedy interesował się tą panią, nie miał nic lepszego do roboty, tylko opowiadać jej o panu Dobroźlockim. Zasadą inżyniera jest nie tracić czasu, szybko dobić do celu i szybko się wycofać.

- Czy miałyby pani nam jeszcze coś do powiedzenia?

- Nic. Nic więcej nie wiem. Nie wiem i nie domyślam się, kto mógł dokonać napadu na jubilera. Na pewno nie ja.

Po usłyszeniu sakramentalnej instrukcji, w jaki sposób należy podpisywać protokół oraz uwagi, że wolno jej iść do siebie na górę, lecz nie należy się jeszcze kłaść spać, pani Miedzianowska opuściła jadalnię.

- Cwana babka - zauważył podporucznik - ma zimną krew i nie traci panowania nad sobą. Wsiadłem na nią z góry, a ona nawet okiem nie mrugnęła.

- Jeżeli naprawdę jest niewinna, to czego miała się przestraszyć?

- W czasie przesłuchiwania każdy z nich jest niewinny. Każdy ma alibi, żaden z nich nie mógł tego zrobić. A jednak jubiler jest w szpitalu, a jego biżuteria nie wiadomo gdzie ukryta. Jeden z tych niewinnych rozwalił mu łeb. Ale który?

To pytanie podporucznika pułkownik pozostawił bez odpowiedzi. Wyraz twarzy starego oficera milicji świadczył jednak dobitnie, że jeżeli nie zna jeszcze ostatecznego rozwiązania zagadki, to jest tego bliski.

Rozdział XII

- Chciałbym pana prosić, poruczniku - zaproponował pułkownik - abyśmy raz jeszcze zastanowili się nad tajemniczym telefonem pana Dobroźlockiego. To może stanowić klucz do rozwiązania dzisiejszej zagadki. A jeśli nawet nie klucz, to poważny ślad. Obejrzyjmy ponownie książkę telefoniczną „Carltonu”.

Sierżant protokołujący zeznania zerwał się zza stołu i za chwilę przyniósł książkę, w której wczasowicze notowali swoje rozmowy telefoniczne. Obydwaj oficerowie uważnie przestudiowali wszystkie zapisy za okres ostatnich trzech tygodni, to jest od pierwszego dnia pobytu jubilera w Zakopanem.

- Dobroźlocki ani razu nie telefonował do FWP „Granit”. Jedyne dzisiaj znajdujemy jego zapis pod tym numerem. W ogóle Dobroźlocki nigdy nie korzystał z połączeń miejscowych. Wszystkie adnotacje wskazują na rozmowy z Warszawą. Powtarzają się dwa numery. Jeden wywoływano wieczorem, drugi w godzinach porannych. Nie jest żadną sztuką domyślić się, że ten pierwszy jest numerem telefonu domowego jubilera, a drugi jakiegoś urzędu, prawdopodobnie Centrali Jubilerskiej, którą złotnik regularnie informował o postępie swoich prac przy przygotowywaniu klejnotów na wystawę. Ciekawe, że dopiero dzisiaj, na piętnaście minut przed napadem, ten człowiek po raz pierwszy zadzwonił do kogoś w Zakopanem. Musiał to być terminowy i ważny telefon, skoro, jak to przypomina sobie redaktor Burski, w czasie jego pobytu w pokoju jubilera, ten kilkakrotnie sprawdzał godzinę. Widocznie miał dzwonić do „Granitu” w ściśle oznaczonym terminie.

- A może pokojówka mogłaby powiedzieć coś więcej na ten temat - zauważył podporucznik.

- Sądzę, że byłoby wskazane zapytać zarówno Rózię, jak kierownika i portiera. Może będą mogli udzielić nam informacji nie tylko o tym telefonie, ale także o zwyczajach złotnika. Może Dobroźlocki nigdy sam nie dzwonił, tylko zawsze telefonowano do niego? To nie pozostawia żadnych śladów w książce rozmów. Co znaleźliście w jego kieszeniach w pokoju?

Podporucznik wskazał kilka przedmiotów leżących na stole i przykrytych chusteczką.

- Poza bielizną i ubraniem, kompletem narzędzi snycerskich i kilkoma niedokończonymi pierścionkami i broszkami ze srebra, reszta znajduje się na stole. Przeglądałem te rzeczy przed przyjściem pana pułkownika, ale nie znalazłem niczego godnego uwagi.

Na stole leżał portfel, portmonetka, książeczka PKO, dwa długopisy, wieczne pióro, kieszonkowy scyzoryk, komplet papieru listowego i kalendarzyk. Pułkownik sięgnął po portfel i uważnie przejrzał jego zawartość. Były tam dwie pięćsetki, osiem setek, kilkadziesiąt złotych w mniejszych banknotach i kilka znaczków pocztowych. Oficer milicji odwrócił portfel i otworzył klapkę, odsłaniającą wewnętrzną kieszeń, tak zwany popularnie „zaskórniak”. Było tu trochę bonów dolarowych PKO i jeden banknot - rubel radziecki z datą sprzed pięciu laty, z dedykacją „na szczęście” i jakimś nieczytelnym podpisem.

- Nic ciekawego - powtórzył podporucznik.

Z kolei pułkownik sięgnął po kalendarzyk. Przy datach figurowały notatki - godziny, nazwy kawiarni, nazwiska. Były to widocznie odnotowane dla lepszego zapamiętania umówione spotkania. Wszystkie zapisy kończyły się we wrześniu. Rubryki października były zupełnie puste.

Na końcu kalendarzyka znajdowało się miejsce na notatki i alfabetyczny spis adresów i telefonów. Tę część kalendarzyka pułkownik przestudiował najstaranniej i na jego twarzy odzwierciedliło się rozczarowanie. Adresy i numery telefonów dotyczyły wyłącznie Warszawy.

Tymczasem do jadalni weszli sprowadzeni przez milicjanta kierownik pensjonatu, pokojówka Różia i portier Jasio.

- Proszę sobie przypomnieć, czy pan Dobroźlocki często korzystał z telefonu?

- Wszystkie telefony są zapisane w książce rozmów - wyjaśnił kierownik.

- Zdarza się, że roztargnieni goście zapominają o wpisaniu jakiejś rozmowy, a zwłaszcza miejscowej, które ulatują z pamięci natychmiast po odłożeniu słuchawki.

- To niepodobne do pana - Dobroźlockiego. On zawsze był bardzo akuratywny - Różia broniła jubilera.

- Inni, owszem, nieraz zapominają, a najczęściej pani Zosia i pan inżynier. Pan Dobroźlocki dzwonił tylko do Warszawy.

- Czyżby jubiler, który od lat przyjeżdża do Zakopanego, nie miał tutaj znajomych i przyjaciół?

- Ma ich sporo - odpowiedział kierownik - ale w tym roku pan Dobroźlocki prosił mnie od razu po przyjeździe, abym nikomu nie wspominał o jego pobycie w Giewontowie. Chciał to ukryć po prostu dlatego, aby nie przeszkadzano mu w pracy. Całymi dniami przecież jubiler nie opuszczał nie tylko willi, ale nawet swojego pokoju, pracując po czternaście godzin na dobę przy wykańczaniu biżuterii.

- I nie dzwoniło do niego z miasta?

- Nigdy nie odbierałam takich telefonów - oświadczyła Różia.

- Ani ja - dodał portier Jasio.

- W czasie, gdy Dobroźlocki telefonował, pani Różia sprzątała w jadalni, a panowie - tu pułkownik zwrócił się do kierownika i portiera - byli w kuchni na dole. Rozmównica przytyka do jadalni, oddzielona od niej tylko cienką ścianką działową. Tuż koło rozmównicy są schody wewnętrzne, prowadzące do kuchni. W tych warunkach, nie mam oczywiście na myśli podsłuchiwanie z premedytacją, nietrudno posłyszeć treść rozmów telefonicznych. Sam to stwierdziłem, kiedy sierżant

telefonował przed godziną do szpitala, aby dowiedzieć się o stan zdrowia pana Dobroźlockiego. Siedząc na krześle przy ścianie doskonale słyszałem każde jego słowo wypowiedane w sąsiedniej kabinie. Może więc państwo słyszeli chociaż jakiś fragment ostatniej rozmowy jubilera? Może pojedyncze słowa?

- Niestety, nic nie słyszałem - powiedział kierownik.

- Dopiero kiedy pan Dobroźlocki wszedł do jadalni i sam mi o tym powiedział, dowiedziałam się, że telefonował - poinformowała Różia.

- Ja również nie słyszałem - rzekł portier.

- Pan Dobroźlocki zapisał w książce rozmów, że dzwonił do domu wczasowego „Granit”. Czy ktoś telefonował kiedyś do niego stamtąd?

I tym razem padły trzy odpowiedzi przeczące.

- W „Granicie” portierem jest Stasiak Rubiś - zauważył Jasio - to mój dobry przyjaciel. Zaraz pójde do niego i dowiem się. Jeżeli to on odbierał telefon, musiał zapamiętać, kogo prosił do kabiny.

- Dziękuję za dobre chęci - odpowiedział pułkownik - ale w tej chwili dochodzi pierwsza w nocy. Trochę za późno na budzenie mieszkańców „Granitu”. Natomiast z samego rana, jeżeli będzie to jeszcze potrzebne, skomunikujemy się z panem Rubisiem. A może z „Granitu” telefonowano czasami do innych gości „Carltonu”?

- A, stale dzwoni ta pannica - powiedziała Różia.

- Jaka?

- Ta blondynka, którą inżynier kilka razy przyprowadzał do „Carltonu”. Ale on ma jej już dosyć. Kiedy dzwoni teraz, to pan Żarski ciągle tłumaczy się brakiem czasu. Nieraz każe mi mówić, że nie ma go w domu. Najpierw zawracał jej głowę, a obecnie unika. Ale czego mogła się spodziewać na wczasach?

- Pani Zosia mówiła, a pani Zosia zawsze wszystko wie, że inżynier znalazł sobie innego kociaka. Dla odmiany ruda jak marchew. Poznał ją w kawiarni.

- Ozy tylko do inżyniera były telefony z „Granitu”?

- Przynajmniej ja innych nie odbierałam. A ponieważ na dole mieszkają tylko dwie osoby, inżynier i pani profesor, ja przyjmuję telefony aż do kolacji. Po kolacji do aparatu podchodzi zwykle pan Jasio. Jeżeli był do kogoś telefon, to jedynie do pani profesor, która sama podeszła do aparatu na dźwięk dzwonka. Ale to chyba niemożliwe, bo ani razu nie widziałam, żeby pani profesor biegała do telefonu...

- Ja też nie odbierałem telefonu z „Granitu” do żadnego z gości.

- Kierowniczką „Granitu”, która jest przyjaciółką mojej żony, nieraz telefonuje tutaj, ale obecnie żona jest w Czechosłowacji, a przyjaciółka o tym wie - dodał kierownik.

Pułkownik podziękował zebranych. Gdy cała trójka opuściła jadalnię, zatarł z zadowoleniem ręce:

- Został nam jeszcze jeden klient do przesłuchania. - Tak jest - przytaknął podporucznik - sierżancie - rzekł - dawajcie tu tego malarza!

Mimo młodego wyglądu Paweł Ziemak wyjaśnił w swoich personaliach, że ma już 41 lat. Skończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie obecnie mieszka. Żonaty, czworo dzieci. Zeznawał głosem spokojnym, starał się panować nad sobą.

- Proszę nam opowiedzieć o swojej bytności w pokoju pana Dobroźlockiego.

- Po obiedzie pan Dobroźlocki pokazywał biżuterię, którą przygotowuje na międzynarodową wystawę we Florencji. W czasie studiów na Akademii interesowałem się trochę metaloplastyką. Przez pewien czas miałem nawet zamiar specjalizować się w tej dziedzinie, w końcu jednak pozostałem przy malarstwie. W każdym bądź razie znam się trochę na metaloplastyce. Przy wszystkich nie powiedziałem ani słowa krytyki, bo czyż tacy laicy mogą znać się na sztuce? Banda snobów i zwykłych mieszczan? Za to przemyślałem tę sprawę. Biżuteria była okropna. Na jej widok chciało się wyc z rozpacz. Podrabianie Odrodzenia i zwykłe szablonowe świecidełka do noszenia na szyi lub też w uszach przez podobne snobki jak nasza Zosia, tylko mające więcej pieniędzy - to świętokradztwo. A przecież z tego złota, brylantów i rubinów można było stworzyć ciekawą rzecz. Zrobiłem nawet kilka szkiców. Szczególnie jeden mi się udał.

Tu malarz sięgnął do kieszeni marynarki, wydobyl z niej szkicownik i pokazał podporucznikowi rysunek złożony z krzyżujących się linii, przedstawiających ni to piramidę, ni to jeża.

- To byłoby dopiero wspaniałe! Mam już nazwę dla tej rzeźby - „Los człowieka”.

- Był taki film radziecki.

- To co z tego?

- A jakby się to nosiło?

- Na miłość boską, skończcie wreszcie z użytkowością w sztuce! Sztuka musi być czysta, wyprana z wszelkich dodatkowych elementów jak użytkowość,

wartość, funkcjonalność et caetera. Przy tym złocie i tych kamykach kompozycja i bryła muszą być wszystkim, bo niestety, nie da się zmienić koloru.

- Słucham pana dalej - powiedział podporucznik, nie dając się wciągnąć na nieznany sobie grunt dyskusji o wyższości „czystej sztuki”.

- Po kolacji wróciłem na górę, jeszcze raz obejrzałem moje projekty i postanowiłem odbyć zasadniczą rozmowę z jubilerem. Ostatecznie w pewnej mierze ten człowiek też jest artystą i powinien zrozumieć, że fabrykując te okropności dopuszcza się strasznej zbrodni. Poszedłem więc do niego. Wy tłumaczyłem mu, że te cacka trzeba zniszczyć...

- Potłuc młotkiem?

- Właśnie! Użyłem nawet tego zwrotu. Pokazałem swoje rysunki i tłumaczyłem, w jaki sposób je odtworzyć. A pan Dobrozłocki uśmiechnął się i powiedział „a kto to kupi?”. Nic dziwnego, że na takie łączenie sztuki z pieniędzmi porwała mnie szewska pasja i powiedziałem jubilerowi kilka słów do słuchu. Aż mu w piętę poszło. Jak można łączyć sztukę z pieniędzmi?!

- Ale przecież i pan z czegoś żyje? Pracuje pan jako plastyk w jednym z zakładów przemysłowych. Wykonuje pan zamówienia dla różnych instytucji, wystawia pan rachunki za swoje prace.

- Muszę to robić, ale wcale się tym nie chlubię. Życie zmusza artystów do robienia rzeczy przeciwnych nieraz naszemu powołaniu. Co innego, gdy wykonuję zamówienie dla klienta stawiającego ściśle określone warunki, a co innego, gdy tworzę dzieło sztuki. Pracuję nad nim, nie dbając o pieniądze. Jeżeli ktoś je kupuje, dowodzi tym swojego dobrego gustu.

- Czy idąc do jubilera, zabrał pan ze sobą młotek?

- Po co?

- Żeby potłuc tę biżuterię.

- Nie brałem. Z góry przypuszczałem, że Dobrozłocki nie skorzysta z tej jedynej szansy, jaką chciałem mu dać. Ale moim obowiązkiem było powiedzieć to wszystko, co mu powiedziałem.

- Łącznie z nazwaniem go druciarzem i trzaśnięciem drzwiami?

Malarz zmieszał się.

- Np... Tak, przyznaję, trochę się uniosłem i później tego żałowałem. Mam taki porywczy charakter.

- Co pan robił po wyjściu od jubilera?

- Wróciłem do siebie, ale z tego zdenerwowania niczego nie mogłem robić. Tym bardziej, że Żarski reperował telewizor i hałasował. Posiedziałem chwilę w swoim pokoju, ale ponieważ nie mogłem tam długo wytrzymać, zajrzałem do pani Miedzianowskiej. Jej nie było i wstąpiłem do Burskiego. Opowiedziałem mu o całym zajściu, redaktor tłumaczył mi, że nie powinienem gniewać się na człowieka tyle ode mnie starszego. Zaofiarował swoją pomoc i zaproponował, że pójdzie do Dobroźlockiego i powie mu w moim imieniu, że nie żywię urazy do jubilera. Zgodziłem się. Potem chwilę gadaliśmy. Wróciłem następnie do siebie, a Burski zszedł na dół.

- Nie widział go pan więcej?

- Nie. Burski nie przyszedł do mnie po powrocie od jubilera i nie wiem, czy z nim rozmawiał. Sie- dzieliśmy wprawdzie parę godzin razem w salonie, ale w obecnej sytuacji rozmowa nie kleiła się.

- Nie mówię o Burskim. Pytałem, czy widział pan potem Dobroźlockiego?

- Nie, nie widziałem.

- Na pewno?

- Na pewno.

- W takim razie do kogo pan wchodził na kilka minut przed zejściem na telewizję?

- To nie było” na kilka minut przed telewizją, to było bezpośrednio przed zejściem na dół. Gdy inżynier nas zawiadomił, że telewizor zreperowany, schodziłem na dół. Postanowiłem po drodze zajrzeć do Dobroźlockiego i przy okazji powiedzieć mu, że już nie gniewam się na niego i może nadal robić te szkaradzieństwa. Ale jubilera nie było w pokoju i wobec tego zszedłem na dół.

- Nie było jubilera w pokoju?

- Zapukałem, a gdy nikt nie odpowiedział, nacisnąłem klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Klucz tkwił wprawdzie w zatrzasku, ale go nie otwierałem. Kiedy pukałem do drzwi, to z sąsiedniego pokoju wyszła pani Zosia. Powiedziałem do niej, że jubilera nie ma u siebie. Pani Zachwytowicz odrzekła, że „widocznie zszedł już na dół” i sama zaczęła schodzić po schodach. Poszedłem za nią. Zdziwiłem się jednak nieobecnością Dobroźlockiego w salonie. Przypuszczam, że w tym czasie kiedy pukałem do drzwi, jubiler leżał już nieprzytomny.

- Kiedy pan schodził na dół, młotek leżał na kanapie?

- Nie widziałem. Nie zwróciłem na to uwagi.

- Przesłuchaliśmy zatem jeszcze jednego niewinnego - z sarkazmem powiedział podporucznik, gdy malarz podpisał protokół i opuścił jadalnię. - Pozostaje tylko przyjąć, że pan Dobrozłocki popełnił w wyrafinowany sposób samobójstwo. Najpierw przystawił drabinę do balkonu, potem wybił szybę, wyrzucił za okno kasetę, biżuterię przemyślnie ukrył, wreszcie zszedł na dół, przyniósł stamtąd młotek, walnął się nim w głowę i miał jeszcze tyle sił, aby młotek odnieść na miejsce. Wrócił do swojego pokoju i pozwolił sobie na zemdenie dopiero po przekroczeniu progu. Czego podobnego świat nie widział! Oszaleć można!

Narzekania młodszego kolegi wywołały uśmiech na zamysłonej twarzy pułkownika.

- No tak - pokiwał głową - sytuacja jest dość skomplikowana.

- I musiało to właśnie na mnie trafić! Powinien się z tym męczyć komendant albo jego zastępca. Co za pech! Jeżeli nie znajdę przestępcy, dostanę po uszach, że zawałęm sprawę.

- A skoro go znajdziecie, cała zasługa wam przypadnie.

- Znajdę! Prędzej bym znalazł ucho od śledzia. Każdy niewinny, każdy ma alibi. Jeden drugiego kryje swoimi zeznaniami i tak w kółko.

- Proponuję, panie poruczniku, aby teraz wstąpić do pokoi pensjonariuszy, wyjaśnić i sprawdzić pewne szczegóły. Chciałbym także popatrzeć na pokój jubilera, obejrzeć drabinę i jej zwykłe miejsce. Później naradzimy się nad dalszymi krokami w tej sprawie.

- Chodźmy. Do kogo najpierw wstąpimy?

Po zapukaniu i usłyszeniu głosu inżyniera „proszę”, pułkownik nacisnął klamkę. Żarski siedział przy stole. Był ubrany. Czytał książkę.

- Podziwiam pana nerwy - zauważył podporucznik - w takiej chwili może pan zajmować się lekturą.

- To fachowa książka. Znakomita, gdy człowiek jest czymś przybity lub podenerwowany. Pozwala na oderwanie się od rzeczywistości.

- Panie inżynierze - powiedział pułkownik - chcę zadać panu kilka drobnych pytań.

To mówiąc, oficer milicji wydobył z kieszeni notes i długopis.

- Proszę. Co tylko będę mógł...

- Chodzi nam o taką sprawę. Ustaliliśmy, że pan Dobrozłocki zszedł o godzinie 20.45 na dół do telefonu. Czy wracając, nie wstąpił do pana?

- Może zajrzał, ale go nie zauważyłem. Spieszyłem się, aby zdążyć z naprawą przed rozpoczęciem „Kobry”. Stałem za aparatem, z głową wewnątrz skrzyni.

- A potem, gdy jubiler wrócił na górę, nie słyszał pan, żeby ktoś schodził na parter i wychodził z budynku?

- Nie wiem, kiedy pan Dobroźłocki telefonował. Słyszałem jakiś ruch na schodach, ale nie mogę na ten temat niczego bardziej szczegółowego powiedzieć.

Pułkownik zanotował tę odpowiedź, ale gdy zamykał notes, długopis upadł mu na podłogę i potoczył się pod nogi inżyniera. Żarski chciał usłużnie podnieść ołówek, lecz oficer był szybszy. Schylił się, odnalazł zgubę i schował ją do kieszeni.

- Czy można już kłaść się spać? Dochodzi druga w nocy.

- Bardzo nam przykro, ale jeszcze odrobinę cierpliwości. Sprawa właściwie wyjaśniona. Wszystkie ślady wskazują na napastnika z zewnątrz, lecz musimy załatwić pewne formalności. To nie potrwa długo. - Pułkownik skłonił się inżynierowi i skierował w stronę drzwi, a podporucznik wyszedł za nim.

- Nic nie rozumiem - powiedział na korytarzu.

- Mam pewną koncepcję, lecz pomówimy o niej później - zbył go pułkownik i zapukał do pokoju pani profesor. Maria Rogowiczowa leżała w ubraniu na łóżku.

- Niech pani nie wstaje - powstrzymał ją pułkownik ruchem ręki - tylko jedno słowo.

- Słucham?

- Wychodząc od pana Krabego, czy spotkała pani panią Miedzianowska?

- Nie. Po wyjściu od Krabego zeszałam na dół. Byłam zdenerwowana i samotność źle na mnie działała. Szczęśliwie przypomniałam sobie, że pani Basia prosiła o „Le Monde”. Wzięłam więc gazetę i poszałam na górę. Spotkałam panią Miedzianowska wychodzącą z pokoju Dobroźłockiego.

- Czy pani Miedzianowska miała coś w ręku? Młotek?

- Nie. Nic nie niosła.

- Czy widziała pani wtedy jubilera?

- Nie. Jedynie pani Basia mówiła, że pokój Dobroźłockiego jest pusty.

- Dziękuję pani. Przypuszczam, że za pół godziny pójdziecie państwo na zasłużony i spóźniony odpoczynek.

Na pierwszym piętrze pułkownik dokładnie obejrzał pokój jubilera. Specjalne jego zainteresowanie wzbudziła wybita szyba.

- Niech pan spojrzy, poruczniku, kawałki szkła znajdują się tylko na balkonie.

Nie ma ani ziarenka w pokoju.

- Absolutny dowód, że szyba została wybita od wewnątrz - zauważył podporucznik.

- Absolutny? Tego bym nie powiedział, niemniej bardzo ważny. W kryminalistyce nie ma, a przynajmniej jest bardzo mało takich, jak pan mówi, absolutnych dowodów. Jedną z największych pomyłek sądowych w okresie międzywojennym, proces i wyrok skazujący, opierała się właśnie głównie na tym, że wszystkie odłamki szkła z rozbitej szyby znajdowały się na zewnątrz. Okazało się później, że szyba była wtedy rzeczywiście wybita od zewnątrz. Bądźmy i tym razem raczej ostrożni w formułowaniu kategoriycznych twierdzeń.

- Pani Zosiu - zapytał pułkownik, wchodząc do pokoju aktorki filmowej - czy przypomina pani sobie taki szczegół, jak spotkanie pana Ziemaka przed drzwiami jubilera?

Pani Zachwytowicz zastanowiła się.

- Tak. Spotkałam go schodząc na dół na telewizję. Pan Ziemak stał wtedy przed drzwiami pokoju pana Dobroźlockiego. O coś mnie zapytał. Albo „czy jubiler jest u siebie”, albo stwierdził, że „nie ma” mojego sąsiada. Nie zwróciłam na to uwagi, bo nie mam wielkiego nabożeństwa do tego malarza.

- Czy gdy pani schodziła już na telewizję, młotek leżał na kanapce?

- Tak. To pamiętam. Ale nie tam, gdzie go położyłam, a w innym rogu kanapki.

- Czy drabina stała przy balkonie, kiedy pani szła po szal do Zagrodzkich?

- Nie. Drabiny nie było.

- A może pani jej nie zauważyła?

- Taką gapą nie jestem. Trudno nie zauważyć tej drabiny. Niech panowie patrzają - to mówiąc pani Zosia pociągnęła za sznur od zasłony. Za oszklonymi drzwiami balkonu ukazała się doskonale widoczna balustrada z opartą o nią drabiną.

- Stoi prawie na wprost moich drzwi. Musiałabym ją zobaczyć, choćbym była ślepa.

- Rzeczywiście, trudno jej nie spostrzec.

- A czy nie doszły panią jakieś odgłosy z sąsiedniego pokoju mniej więcej pięć minut przed zejściem na „Kobrę”?

- Niczego nie słyszałam. Złościło mnie, że chłopcy jeszcze nie przyszli. Mam małe radio japońskie i z nudów i z tej złości kręciłam aparacikiem, pragnąc złapać

jakąś muzykę. Widocznie ten trzeszczący telewizor przeszkadzał w odbiorze, bo radio jedynie warczało. Mało nim nie rąbnęłam o podłogę. W końcu wzięłam płaszcz i szal i wyszłam z pokoju, imimo że początkowo miałam zamiar tutaj czekać na moją gwardię.

- Pan Dobroźlocki zdecydował się dopiero dzisiaj pokazać państwu swoją biżuterię, a pani już kilka dni temu opowiadała Pacynie i Szafarowi, że zjawi się na dansingu u „Jędrusia” przystrojona w piękną kolia. Chłopcy zeznali, że użyła pani takiego zwrotu: „wszystkie baby szlag trafi”. Na jakiej podstawie mówiła pani o tym?

Pani Zachwytowicz wcale się nie zmieszała.

- Pan Dobroźlocki bardzo mnie lubił. Nieraz odwiedzałam go i od dawna wiedziałam, że wykonuje jakąś tajemniczą robotę. Zresztą, jak się orientuję, jubiler wspominał o tym, oczywiście w zaufaniu, nie tylko mnie, lecz również, innym mieszkańcom „Carltonu”. Nie wiedziałam nad czym pracuje i nie domyślałam się, że ta biżuteria jest tak cenna. Niemniej orientowałam się, że to coś ze złota i drogich kamieni.

- Swoim chłopcom wyraźnie mówiła pani o kolii. - Właśnie chcę to wytłumaczyć. Przed czterema dniami weszłam do pana Dobroźlockiego. Po prostu miałam ochotę na zjedzenie czekoladki, a wiedziałam, że jubiler zawsze ma u siebie różne smakołyki, bo lekarze kazali mu rzucić palenie. Gdy weszłam do pokoju, złotnik siedział przy stole i trzymał w ręku piękną brylantową kolia. Widziałam ją tylko przez moment, bo pan Dobroźlocki natychmiast ją schował mówiąc, że jeszcze nie gotowa. Zdażyłam jednak zauważyć, że to klejnot przedziwnej piękności. Przyszedł mi wtedy do głowy pomysł, aby iść na dansing ustrojona w tę kolia. Z miejsca więc poprosiłam jubilera o jej pożyczenie.

- I pan Dobroźlocki na to się zgodził?

- W każdym razie ostatecznie nie odmówił. Roześmiał się i powiedział, że powrócimy do tego tematu, kiedy kolia będzie gotowa. Dlatego zmobilizowałam swoją gwardię i umówiłam się na dansing.

- Nie mając żadnej pewności, że klejnot będzie pożyczony?

- Nie wyobrażałam sobie, że pan Dobroźlocki będzie tak źle wychowany i potrafi odmówić kobiecie takiego drobiazgu. Dał mi wprawdzie bardzo ładne wyroby ze srebra, ale sami panowie przyznacie, że to nie to samo. Byłam wściekła na niego, kiedy wyszłam z jego pokoju bez kolii, a jedynie z tymi srebrnymi świecidełkami. Kiedy go zobaczyłam leżącego we krwi na podłodze, w pierwszej chwili pomyślałam,

że Bóg go skarał za tę nieżyczliwość wobec mnie.

- A może nie Bóg, lecz pani w jego imieniu użyła młotka, przykładając go do głowy jubilera? - zapytał podporucznik.

- Chętnie zrobiłabym panu przyjemność i przyznała się do tej zbrodni - odpowiedziała z wisielczym humorem pani Zosia - ale naprawdę nie mogę. Pan sam nie wierzy w mój udział w napadzie, prawda?

Podporucznik nic nie odpowiedział, a pułkownik skłonił się aktorce:

- Opuścimy teraz pani gościnne progi i odwiedzimy pana Krabego. Niedługo poprosimy wszystkich państwa na dół, aby skończyć wreszcie to nieszczęsne śledztwo. Jeszcze nieco cierpliwości.

W sąsiednim pokoju pułkownik poprosił literata, aby zademonstrował, w jaki sposób wyglądał przez szybę. Pan Krabe podszedł do zapuszczonej na drzwiach zasłony i nieco jej uchylił. Stojąca w pobliżu uliczna latarnia jarzeniowa i światła palące się w sąsiednich pokojach wyraźnie oświetlały balkon i drabinę opartą o balustradę.

- Panowie widzą, że nie można było nie zauważyć tej drabiny.

Następną wizytę oficerowie milicji złożyli redaktorowi Burskiemu, mieszkającemu na drugim piętrze.

- Przepraszam, tylko dwa pytania - rzekł na wstępie pułkownik.

- Ależ proszę! Jeśli trzeba, nawet więcej.

- Czy ktoś wchodził do Dobroźlockiego podczas pańskiego tam pobytu?

- Zapomniałem o tym panom powiedzieć. Wszedł na chwilę pan Krabe, ale widząc, że jubiler nie jest sam, przeprosił i natychmiast wyszedł. Uleciało mi to z głowy przy składaniu zeznań.

- Ozy zauważył pan, która była godzina, gdy razem z panem Dobroźlockim wychodziliście z jego pokoju?

- W czasie naszej rozmowy jubiler kilkakrotnie spoglądał na zegarek. Pytałem go nawet, czy wychodzi lub ma umówione spotkanie. Odpowiedział, że nie wychodzi, lecz musi załatwić terminowy telefon. Zwykle tak bywa, że kiedy jedna osoba spojrzy na zegarek, to druga odruchowo robi to samo i dlatego dobrze pamiętam, że wyszliśmy z pokoju kwadrans przed dziewiątą.

Kiedy oficerowie milicji opuścili pokój dziennikarza, podporucznik spostrzegł ze zdumieniem, że pułkownik omija inne pokoje i kieruje się w stronę schodów.

- A tych dwoje - Miedzianowska i Ziemak?

- Oni nam nic więcej nie powiedzą. Chodźmy na dwór.

Deszcz przestał padać, lecz było bardzo wilgotno. Pułkownik podszedł do drabiny i obejrzał ją w świetle latarki elektrycznej, zapalanej przez jednego z milicjantów.

- Nie znajdziemy na niej niczego ciekawego. Drabina jak drabina. Gdyby sprawca napadu nie używał rękawiczek i tak wszelkie ślady zatarłby deszcz. A gdzie ona zwykle stoi?

Milicjant poprowadził oficera brukowaną trylinką drogą do sąsiedniej, zupełnie ciemnej willi „Sokolik”. Obeszli fronton pensjonatu i znaleźli się po przeciwnej stronie, na sporym placyku porośniętym rzadkimi drzewami. Milicjant wskazał ścianę pod werandą.

- Tu leżała, oparta bokiem o dom. Niech pan pułkownik nie podchodzi, bo tam glina i ślisko. Szukaliśmy śladów i jest ich aż za dużo. Wszystko na deszczu podeszło wodą i nie można stwierdzić, które wcześniejsze, a które ostatnie. Drabiny często używano.

Wracając do „Carltonu”, pułkownik jeszcze rzucił okiem na długi taras, biegnący wzdłuż południowej ściany budynku pod balkonem pierwszego piętra. Rzeczywiście, dla młodego, wysportowanego człowieka zeskoczenie z balkonu na ten taras nie przedstawiało żadnego problemu. Z tarasu czterema schodkami schodziło się na chodnik okalający willę.

- No to wracajmy - powiedział Lasota.

W jadalni usiadł wygodnie na swoim krześle z miną człowieka, któremu udało się rozwiązać trudne i skomplikowane zadanie.

- Sprawa już jasna - zwrócił się do podporucznika - muszę panu złożyć gratulacje. Świetnie poprowadził pan śledztwo. Przesłuchując mieszkańców „Carltonu” i tych dwóch miejscowych chłopców, udało się panu wszystko z nich wyciągnąć. Tak narzekał pan na swój pech, a tymczasem będzie pan zbierał zasłużone pochwały.

Podporucznik z niekłamanym zadowoleniem spojrział na starszego kolegę. Nie wiedział tylko, czy pułkownik kpi z niego, czy też mówi poważnie. Ten zaś mówił dalej:

- Pozostaje nam tylko jedno, aresztować sprawcę napadu i odebrać biżuterię. Macie chyba na posterunku jakąś kasę pancerną, w której można byłoby ją przechować aż do prokuratorskiej decyzji o zwróceniu klejnotów właścicielowi -

Centrali Jubilerskiej. Mam nadzieję, że zdążą je wysłać na wystawę do Florencji. Szkoda, że biedny Dobroźłocki nie będzie mógł wybrać się razem ze swoimi dziełami sztuki. Poleży chyba dłuższy czas w szpitalu. Zresztą, boję się, czy nawet najzdrowszy pojechałby do Włoch. Na pewno amatorów pięknej wycieczki na koszt państwa było tam więcej. Ja również z przyjemnością obejrzę te świecidełka. Ostatecznie nieczęsto zdarza się, nawet w naszym fachu, oglądać biżuterię wartości przeszło miliona złotych. A w dodatku mającą taką historię. Oczywiście wie pan dobrze, kto jest sprawcą rabunku?

Po minie pułkownika widać było, że pytanie to zadaje raczej retorycznie i spodziewa się przeczącej odpowiedzi. Podporucznik jednak odrzekł, wbrew przewidywaniu starszego kolegi:

- Wiem, gdzie jest schowana biżuteria.

- O? - brwi pułkownika uniosły się z lekka.

- Tak. Wiem, gdzie jest kolia. Wprawdzie doszedłem do tego raczej intuicją, niż rozumem, ale mogę ją znaleźć w ciągu jednej minuty.

- Wiedząc, gdzie są klejnoty, zna pan jednocześnie sprawcę napadu?

- Tak - potwierdził podporucznik - chyba znam. Wiem również, kto i kiedy podstawił drabinę pod balkon. Domyślam się, czego pan pułkownik szukał, odwiedzając po kolei pokoje podejrzanych. Wiem, w którym pokoju znalazł pan tę poszukiwaną rzecz.

Pułkownik uśmiechnął się.

- Co to było?

- Glina. Mała drobina żółtej gliny.

Lasota przestał się śmiać. W spojrzeniu, jakim obrzucił młodszego kolegę, było zdziwienie, ale i podziw.

- Kiedy pan wie i to, wie pan wszystko - powiedział.

- Chyba wiem - zgodził się podporucznik - ale raczej wyczuwam, niż wiem.

Boję się, że nie mógłbym tego dowieść.

- Tylko się panu tak zdaje. Te zeznania...

- Właśnie, te zeznania najbardziej zbijają mnie z tropu. Według nich każdy podejrzany w świetle następnych wyjaśnień staje się niewinny. Z jednym wyjątkiem. Tak mi się zdaje.

- A jednak te zeznania dają nam dokładny obraz zdarzeń, jakie toczyły się od kolacji, to jest od godziny 19.30 aż do chwili, kiedy pani Rózia znalazła jubilera

nieprzytomnego na podłodze. Niech pan tylko zastanowi się nad tymi wszystkimi protokołami, pomyśli logicznie i przypomni sobie jeszcze raz treść zeznań. Wówczas swoją intuicję zastąpi pan żelazną logiką. Wniosek sam się nasuwa. O pomyłce nie może być mowy. Napastnik został całkowicie zdemaskowany. Najwyższy czas go aresztować.

- Ja sprawę rozwiązałem raczej od tyłu - roześmiał się podporucznik - wiem, gdzie są brylanty, a więc wiem, kto je tam mógł schować. Ten, kto schował, jest napastnikiem. Dlatego posłużył się młotkiem i podstawił drabinę. Dlatego ma na obuwiu maleńką grudkę gliny.

- Zauważył pan ją?

- Jeszcze w momencie, kiedy w tym pokoju przesłuchiwałem go. Ta glina nie dawała mi spokoju. Nie mogłem wytłumaczyć jej obecności na bucie. Przecież deszcz zaczął padać dopiero po napadzie. Kiedy jubiler już leżał nieprzytomny na podłodze swojego pokoju. Przedtem było zupełnie sucho, bó nie padało od przynajmniej pięciu dni. Dopiero kiedy zauważyłem, że pan pułkownik również szuka czegoś, utwierdziłem się w przekonaniu, że jestem na dobrym tropie.

- Brawo - pułkownik skłonił głowę. W jego głosie nie wyczuwało się najlżejszego akcentu zawiści. Ostatecznie miały do niej nawet prawo. Oto do skomplikowanego dochodzenia zaprasza się asa służby wywiadowczej i to aż z samej Komendy Głównej MO. As przybywa, prowadzi dochodzenie i stwierdza, że jego obecność właściwie nie była wcale potrzebna, bo młody podporucznik, zaledwie pierwszy miesiąc na stażu, dochodzi do tych samych wniosków. Jednak pułkownik Lasota w tej sytuacji umiał się zdobyć na gest i niczym nie zdradził przed młodszym kolegą pewnego rozczarowania osobistego.

- Przyznam się - ciągnął podporucznik - że zapraszałem pana pułkownika z bardzo mieszanymi uczuciami. Bałem się, że się zbłąźnię i dostanę po uszach od komendanta. Z drugiej też strony grała i ambicja osobista - przyjdzie taki z Komendy Głównej i zagarnie sobie całą zasługę. A ja nic.

Pułkownik uśmiechnął się, słysząc te szczere wywody.

- Mam przyjaciela z ławy szkolnej. Poszedł do Szkoły Oficerskiej Lotnictwa. Opowiadał mi, że umiał już doskonale pilotować samolot, pod warunkiem, że instruktor siedział na tylnym stanowisku. Nawet nie dotykał sterów. Wystarczyła sama jego obecność. Co innego pierwszy samodzielny lot. Mój przyjaciel omal nie rozwalął maszyny przy lądowaniu, a w całym locie popełnił masę najprostszyc

błędów. Bo instruktora nie było na tylnym siedzeniu. Dlatego jestem bardzo wdzięczny panu pułkownikowi za jego obecność podczas mojego pierwszego śledztwa.

- Spełniałem rolę tego instruktora z odrzutowca?

- Sam, nie widząc i nie słysząc pana pułkownika, na pewno popełniłbym masę błędów i najprawdopodobniej nie wykryłbym sprawcy.

- Musi pan jednak przyznać, poruczniku, że jako instruktor nie za często dotykałem sterów.

- Tym bardziej jestem panu wdzięczny.

- No to cieszę się, że pan nie ma do mnie żalu i z przyjemnością myślę o łóżku, czekającym mnie w moim pokoju. Zrobiło się już bardzo późno. Do widzenia, podporuczniku. Rad jestem z poznania pana.

- Panie pułkowniku... - podporucznik raczej wyjąkał niż powiedział te słowa. Lasota, który zbliżał się do młodszego kolegi z wyciągniętą ręką zatrzymał się:

- Jakie jeszcze wątpliwości, poruczniku?

- Wątpliwości żadnych nie mam. Ale wielką prośbę.

- Słucham?

- Trzeba aresztować sprawcę napadu. Ja... ja nigdy tego jeszcze nie robiłem. To taka poważna sprawa. Boję się zblźnić. Tym bardziej, że to wszystko przecież ludzie wpływowi i ustosunkowani. Mam straszną treść.

- I chcecie, żeby to ja zrobił za was tę brudną robotę?

- No, nie brudną. Przecież aresztujemy zbrodniarza. Tylko że ja, ja... - podporucznik znowu zaczął się jękać.

- Dobrze. Wprawdzie ja też nie lubię zamykać ludzi, ale zrobię to tym razem za was. Stawiam za to jeden warunek.

- Słucham?

- Proszę pana, aby w sporządzonym przez niego raporcie pominięta została moja osoba. Jestem na urlopie, znalazłem się tutaj tylko dzięki uprzejmemu zaproszeniu do śledztwa. Więc po co mam mieć jeszcze dodatkowe kłopoty. Ludzie nie lubią wciągania ich do takich spraw, nawet ci, którzy są milicjantami. Zgoda?

- Jeśli pan pułkownik sobie życzy... Ale przecież za rozwiązanie takiej sprawy na pewno będzie pochwała, a może nawet nagroda pieniężna? Czy nie byłoby lepiej, aby jednak pan pułkownik oficjalnie figurował jako prowadzący śledztwo? -

podporucznika nadal nurtowały wątpliwości.

- Drogi kolego, taka pochwała już mi nic nie da, jedna więcej, jedna mniej. Mój wykaz służbowy nie przedstawia się najgorzej. A, poza tym ja naprawdę nie prowadziłem śledztwa, tylko pan. Siedziałem z tyłu i przysłuchiwałem się. Że bardziej rozumowo niż intuicją, odwrotnie niż pan, wpadłem na rozwiązanie tej zagadki, to raczej kwestia wprawy. Przemyślałby pan całą sprawę, przeczytał ponownie wszystkie zeznania i przestałby pan traktować to zdarzenie jak jakąś łamigłówkę nie do rozwiązania. Stanie się zadość sprawiedliwości, jeżeli cała zasługa spłynie na pana i na jego ludzi.

Podporucznik był zmieszany.

- przecież nie mogę przyznawać się do cudzych zasług.

- Jakie tam zasługi!

- Mówiłem - wtrącił sierżant Leszczyński - że pan pułkownik to złoty chłop. Przyznam się teraz, że to ja namówiłem naszego porucznika, aby zaprosić pana pułkownika. Porucznik pana nie znał i obawiał się, że pan nie pomoże, a za to złoży raport, że w Zakopanem najgłupszej sprawy sami nie potrafią załatwić, tylko ściągają z domów wczasowych ludzi przebywających tam na urlopie, aby za nich pracowali.

Pułkownik uśmiechnął się.

- Nie dziwię się obiekcjom porucznika. Ludzie są różni, także w naszym aparacie. Ale teraz me sprzeciwiajcie się, kolego Klimczak i kończmy tę robotę. Czas, aby ci ludzie poszli spać. Mnie samego również ciągnie do poduszki.

- Jeżeli pan pułkownik sobie życzy...

- Właśnie życzę sobie. I ostatnia prośba: zbierzcie wszystkich w salonie. Jeżeli mam tłumaczyć, kto jest sprawcą napadu i w jaki sposób się zdemaskował, to mieszkańcom „Carltonu” i tym dwóm sportowcom należy się pewna rekompensata za przeżycia, kłopoty i bezsenną noc. Tym bardziej, że swoimi zeznaniami przyczynili się przecież do rozwiązania zagadki. Na wszelki wypadek niech dwóch ludzi stanie na dworze pod oknami salonu. Reszta wewnątrz i na korytarzu. Ostrożność nigdy nie zaszkodzi. Samochód macie?

- Mamy - roześmiał się sierżant. - Czeka na podwórzu. Bransoletki też się znajdują.

- Nie lubię aresztować, ale trudno, zrobię tę robotę za pana, poruczniku.

Rozdział XIII

Oficerowie milicji weszli do salonu. Na twarzach zebranych malowało się zmęczenie, zdenerwowanie i jednocześnie zaciekawienie. Obecni byli wszyscy goście „Carltonu”, kierownik, pokojówka i portier. Pułkownik usadowił się wygodnie w fotelu i zaczął:

- Kryminalistyka zna pojęcie „przestępstwa doskonałego”, zbrodni, która pozostaje bezkarna. Popelniona ona jest w ten sposób, że sprawcy niczego nie można udowodnić. Pojęcie „zbrodni doskonałej” jest naturalnie taką samą abstrakcją, jak w matematyce kwadratura koła. Zdarza się czasem, przyznając, że wskutek błędów śledztwa, a ludzie są przecież tylko ludźmi i mogą się mylić, lub zbyt małej ilości dowodów, niektóre przestępstwa przez pewien czas pozostają bezkarne. Ale w końcu, niekiedy po wielu latach dopiero zbrodniarza dosięga ręka sprawiedliwości. Problem kwadratury koła w ciągu przeszło dwóch tysięcy lat został dokładnie opracowany. Najwięksi matematycy dowiedli, że jest to niemożliwością. Mimo to wielu nam współczesnych zajmuje się tymi obliczeniami, uważając, że można je rozwiązać. Chociaż prawa fizyki znane są od wieków, nadal żyją wśród nas maniacy, zasypujący urzędy patentowe różnymi „perpetuum mobile”, maszynami mającymi wytwarzać energię z niczego.

Pułkownik poprawił się w fotelu i mówił dalej:

- Również w Zakopanem znalazł się zbrodniarz, który sądził, że uda mu się popełnić przestępstwo doskonałe. Opracował swój plan bardzo szczegółowo i przystąpił do jego realizacji. Wydawało mu się, że nie popełnił ani jednego błędu. Ale to tylko w jego mniemaniu. Wszystko obliczył, niczego nie zaimprovizował. Każdy jego krok był precyzyjnie przemyślany. Nie przewidział jedynie prostego przypadku.

Z niezwykłym zainteresowaniem słuchano słów oficera milicji. Nawet wielka mucha spacerująca po szklanej powierzchni telewizora zdawała się słuchać tych wywodów, bo zatrzymała się w miejscu.

- Cel przestępstwa był jasny. Chodziło o zagarnięcie biżuterii wartości około miliona złotych. Motyw pieniężny jest tu zupełnie prosty. Pasuje do każdego z nas, także do mnie. Milion to w naszych warunkach kolosalna suma. Urządza każdego do końca życia. Uwalnia od trosk i kłopotów. Toteż każdy, kto wówczas znajdował się w „Carltonie” lub mógł się tam znajdować, musiał być przez nas podejrzany. Moment zbrodni został wybrany po głębszym namyśle. Wszyscy mieszkańcy pensjonatu byli wówczas w domu i albo siedzieli w swoich pokojach, albo odwiedzali się wzajemnie. Była to zresztą ze strony przestępcy tylko asekuracja „na wszelki wypadek”, gdyż

jego zasadniczy plan zakładał zupełnie co innego.

Sam czas wykonania akcji wybrano starannie, o ściśle wyznaczonym czasie. Zbrodniarz wiedział, że jubiler na kilka minut opuści swój pokój, sam go bowiem prosił o załatwienie telefonu w jego imieniu. Bardzo dobrze orientował się, że mieszkańcy „Carltonu” opuszczając swoje pokoje, nie zabierają kluczy, a najwyżej przekręcają je i pozostawiają w zamkach. Przestępca zapewne nieraz sprawdzał, czy jubiler postępuje w ten sam sposób. Obserwując jubilera, amator jego brylantów czekał na swój dzień. Okazja zdarzyła się dzisiaj, a właściwie biorąc pod uwagę, że w tej chwili mamy drugą w nocy, wczoraj. Dobroźłocki skończył swoją robotę i zademonstrował klejnoty mieszkańcom „Carltonu”. To było sygnałem, że obmyślany zawczasu plan należy jak najszybciej realizować. Dodatkową korzystną okolicznością było to, że dzieci kierownika wyciągnęły młotek ze skrzynki z narzędziami i porzuciły go później na schodach. Dało to okazję pani Zachwytowicz do przyniesienia przyszłego narzędzia zbrodni do hallu i umieszczenia go na widocznym miejscu, na czerwonej kanapce.

Oczy zebranych skierowały się na panią Zosię. Ta gwałtownie się zaczerwieniła i chciała coś powiedzieć. Wstała z krzesła, lecz pułkownik dał znak ręką, aby mu nie przerywać.

- Jak każdy klasyczny plan strategiczny - snuł swoją opowieść pułkownik - tak i ten, opracowany przez naszego zbrodniarza, miał dwa warianty. Główne założenie przewidywało, że na podstawie znalezionych rekwizytów zbrodni władze śledcze dojdą do przekonania, iż przestępca wdarł się do „Carltonu” z zewnątrz. W przypadku niepowodzenia tej tezy, napastnik przygotował inny wariant rozwiązania: podejrzanymi będą w mniejszym lub większym stopniu wszyscy mieszkańcy pensjonatu, a najmniej on sam. Jego alibi wszyscy jednogłośnie stwierdzą. Mając co najmniej dziesięciu podejrzanych i ani jednego winnego, milicja będzie zmuszona w końcu umorzyć sprawę. Jubiler nie domyślał się nawet, że pokazując klejnoty, wydaje na siebie wyrok śmierci. Z tą chwilą zbrodniarz rozpoczyna swoją działalność, której ostatnim akordem będzie cios młotkiem... Właściwie nie ostatnim. Ostatnim czynem przestępcy było... Ale o tym pomówimy później. Na razie zajmijmy się decydującymi o powodzeniu planu dziesięcioma minutami między godziną 20.45 a 20.55.

Przestępca wie, że jubiler opuści pokój i zejdzie na dół. Czeką na to. Słyszysz skrzyp otwieranych drzwi i kroki jubilera na schodach. Poza tym w całej willi jest zupełnie cicho. Tylko z salonu dochodzą odgłosy naprawianego telewizora. Znak, że

inżynier Żarski gorączkowo pracuje, aby mieszkańcom „Carltonu” umożliwić obejrzenie „Kobry”. Wszystko odbywa się zgodnie z przewidywaniami napastnika. Chwyta on za młotek, wchodzi do pokoju Dobroźlockiego, zamyka za sobą drzwi i gasi światło. Nie próbuje nawet szukać biżuterii, aby ją ukraść. Ten człowiek z młotkiem w ręku zdecydowany jest zabić. Trup nie mówi, nie obciąży go nawet cieniem poszlaki. Dopiero gdy po otrzymaniu morderczego ciosu jubiler osuwa się na podłogę, przestępca przystępuje do roboty. Przede wszystkim zamyka drzwi na zatrask. Jeśli teraz nawet ktoś zapuka do jubilera, to odejdzie po stwierdzeniu, że drzwi są zamknięte. Kasetka jest w szafie.

O tym napastnik wie doskonale. Za chwilę ma ją w ręku. W kilka sekund klejnoty owinięte w irchowe ściereczki znajdują się już w kieszeni. Teraz zbrodniarz podchodzi do drzwi balkonowych. Wygląda na zewnątrz. Na balkonie jest pusto. Jedno uderzenie i szyba wylatuje z cichym brzękiem. Zamach ręki - szkatułka leci na trawnik. Chwila nadśluchiwania, czy na korytarzu nikogo nie ma i przestępca wyślizguje się z pokoju, nie zapomniawszy przekręcić klucza w zamku. Tylko dlatego w minutę później pan Ziemak nie znalazł rannego jubilera na podłodze. Zapukał, nacisnął klamkę, drzwi nie ustąpiły i malarz zszedł na dół.

Spojrzenia zwróciły się z kolei w stronę kanapy, na której siedział Paweł Ziemak obok redaktora Burskiego, pani profesor i Jerzego Krabe. Malarz potwierdził:

- Rzeczywiście tak było!

- Sporo trudności - ciągnął pułkownik - sprawiło nam wyjaśnienie telefonu.

Jak to się stało, że pan Dobroźlocki, który w czasie całego swojego pobytu w Zakopanem ani razu do nikogo nie zadzwonił, nagle, na kilka minut przed napadem, schodzi na dół i telefonuje do domu wczasowego „Granit”. Mało tego, z zegarkiem w ręku pilnuje, aby zadzwonić o ściśle określonej godzinie. To nam dziwnie nie pasowało do trybu życia jubilera. Dopiero pani Różia wyjaśniła, że pan Dobroźlocki był aż do przesady człowiekiem akuracym i punktualnym. I tę cechę swojej ofiary morderca potrafił znakomicie wyzyskać. Mógł bowiem zrealizować w pełni swój cel pod warunkiem, że o ściśle określonej godzinie złotnika nie będzie w pokoju. Chodziło o to, aby napastnik mógł niepostrzeżenie tam się ukryć i zacząć z młotkiem w ręku. Przyszły napastnik wynajduje więc pierwszy lepszy powód i prosi pana Dobroźlockiego, aby zadzwonił on o 20.45 pod podany mu numer, właśnie do „Granitu”. Jest spokojny. Wie, że pedantyczny jubiler nie spóźni się nawet o minutę. Wtedy zbrodniarz chwyta narzędzie mordu i kieruje swoje kroki na pierwsze piętro.

Idzie zabić.

Po tych słowach oficera milicji w salonie zapanowała całkowita cisza.

- Powtarzam - mówił dalej pułkownik - celem przestępcy było zabójstwo.

Gdyby nie przewidziany przez napastnika przypadek, jubiler już by nie żył. Zbrodniarz dobrze wszystko obliczył. Nie przewidział jedynie, że pan Dobrozłocki po wypiciu herbaty na kolację poprosi o przyniesienie następnej szklanki do swojego pokoju. Ktoś z państwa słusznie zauważył w czasie składania zeznań, że herbata uratowała życie jubilerowi. Gdyby nie to, pani Różia nie poszłaby na górę i nie zrobiła tego przerażającego odkrycia. Nikogo nie zdziwiłaby nieobecność złotnika na „Kobrze”. Nie lubił telewizji i rzadko ją oglądał. Dopiero więc nazajutrz zauważono by nieobecność Dobrozłockiego na śniadaniu. Wtedy ktoś ze służby udałby się do jego pokoju i znalazł jubilera martwego. Zmarłby chociażby z upływu krwi. Na szczęście, dzięki szklance płynu, rannego znaleziono zaledwie w dziesięć minut po zbrodni. Wprawnie nałożony przez panią profesor opatrunek i szybki przyjazd pogotowia uratowały życie człowiekowi. Po powrocie do zdrowia pan Dobrozłocki powinien oprawić w złoto okruchy szkła z rozbitej szklanki i przechowywać jak najcenniejsze klejnoty, a pani Rogowiczowej gorąco podziękować.

Pod wpływem spojrzeń zebranych, z kolei pani profesor spiekła raka.

- Gdyby ciało odkryte zostało rankiem, milicja znalazłaby drabinę opartą o balkon i szkatułkę na trawniku. Nie znalazłaby natomiast młotka. Leżałby dokładnie już wytarty w skrzynce w kuchni wraz z innymi narzędziami. Podejrzenia padłyby na pewnych młodych ludzi, którzy z tej drabiny często korzystali w celach wiadomych tylko sobie.

Rozległ się cichy szmer śmiechu. Pani Zosia śmiała się najgłośniejsze. Za to jej „górska gwardia” miała miny godne pożałowania.

- Być może przestępca w jakiś sposób, choćby przez podrzucenie jednego, najmniej cennego pierścionka, jeszcze bardziej wplątałby tych młodych ludzi w sprawę o zabójstwo. Trudno coś o tym teraz powiedzieć. To są tylko moje podejrzenia. A może zadowoliliby się tym, że milicja uwierzyła w jakiegoś nieuchwytnego bandytę, który późnym wieczorem lub nocą wdarł się do „Carltonu”? Bo nawet przy dość dokładnym ustaleniu chwili zgonu, milicja nie zdołałaby ustalić godziny popełnienia morderstwa. Jak długo żyłby jubiler po zadaniu ciosu? Na to pytanie najlepszy lekarz nie umiałby odpowiedzieć. Mieszkańcy pensjonatu staliby poza wszelkimi podejrzeniami. Oglądali program telewizyjny, potem wrócili do

swoich pokoi i poszli spać. Taka była pierwsza wersja napadu, którą przestępca chciał zasugerować milicji.

Szklanka herbaty przekreśliła te rachuby. Automatycznie przeto zaczął działać inny wariant znakomicie zresztą, muszę to przyznać jako fachowiec, opracowanego planu. Nie udało się na czas sprzątnąć młotka, wobec tego podejrzanymi będą wszyscy mieszkańcy „Carltonu”, oraz góralska gwardia pani Zosi, zjawiająca się jak na zamówienie w parę minut po wstrząsającym odkryciu. Poza tym, czego zbrodniarz prawdopodobnie nie przewidywał, pan Jacek Pacyna zjawił się w „Carltonie” przed napadem, aby załatwić pewne sprawy osobiste, co rzuciło na niego dodatkowe podejrzenia.

Jacek miał minę wręcz przerażoną, a pani Zosia znowu się roześmiała.

- Muszę państwu wytłumaczyć, że zbrodniarz miał zamiar usunąć później narzędzie mordu. Młotek zostałby dokładnie oczyszczony i powędrowałby do skrzynki. Dlatego napastnik nie zostawił młotka w pokoju, ani nie wyrzucił go przez okno razem ze szkatułką. Gdyby pani Różia nie odkryła tak wcześnie tej zbrodni, milicja nigdy nie byłaby w stanie stwierdzić, czym zadano jubilerowi morderczy cios. Posługując się młotkiem, zbrodniarz musiał jednak pamiętać o położeniu go z powrotem na kanapce. Wcześniejsze zniknięcie tego przedmiotu mogłoby się komuś z państwa zbyt wcześnie rzucić w oczy. Poza tym napastnik dysponował bardzo krótkim czasem, przecież jednocześnie chodziło mu o dobre ukrycie klejnotów. Dlatego też młotek wrócił na razie na kanapkę, co później pozwoliło panu porucznikowi zidentyfikować go jako narzędzie zbrodni.

- Ale drabina? - zauważył redaktor Burski.

Drabina wyklucza całkowicie udział mieszkańców „Carltonu” w przestępstwie.

- Pomysł z drabiną był chyba najgenialniejszym posunięciem zbrodniarza. Miało ono podwójny cel. Jeden - może milicja nie zauważy młotka leżącego jeszcze na kanapce, a wtedy koncepcja, iż napastnik przyszedł z zewnątrz, będzie nadal prawdopodobna. Drugi - jeżeli znajdzie młotek i ustalą, że to nim rozbito głowę jubilerowi, drabina spowoduje największe zamieszanie przy prowadzeniu śledztwa. Nie będzie po prostu wiadomo, co robić z tym fantem. Lecz i tutaj przestępca nie przewidział pewnych okoliczności. Na dworze było ciemno, napastnik nie przypuszczał, że ktoś wyjdzie na balkon, a ktoś drugi będzie spoglądał na ten sam balkon przez oszklone drzwi swojego pokoju. W ten sposób milicja mogła ustalić, że

w momencie popełniania zbrodni drabiny pod balkonem nie było.

- Nie było? Czy to możliwe? Skąd ta pewność? - rozległy się pytania z różnych stron salonu.

- Ustaliliśmy to ponad wszelką wątpliwość, że w chwili popełniania zbrodni drabiny pod balkonem nie było. To bardzo ważna okoliczność. Szczególnie dla pani Miedzianowskiej i naszych dwóch sportowców, gdyż wyklucza ich udział w przestępstwie. Fakt, że drabiny pod balkonem nie było, stwierdziły dwie osoby, pani Zachwytowicz i pan Krabe. Potwierdził to również portier, który zeznał, że gdy biegł do „Sokolika”, aby telefonicznie zaalarmować pogotowie, nie spostrzegł drabiny, chociaż musiałby koło niej przechodzić dwukrotnie, w drodze do sąsiedniej willi i wracając do „Carltonu”. Przyznaję, że początkowo nie zwróciliśmy uwagi na ten szczegół zeznań.

- Na pewno drabiny nie było! - przytaknął pan Jasio. - Od razu chciałem to powiedzieć, kiedy pan kierownik przyszedł do salonu i oznajmił, że milicja znalazła drabinę opartą o balustradę.

- Jednocześnie ustaliliśmy jeszcze jedną bardzo ważną rzecz. Wykluczone było popełnienie zbrodni w ciągu tych paru minut, jakie upłynęły między spotkaniem się mieszkańców w salonie dla obejrzenia „Kobry”, a pójściem pani Rózi na górę z herbatą. Bo przecież teoretycznie i taką możliwość trzeba brać pod uwagę. Wtedy wszyscy obecni w salonie mieliby niczym nie dające się podważyć, murowane alibi. Morderstwa dokonano w innym czasie. Pani Zachwytowicz zeznała, że gdy schodziła na dół, a przyszła do salonu jako jedna z ostatnich, młotek leżał na kanapce. Ale nie tam, gdzie go pani Zosia położyła, lecz w drugim rogu kanapki, czyli używano go już w znanym nam celu.

W miarę jak pułkownik mówił, zainteresowanie i podniecenie zebranych w salonie coraz bardziej wzrastało. Palacze nie wyjmowali papierosów z ust.

- Strasznie tu dużo dymu, państwo pozwolą, że uchylę okna?

- Proszę bardzo - powiedział pułkownik - tylko niech pan się zbytnio nie wychyla, bo na zewnątrz stoją milicjanci i gotowi opacznie zrozumieć pański ruch.

Inżynier otworzył okno, a pułkownik powrócił do przerwane go wywodu.

- Mówiliśmy o drabinie. Wszystko wskazywało na to, że została ona oparta o balkon dopiero wtedy, gdy pani Rózia znalazła rannego, a portier wrócił z „Sokolika” po zawiadomieniu pogotowia i milicji. Ale kto mógł przystawić tę nieszczęsną drabinę? Wchodzą tu w grę cztery osoby. Portier, który wychodził jeszcze raz z

„Carltonu”, aby otworzyć bramę. Kierownik, który miał możliwość wyjścia niepostrzeżenie z budynku wejściem kuchennym, prowadzącym z sutereny na podwórze willi. Dwaj nasi sportowcy, którzy właśnie wtedy szli do pensjonatu i prawdopodobnie znajdowali się już w jego pobliżu. Ponieważ tych dwóch panów już przedtem wykluczaliśmy jako bezpośrednich sprawców napadu, można było przyjąć teorię, że podstawili drabinę, działając jako wspólnicy. I dla wszystkich byłoby jasne, że jako wspólnicy pani Zosi.

Spojrzenia skierowały się tym razem w stronę artystki. Ta zbladła.

- To nieprawda. Ja nie zabiłam...

- Tak. To nieprawda - zgodził się pułkownik. - Pan Ziemak zeznał, że widział panią Zosię wychodzącą z pokój u i schodzącą na dół. Młotek wtedy już z powrotem leżał na dole. Pan Krabe mieszkający w sąsiednim pokoju również nie zauważył, żeby w krytycznym czasie pani Zachwytowicz opuszczała swój pokój. Zresztą w takim przestępstwie spółka i to spółka aż z dwoma wspólnikami, byłaby ogromnym ryzykiem. Musimy więc z listy naszych podejrzanych wykreślić zarówno panią Zosię, jak dwóch młodych ludzi, rzekomych wspólników.

Słychać było, jak cała trójka odetchnęła z ulgą i poprawiła się na swoich krzesłach.

- Pan Jasio miał okazję podstawić drabinę - ciągnął dalej Edward Lasota - ale wtedy nie zeznałby, że drabiny przedtem nie widział. Przeciwnie, w jego interesie leżało twierdzenie, że w drodze z „Carltonu” do „Sokolika” zobaczył drabinę opartą o balkon. Poza tym dlaczego portier miałby przystawiać drabinę? Przecież wiemy z całą pewnością, że nie on jest sprawcą napadu. Wówczas znajdował się w kuchni, którą opuścił dopiero po wiadomości, że telewizor został zreperowany. Takie samo alibi posiada kierownik. Jak zwykle wydawał w kuchni kolacje, a później poszedł na pierwsze piętro do swojego mieszkania, skąd przyszedł na program telewizyjny razem z synami.

- Pozostaje jeszcze pani Rózia. Na dobrą sprawę i ona mogła, korzystając z zamętu panującego po wykryciu zbrodni, wymknąć się na chwilę na dwór i przynieść drabinę z „Sokolika”. Ale jej również broni logiczny argument - gdyby była sprawcą napadu, nie zaniósłaby herbaty na górę i nie narobiła alarmu. Raczej zaniósłaby herbatę, postawiła szklankę na stole, zamknęła drzwi i po powrocie do salonu powiedziała, że pan Dobroźłocki pracuje i nie zejdzie na „Kobrę”. Poza tym wszyscy zgodnie zeznali, że pani Rózia po kolacji nie opuszczała jadalni, gdzie sprzątała,

wymieniała obrusy i zajmowała się różnymi drobiazgami gospodarskimi. Prosto z jadalni przyszła do salonu.

Pułkownik zamilkł na chwilę, poprawił się w swoim fotelu, głęboko odetchnął i ciągnął dalej.

- Doszliśmy więc do paradoksu. Nikt nie mógł wyjść na dwór, a jednak drabina znalazła się pod balkonem. Czyżby przywędrowała tam sama? Cudów nie ma! Zapomnieliśmy w swoim rozumowaniu o tych, którzy znajdowali się w salonie. Na wniosek, zdaje się pani Miedzianowskiej, wszyscy goście po odkryciu zbrodni wrócili do salonu. Przy jubilerze został jedynie kierownik oraz pani Rogowiczowa. W salonie panował nastrój zdenerwowania i przygnębienia. W różny sposób reagowano na wiadomość o morderstwie. Jedni palili papierosy, drudzy poczuli nieodpartą chęć udania się do łazienki. To bardzo ludzkie, zupełnie naturalny objaw w tych warunkach i nie ma się z czego śmiać.

Ostatnie słowa oficera skierowane były zapewne do dwóch młodych ludzi, którzy na słowa „udania się do łazienka” głośno się roześmiali.

- Podczas tego zamieszania jedno z państwa wyszło na dwór i przyniosło drabinę. Nie skorzystało z drzwi frontowych, ani z wyjścia kuchennego. Po prostu, wszystkie pokoje leżące po stronie południowej mają drzwi na taras. Z niego schodzi się na podwórze. Wielkim pechem zbrodniarza było, że właśnie zaczął padać deszcz, a drabina leżała na gliniastej ziemi. Sporo tej gliny zostało wtedy na butach. Mimo pośpiesznego wycierania, ślady tej gliny zostały do tej chwili.

Po tych słowach obecni w salonie zaczęli spoglądać na obuwie sąsiadów.

- Nie ma na co patrzeć. Tego państwo teraz nie zobaczą. Gliny jest zbyt mało, znajduje się głównie pod obcasami. Zewnętrzzną stronę swoich butów napastnik wytarł dość starannie. Ale gdyby nawet na jego nogach nie było śladu gliny i tak się zdemaskował.

- Czym? - zapytała pani Zosia.

- Tym, że nie zna się na telewizji. Może źle to określiłem. Nie na telewizji, lecz na telewizorach. Telewizor wył i piszczał bez najmniejszej przerwy. Otóż i tu jest rozwiązanie zagadki. Nie reperuje się włączonego telewizora. Można nie tylko spalić lampy, ale samemu porazić się prądem. Poza tym telewizor wcale nie był zepsuty. Odbiór jest nieszczególny, zwłaszcza ostatnio się pogorszył, gdy w Zakopanem wybudowano nowy maszt i zainstalowano nowy przekaźnik. Zamiast poprawić odbiór, obie te inwestycje zdecydowanie go pogorszyły. Przystępując do

wykonania swojego planu, bądź rano, bądź po obiedzie, inżynier rozregulował aparat, stwarzając mit uszkodzonego aparatu. Może go nawet i uszkodził, odkręcając jakąś śrubkę lub wyłączając jeden z kondensatorów. W każdym razie aparat nie działał, co pozwoliło inżynierowi udać się do salonu bezpośrednio po kolacji i zająć się rzekomą reperacją telewizora. Na czym ona polegała? Pan Żarski nastawił po prostu aparat na buczenie i wycie i dzięki temu mógł spokojnie poruszać się po „Carltonie”. Wszyscy byliby gotowi przysiąc, że nie opuścił on salonu ani na chwilę. Więcej wam powiem, pani Miedzian owsika wyraźnie stwierdziła, że w czasie owych krytycznych dziesięciu minut, kiedy dokonano napadu na jubilera, telewizor był najgłośniejszy. W ten sposób morderca chciał zagłuszyć kroki na schodach i korytarzu oraz dźwięk wybijanej szyby.

- Nonsens - powiedział inżynier. - Mówiąc to usiłował się uśmiechnąć, ale na jego twarzy ukazał się dziwny grymas. - Nonsens - powtórzył.

- Niestety - rzekł poważnie pułkownik - nie nonsens, lecz smutna prawda.

Tymczasem podporucznik siedzący dotychczas obok swojego starszego kolegi, szybko przesunął krzesło, ustawiając je blisko miejsca zajmowanego przez inżyniera. Stojący w drzwiach sierżant niedwuznacznym ruchem odpiął kaburę pistoletu.

- Nie opierałbym tak poważnego oskarżenia tylko na fakcie, że telewizor był cały czas włączony. Specjalnie odwiedziłem pokój inżyniera i pod pozorem upuszczenia ołówka obejrzałem jego obuwie. Mogę państwa zapewnić, że znajduje się na nim sporo gliny. Analiza potwierdzi jej identyczność ze znajdującą się koło „Sokolika”, tam, gdzie zazwyczaj leżała drabina. Ale może i to wyda się państwu zbyt mało przekonywającym dowodem. Pragnę przeto was poinformować, że przesłuchując pana Żarskiego, specjalnie zadałem mu parę pytań z dziedziny budowy aparatów telewizyjnych. Plotłem niesłychane głupstwa. Mówiłem, że w mojej „Wiśle” najczęściej psuje się „stabilizator dźwięku”. Inżynier natychmiast potwierdził, że i w tym telewizorze „stabilizator dźwięku” nie był w porządku. Takiej części i takiej nazwy nie znają najlepsi nawet fachowcy. Powiedziałem ponadto, że „Wisła” ma osiem lamp, a „Tesla” dwanaście. Również i na tę bzdurę pan Żarski nie zareagował. Przeciwnie, wyjaśnił mi, że przy naprawie telewizora ilość lamp nie gra żadnej roli. Słowem zdemaskował się, że nie ma najmniejszego pojęcia o budowie aparatów telewizyjnych. W jaki więc sposób mógł go naprawiać i to przy użyciu płaskoszczypów i śrubokręta, które leżą teraz na fortepianie? Wiem nawet, dlaczego

pan inżynier przyniósł te narzędzia do salonu. Stwarzało to pretekst, aby po skończonej „Kobrze” zejść na dół i odnieść je do skrzynki znajdującej się w kuchni. Przy okazji zabrałby także młotek z kanapki w hallu. Jeszcze raz wytarłby go porządnie i oczyścił z drobnych śladów krwi. Napadu dokonał inżynier! Tylko on i pani Rogowiczowa wychodzili do swoich pokoi po odkryciu zbrodni. A poza tym, kto miał możliwość schowania klejnotów tak, aby milicja nie mogła ich odnaleźć? Przeszukaliśmy wszystkie pokoje i najmniejsze zakamarki. Niel szukano tylko w jednym miejscu.

- Telewizor! - zawołał Andrzej Burski.

- Ma pan rację, redaktorze. Jestem zupełnie pewny, że wystarczy zdjąć pokrywę tylnej ściany telewizora, zasłaniającą wewnątrz aparatu, aby znaleźć klejnoty.

Jeden z milicjantów podszedł do „Tesli”. Wszyscy z napięciem obserwowali jego ruchy. Uchylił pokrywę i włożył rękę do środka. Za chwilę zaczął wykladać na flanelowy pokrowiec, którym zazwyczaj zakryty był ekran i góra telewizora, małe, irchowe zawiniątka. Wszyscy patrzyli teraz na aparat i na inżyniera się - jj dzącego w jego pobliżu. Żarski opuścił głowę i zakrył twarz rękami.

Milicjant rozwinął jedno z zawiniątek. W świetle elektrycznych lamp brylantowa kolia zamigotała pięknymi barwami tęczy.

KONIEC

„KB”